

A woman with long dark hair, wearing a white, long-sleeved dress with lace details, is shown from the waist up. She is looking down and to the left. Her hair is blowing in the wind. The background is a fiery, orange and yellow explosion. There are several dark, irregular shapes scattered around her, resembling blood splatters or debris. In the top right corner, there is a red splatter graphic containing the text 'KOMISARZ MALIN FORS'. A white banner with black text is positioned across the middle of the image. At the bottom, there is a large white title and a quote in Polish, followed by a logo and the name 'REBIS' in red.

KOMISARZ
MALIN
FORS

MONS KALLENTOFT

ŁOWCY OGNIA

„Nie zwracajcie sobie głowy Stiegiem Larssonem, Kallentoft jest lepszy”.
Magnus Utvik, krytyk literacki



ŁOWCY OGNIA

MONS KALLENTOFT

Przełożyli Anna Krochmal i Robert Kędziński



DDM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

Prolog

ANNAPURNA, NEPAL, 1990

Jeśli któremuś z nich ześlizgnie się stopa, obaj spadną tysiąc metrów w dół.

Najpierw swobodny lot, potem uderzenie o lód i kamienie, prastare kliny przebija kaski i czaszki, a oni stoczą się w dół urwiska i znikną w szczelinie głębokiej jak otchłań, gdzie będą leżeć zapomniani przez miliony lat, dopóki istoty z jakiejś obcej cywilizacji nie znajdą ich ciał, a wtedy będą się zastanawiać, jaki los ich spotkał.

Dwaj wspinacze są ze sobą związani nylonową liną.

Jeśli spadnie jeden, spadną obaj.

Haki, które wbili w lód, są z tytanu, wytrzymają.

Na wysokości siedmiu tysięcy sześciuset metrów świat jest biały. Sklepienie nieba wygina się w bezkresny, niebieski lód z anielskich skrzydeł.

Jeszcze trzy metry. Cztery.

Siedem tysięcy sześćset metrów nad poziomem morza każdy krok jest jak tysiąc kroków.

Mięśnie krzyczą, obraz przed oczami staje się niewyraźny, zamazany. Ciało chce w dół, płuca też, każde naczynie krwionośne się gotuje, ale oni prą w górę. Czerwona kurtka, niebieskie spodnie, materiał trzepoczący na wietrze, tytanowe haki połyskujące w świetle słońca, które jeszcze nigdy nie było tak blisko.

Szerpa pięć metrów wyżej napomina ich wzrokiem: mamy niewiele godzin, teraz nie ma miejsca na wahanie.

Jeśli było się tu, na górze, człowiek wie, że świat nie ma dachu, myśli jeden z dwóch wspinaczy. Że wolność jest możliwością. Że ciało może zaczerpnąć tę niewielką ilość tlenu i przemienić go w wolę, dążenie silniejsze niż sam oddech.

Wszystko jest rozległe.

Otwarte.

W porównaniu z tym śmierć wydaje się mała.

Człowiek widzi dalej niż ściany domów, ulice, ciasne mieszkanie w Berga, na ramionach dłonie, które ciągną cię w dół.

Obaj myślą, nie wiedząc o tym: jesteście teraz daleko, daleko od Linköpingu.

I nigdy nie wrócimy.

Chyba że triumfalnie.

Inaczej wolimy spaść. Upadając, pociągniemy za sobą niebo, cały świat.

Ale pniemy się w górę.

Nie będziemy tymi, którzy śpią, póki słońce nie zgaśnie.

Część 1

Rozległa miłość

DOHA, KATAR, SIERPIEŃ 2015

Zupełnie jakby ktoś przytykał palnik gazowy do pleców. Ból jest jak najgorętsze wnętrze gazowego płomienia. Nie pomarańczowy czy czerwony, lecz bezlitośnie błękitny jak lód lodowców w domu.

Ale Yash Pandey nauczył się ignorować ból, bo tu upał panuje nieustannie. Gorąco pleców stapia się w jedno ze skwarem powietrza, a on daje radę podnosić belki, trzpienie, wszystko, czego trzeba, by stadion podźwignął się z pustyni jako znak władzy gazu i pieniędzy.

Jego nagie plecy spoczywają na wilgotnym płótnie.

W sali sypialnej, którą Yash dzieli z dwoma setkami innych mężczyzn, pot spływa z ciała na podłogę i zamienia się w parę. Czuć dym płonącego gazu. Za dnia na horyzoncie w kolorze ochry widać czarne pióropusze dymu. Mówią, że to ISIS podpala złoża.

Robotnicy leżący na twardych pryczach przybyli tu z wielu krajów. Z Nepalu, tak jak on, inni z Filipin, Indonezji, Bangladeszu, Pakistanu i Birmy. Trzymają się głównie w gronie rodaków, połączeni wspomnieniami podobnych kolorów i dźwięków. Zjednoczeni taką samą tęsknotą.

Yash przewraca się na pryczy. Chciałoby się upić i zasnąć, uciec przed bólem, ale tutaj nie ma alkoholu. Nie ma raksi, która pieści gardło i żołądek. W ogóle żadnego alkoholu. Sen nie chce nadejść, choć Yash jest nieskończenie zmęczony, i nawet noc jest tutaj upalna, ale litościwie ciemna w odróżnieniu od nieznośnego światła dnia.

Nie zostawił nikogo. Nikt nie tęskni za nim w domu i w pewnym sensie to go czyni wolnym. Mnie nie dorwą.

Wokół niego mężczyźni chrapią. Pojękują. Rozmawiają o ludziach, których kochają. Szepczą. Ktoś wyjął komórkę, ogląda zdjęcia i w mroku jej mruganie jest jak migotanie snu.

Migotanie koszmaru.

Jestem mięsem budowlanym, myśli. Pewien Pakistańczyk ukuł to określenie, kiedy jego przyjaciel spadł z rusztowania i roztrzaskał się o betonową płytę pięćdziesiąt metrów niżej. Zemdlał z upału. Upadek z wysoka, siła uderzenia o beton wywróciły na drugą stronę jego skórę i zmieniły go w stertę mięsa.

Mięso budowlane.

Wywieźli go na taczce. Pakistańczyk opowiadał o tym bez smutku czy sentymentalizmu, po prostu jak o fakcie.

Ale może teraz coś się zmieni.

Krewcy Filipińczycy mówią, że powinniśmy się zorganizować.

Alberto jest najbardziej uparty.

Alberto, mój filipiński przyjaciel.

Chce, żebyśmy zażądali podwyżki płac, żeby było tak, jak nam obiecali, i żeby wypłacali je w terminie. Żebyśmy pracowali dziesięć godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu, tak jak mówią nasze kontrakty, a nie czternaście godzin przez sześć czy siedem dni w tygodniu.

Będą się domagać wolności. Alberto wie, jak się takie rzeczy organizuje. Poradzą

sobie z tym. Ale Alberto się boi. Dał mi adres e-mailowy jednej ze swoich sióstr, na wypadek gdyby coś mu się stało.

Dla mnie to było proste, myśli Yash i próbuje zapomnieć o gorącu na plecach. Chciałem zgromadzić kapitał, żeby móc otworzyć mały sklepik z najbardziej podstawowymi towarami. Sprzedawać dużo z niewielkim zyskiem. Więc pojechałem do Katmandu, podpisałem się u faceta, który rekrutował, firma jakichś Szwedów, wziąłem pożyczkę na bilet lotniczy i pokrycie kosztów wszystkich „papierów”. Wsiadłem do samolotu linii Emirates. W tylnej części było pełno takich jak my i żaden z nas jeszcze nigdy nie latał, piliśmy, dopóki nie przestali nam podawać, a niektórzy rzygali w kieszenie na gazety na oparciach siedzeń.

A potem wylądowaliśmy.

Świat kurczy się w czterdziestopięciostopniowym upale. Ciało ugina się pod własnym ciężarem. Godzina po godzinie myślisz, że zaraz umrzesz, że nie dasz już rady, ale dajesz radę, myśli Yash. Dajesz radę, bo musisz spłacić długi, bo w marzeniach widzisz półki pełne towarów, albo dlatego, że się boisz – tak jak pozostali tutaj – bo w przeciwnym razie ktoś dorwie twoją rodzinę. Dajesz radę, chociaż dług rośnie znacznie szybciej, niż ty zarabiasz pieniądze. Mimo kłamstw, oszustw, niewolnictwa. Dajesz radę, myśli Yash, bo nie masz wyboru.

Ale teraz będzie bunt.

Trzymam się trochę z boku. Tak jest najlepiej.

Jako gastarbeiter w Katarze jestem niewolnikiem. Nie mogę zmienić pracodawcy, jestem związany z tym, który figuruje jako sponsor na mojej wizie. Nie wolno mi opuścić kraju bez jego zgody. Pisały o tym wszystkie gazety na świecie, ale tak naprawdę nikt się tym nie przejmuje.

Filipińczycy uwielbiają piłkę nożną.

Gadają o tym, jak będą oglądać mecze w telewizji, jak Zlatan i Messi – tak się nazywają? – będą grać na wybudowanym przez nich stadionie.

Plecy.

Uklucie bólu.

Yash czytał, że piłkarze boją się tutejszego upału. Zastanawiają się, czy dadzą radę biegać dziewięćdziesiąt minut w tym skwarze. Są jak małe dziewczynki.

Może jednak powinien był ruszyć z pozostałymi na Północ, pytali go, czy chce, ale mróz jest jeszcze gorszy niż upał.

Światło na sali się zapala.

Yash zaciska powieki. Słyszy krzyki po tagalsku, pendżabsku, w innych językach.

Siada na pryczy i widzi, jak setki innych mężczyzn o opalonych lub ciemnoskórych ciałach robią to samo, i w spojrzeniach wszystkich widać pytanie.

Co to? Co teraz będzie?

Pięciu mężczyzn ubranych w czerń. Z czarnymi chustami na twarzach i z kałasznikowami w rękach.

W tłumie zaspanych, zmęczonych mężczyzn rozchodzi się szmer. Potrzebują każdej minuty snu.

Coście za jedni? Czego od nas chcecie?

Kilku wstaje.

Siadać, wrzeszczą mężczyźni. Nie ruszać się, krzyczą. We wszystkich językach. Niech

nikt nie filmuje, krzyczą.

– Kiedy usłyszycie wasze nazwisko, wstańcie! – woła ten, który musi być ich przywódcą.

Pierwszym wywołanym jest Pakistańczyk, którego Alberto uczynił swoim sojusznikiem.

Piątym i ostatnim jest Alberto.

– Podejdźcie tu.

– Możemy włożyć koszule? – odkrzykuje Alberto i w wyobraźni Yash widzi go klęczącego, ze spawarką w ręce, łączącego ze sobą dwa metalowe pręty.

– Nie.

Pięć osób idzie przez salę i Yash widzi, jak wszyscy pozostali wpatrują się w podłogę. Ze strachu albo ze wstydu. Yash tego nie wie, ale wie, że jego przyjaciel Alberto i pozostali poruszają się w zupełnie niewłaściwym kierunku.

Czy to ISIS się zjawilo? Nie, nie chodzi o Allaha, tylko o pieniądze.

Pracują dla Chińczyków?

Ubrani na czarno wyprowadzają pięciu mężczyzn z sali, jeden popycha Alberta lufą kałasznikowa, ten się potyka, ale odzyskuje równowagę, a potem wszyscy nikną w mroku nocy.

Światło gaśnie.

– CISZA I SPAĆ.

Drzwi zamykają się cicho, jak oddech.

Yash kładzie się ostrożnie, ból pleców promieniuje tysiącem barw.

Już nigdy więcej nie zobaczę Alberta, wiem o tym, myśli. Żadnego z nich już nigdy więcej nie zobaczę. Wywiozą ich na pustynię, może każą im wykopać własne groby, a może zastrzelą ich jak psy. Znikną głęboko w wiecznym morzu piachu i kamieni i jakiś przyszły zbawiciel nigdy ich nie odnajdzie.

A ja nic nie mogę na to poradzić. A jednak muszę coś zrobić.

Musi być coś, co mogę zrobić.

PONIEDZIAŁEK, TRZYNASTY WRZEŚNIA

Malin Fors czuje dotyk ciała Daniela. Zsuwa kołdrę, nie chce, żeby zrobiło jej się za gorąco, pragnie leżeć tuż przy nim, kiedy będzie zasypiać.

Spogląda w okno dachowe. Niebo jest jeszcze ciemne, jego zwartą czern przełamują zaledwie nieliczne mrugające gwiazdy. Kiedyś, gdy była mała, widziała kometa, teraz przypomina sobie jej ognisty ogon i zastanawia się dlaczego.

Daniel śpi.

Malin dotyka blizn na jego piersi. Pamiątek ze schronu w Tjällmo. Myśli o mordercy, który go tam uwięził niecały rok temu. Torturował go. Z początku lekarze sądzili, że Daniel nie przeżyje. Ale walczył, a Malin czuwała u jego boku, trzymała go za rękę, słuchała, jak bredził w oparach morfiny, mówił, że ją kocha, choć nie rozumiał, że tam była, a ona szeptała mu do ucha:

– Ja też cię kocham.

Po dwóch miesiącach został wypisany ze szpitala. Przez kolejne dwa nie chodził do pracy w redakcji „Östgöta Correspondenten”, był na zwolnieniu.

Potem zaczęło im się śpieszyć.

Malin zadzwoniła do człowieka, który miał do wynajęcia czteropokojowe mieszkanie z tarasem na ostatnim piętrze budynku, i usłyszała, że oczywiście, mogą je wynająć, chętnie zatrzyma ją jako lokatora. Czytał o niej w gazecie, uważał, że to dobrze, że w mieście jest ktoś taki jak ona, kto nie ugina się przed złem.

Kuchenka z lśniącego metalu. Białe kafelki w łazience, masywny parkiet i taras, na którym świeci słońce, kiedy chmury raczą się trzymać z daleka.

I dachowe okno w sypialni.

Gwiazdy jak anioły.

Pragnienie najczęściej jest szeptem, czasem rykiem i wtedy Malin delikatnie kocha się z Danielem, pozwala mu powoli dojść i delektować się nią bez pośpiechu; i tak właśnie to teraz robią, kochają się, zamiast rżnąć, i nie ma wrażenia, że coś zostało utracone, bo teraz są dla siebie bardziej ludźmi niż zwierzętami.

Oddycha obok niego. Przesuwa palcami po bliznach, po czerwonym pustynnym krajobrazie, jaki tworzą.

Lubi mieć go obok siebie, chce, żeby był blisko. Po tym, co się stało, nie daje rady, kiedy Daniel się nie odzywa. Czasem wie, gdzie jest, co robi, rozumie, że jest bezpieczny, ale to nie pomaga, musi do niego zadzwonić i usłyszeć jego głos.

Noc obraca się wokół własnej osi.

Malin nie może zasnąć i wie dlaczego. To inny niepokój niż ten o Daniela. Niepokój o córkę. Tove jest w Katmandu i próbuje zrobić coś dobrego. Po powrocie z Konga przez trzy miesiące była w Linköpingu, a potem znów wyjechała. Mieszkała tutaj, w nowym mieszkaniu, i ani razu nie nazwała tego mieszkania ani Linköpingu domem.

Malin chciała ją prosić, żeby została, żeby poszła na studia. Cokolwiek. Ale nic nie powiedziała, zawiozła tylko Tove na lotnisko, uściskała ją przy odprawie i życzyła powodzenia.

Patrzyła na plecy córki, patrzyła, jak znowu znika. Pomyślała, że Katmandu jest lepsze niż Kongo, a w domu w Linköpingu, przy lśniącej kuchence, czekał Daniel.

Tove była w Katmandu podczas trzęsienia ziemi. Ale dom dziecka, w którym pracuje, przetrwał katastrofę. Nie chciała wrócić, powiedziała tylko: „Teraz jestem tu bardziej potrzebna niż dotąd. Musisz sobie poradzić z niepokojem, mamó”.

Ziemia drży. Wali się świat. A ja mam sobie radzić z moim niepokojem?

Niby jak?

Malin ma ochotę wstać, pójść do białej kuchni i zrobić sobie kawę w ekspresie Nespresso. Ale jest późno i musi spać. Do tej pory wrzesień mijał spokojnie, ale w każdej chwili coś się może wydarzyć.

Układa się na boku. Czuje ramię Daniela na plecach.

Tak jest źle.

Odwraca się twarzą do niego, oddycha mu w ucho i Daniel się budzi. Wygląda na zmęczonego, ale mimo to się uśmiecha, przyciąga ją do siebie.

– Jestem tu, Malin – szepcze.

Po chwili leży na plecach, czuje jego oddech i wpatruje się w niebo, w gwiazdy, ognisty ogon.

Tove słyszy za oknem hałasy Katmandu, oczami wyobraźni widzi mruganie neonów, sterty gruzu tam, gdzie wcześniej wznosiły się domy.

Mały pokój na drugim piętrze domu dziecka jest samotną umieralnią, w której naprawdę chore dzieci mogą mieć spokój.

Czasem ktoś wychodzi stąd żywy, ale odkąd Tove tu jest, zdarzyło się to zaledwie parę razy. Najczęściej dzieci umierają z niedożywienia albo wskutek choroby, która nieodwracalnie wgrzyła się w ciała niemające szans osiągnąć pełni sił. Umierają, chociaż się nie poddają, jakby śmierć od samego początku była potężniejszą siłą niż życie i jakby życie było właściwie tylko żartem śmierci. Jeśli przed trzęsieniem ziemi panowała tu bieda, to teraz sytuacja jest rozpaczliwa.

Głaszcze Tsingsena po czole.

Ciało trzyletniego chłopczyka wyniszcza zakażenie. Wirus, z którym dziecko z Zachodu by sobie poradziło. Przed chwilą zmieniła mu kroplówkę i chłopiec patrzy na nią brązowymi oczami. W jego spojrzeniu nie ma błagania, tylko świadomość, że jest sam, choć ona jest przy nim. I patrzeć na ten ból jest nie do zniesienia, ale Tove nie odwraca wzroku, bo po to tutaj przybyła, żeby przemoc taką samotność i cierpienie.

To dlatego siedzi zmęczona i zziębnięta w pokoju o kamiennych ścianach, w którym umiera mały chłopiec.

Tsingtsen trafił tu przed nią.

Rok temu, dwa lata? Tove tego nie wie.

Ktoś go zostawił pod drzwiami domu dziecka. Czasem się zdarza, że rankiem znajdują pod drzwiami dzieci, ciche, uspokojone raksi.

Bezimienne.

Zakonnice dały mu na imię Tsingtsen.

Nauczył się słowa „mama”.

Wołał je głośno, gdy biegł przez małe, otoczone murem podwórze domu dziecka albo przed zaśnięciem. Nazywał ją mamą. Lubiła nosić go po podwórku i przez salę sypialną, bawić się z nim – trochę za często – i w końcu kierowniczką powiedziała jej, żeby go nie faworyzowała, bo to się nigdy dobrze nie kończy i inne dzieci to zauważają.

Tsingtsen był niedożywiony i chory już wtedy, gdy Tove przybyła do domu dziecka; złapał pierwszą chorobę, potem drugą. A teraz, przy trzeciej, Tove siedzi tu z nim w pokoju śmierci.

– On cię teraz potrzebuje – powiedziała kierowniczką. Zakonnica o białej, bezkształtnej twarzy.

I Tove bierze go za rękę, która zdaje się nic nie ważyć. Rozgląda się po pokoju, słyszy klakson samochodu.

Chłopczyk jeszcze oddycha. Wciąż jest nadzieja.

Tove chce w to wierzyć.

Mają tu sto pięćdziesięcioro dzieci. Rodzice większości żyją. Ich matki i ojcowie pracują na Bliskim Wschodzie. Albo w Singapurze. Albo w wielkich miastach Indii. Ojcowie na budowach, matki jako służące albo prostytutki. Wyjeżdżają, żeby zapewnić dzieciom lepsze życie, i zostawiają je u dziadków, którzy nie dają rady się nimi zajmować więc podrzucają je pod drzwi domu dziecka.

Często sami rodzice zostawiają dzieci. Bo nie mogą ich utrzymać. Albo opuszczają je dla własnych marzeń i nie mogą im mieć tego za złe, myśli Tove. Bo tutaj nie ma niczego.

Tylko bezrobocie, bieda i korupcja.

Kraj, który się rozpadł.

Bywa też tak, że ojciec zginął na budowie, a matkę pobiła na śmierć pracodawczyni w Hongkongu, bo musiała kogoś pobić, kiedy zdradził ją mąż. Inni rodzice po prostu zniknęli.

Do biednego śmierć może przyjść na wiele sposobów.

Tove pragnie myśleć o czymś innym. O mamie. O Danielu. W zeszłym tygodniu rozmawiała z nimi na Skypie i wygląda na to, że jest już dobrze. Mama pogodziła się z tym, że Tove tutaj jest, nawet nie pyta, kiedy zamierza wrócić do domu.

Gdziekolwiek to jest.

Zaczyna padać. Ciężkie, zimne krople uderzają o cienki blaszany dach, spadają na dolinę Katmandu.

Tsingtsen zamknął oczy. Ale oddycha.

Tove puszcza jego rękę, pozwala powiekom opaść i czuje zmęczenie w całym ciele.

Niedługo powinna nadejść przez las. On o tym wie. Poznał jej nawyki. Zawsze chodzi tędy do pracy i wraca tą samą drogą.

Wygląda spomiędzy drzew, patrzy na oświetloną ścieżkę.

Wciąż jej nie widać.

Noc w Linköpingu oddycha, w lesie panuje całkowity mrok. Czuje nocny chłód, choć jest niespodziewanie łagodny.

Trzęsą mu się ręce i mocniej ściska metalową rurkę. Zmusza je, żeby przestały.

Muszę to zrobić, myśli. Nie chcę, ale nie mam wyboru.

Czym właściwie jest śmierć? Jeśli mam się utrzymać przy życiu, muszę zabijać. Teraz wszystko nie może się skończyć. Muszę zrobić to, co mi każą.

W wyobraźni widzi twarz śpiącej dziewczynki w białej pościeli. Odsuwa od siebie ten obraz, nie chce jej tym brudzić. Nie daje rady na nią patrzeć, być zbyt blisko niej.

Upija łyk wódki z butelki. Potem jeszcze dwa; palenie w gardle i w żołądku go uspokaja.

Widzi postać pod jedną z latarni wiszących nad ścieżką.

To ona.

W jej ruchach widać zmęczenie. Jej twarz jest w cieniu, to dobrze, nie chcę widzieć jej oczu.

Zbliża się po trocinach. Lampa na budynku klubu wygląda jak mała gwiazda, daleko, między drzewami.

Zbliża się coraz bardziej, teraz jest pięć metrów ode mnie. Poczekam, aż mnie minie, potem uderzę ją w tył głowy i zrobię resztę.

Czas się zagęszcza.

Myśli, które trwają kilka sekund, teraz zajmują zaledwie tysięczną część sekundy.

Jak tu trafiliśmy, ty i ja? Ta planeta jest taka wielka, istnieje dziewięć miliardów ludzi takich jak my, a jednak jesteśmy teraz tutaj, właśnie ty i ja. Loteria, ale wszystko jest jedną pieprzoną loterią.

Krzyczy w duchu.

Zrób to.

Kobieta jest teraz na wysokości drzewa.

Przestań się trząść.

Jej twarz.

Teraz. To się musi stać.

Rzuca butelkę.

Kobieta znika w mroku między dwoma stożkami światła na ścieżce.

I jego usta wypełniają zęby drapieżnika, biegnie za nią w ciemność, unosi rurkę i uderza. Uderza tak mocno, że czuje, jak pęka jej czaszka, jak rurka natrafia na coś miękkiego pod nią.

Kobieta upada. On unosi rurkę nad jej głową. Jest jednak nieruchoma. A więc wali i

wali w trociny obok niej, ma ochotę krzyczeć, ale wie, że musi być cicho.

Jestem jak odmieniony, myśli. Po raz kolejny się przeobraziłem i jestem czynem. Wielu się stacza, ale nie ja, nie my, nie ty.

Nie jesteś tym splamiona.

Znajduje butelkę.

Pije, pije.

Wciąga ciało kawałek w las.

Potem przez zarośla podchodzi do swojego samochodu, który stoi na parkingu po tej stronie klubu. Wyjmuje z bagażnika kanister z benzyną. Wraca do ciała kobiety, wciąga je pięćdziesiąt metrów dalej, między drzewa. Nie patrzy na jej twarz, nie widzi drgających powiek, nie słyszy jej rżenia. Przynosi kanister, rurkę.

Gdy jest przy kobiecie, wyjmuje komórkę. Mozolnie filmuje siebie, gdy oblewa jej ciało benzyną, gdy je podpala.

Niezwykłe ciepła sierpniowa noc staje się jeszcze cieplejsza, kiedy płomienie rozświetlają zarośla i pnie drzew wokół niego. Dzięki rosie ogień nie rozprzestrzenia się na cały las.

Filmuje płonące ciało. Dokładnie tak, jak mu kazali. Trzyma rękę z telefonem tak nieruchomo, jak tylko jest w stanie.

Potem słyszy cichy trzask, pękająca gałązka za drzewem na wprost. Ruch.

Zwierzę?

Człowiek?

Strach wrywa mu powietrze z płuc.

To człowiek, ktoś, kto rzuca się biegiem przez las.

Nie może się teraz zawahać.

Mocniej ściska metalową rurkę i biegnie za nim.

Malin pozwala Danielowi spać. Chętnie by go obudziła, żeby mieć towarzystwo przy śniadaniu, dowiedzieć się, czy dobrze się czuje.

W kuchni robi sobie podwójne czarne espresso i wypija je dwoma łykami. Potem bierze prysznic, ubiera się i powolnym spacerem rusza na posterunek w ciepły poranek.

O tak wczesnej porze miasto jest puste i ciche.

Cały Linköping jest placem budowy. Na każdym rogu wystrzeliwiają nowe domy z tak drogimi mieszkaniami, że żadnego zwyczajnego człowieka na to nie stać. Tylko podstarzali lekarze i inżynierowie sprzedają swoje wille w Hjulsbro. Z jednego getta do drugiego. W Ryd i Skäggetorp jeszcze nigdy nie było tak źle. Gangi są bezwzględne. Zaledwie kilka miesięcy temu w strzelaninie w Skäggetorp zginął czternastolatek. Równocześnie firmom z miasta dawno się tak świetnie nie wiodło. Zupełnie jakby te dwie rzeczy były ze sobą w jakiś sposób związane, jakby miasto miało własną równowagę, którą zawsze odnajduje.

Gdy Malin mija sklepik z kanapkami przy Ågatan, myśli o ich mieszkaniu.

O czynszu.

Jest za wysoki, ale radzą sobie z dwóch pensji. I miło jest ładnie mieszkać, wbrew swojej woli musi przyznać, że przyjemnie jest spocząć w czymś nowym, czystym i kompletnym.

Na parkingu u szczytu Drottninggatan mają powstać kolejne mieszkania.

Trudno jej sobie wyobrazić lepiej prosperujące miasto niż Linköping. I bardziej nadęte. Zadarte nosy, ludzie, którzy nie chcą słyszeć głosu szepczącego do nich od strony równiny i lasów: Wszyscy jesteście wieśniakami. Mimo wysoko rozwiniętego przemysłu zbrojeniowego i waszych pięknych szpitali w gruncie rzeczy jesteście wieśniakami.

Nie ma nic wyrafinowanego ani we mnie, ani w niczym innym w tej dziurze.

Mija dawną kantynę. Teraz mieści się tutaj ośrodek dla młodzieży. I Malin myśli, jaki niespokojny jest świat, że wydaje się eksplodować i powoli, i nagle, a ona zupełnie nic nie może na to poradzić. Może tylko próbować mieć czysto pod własnymi drzwiami.

Dociera do budynków dawnych koszar, w których mieszczą się teraz posterunek, sąd rejonowy i Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne, albo raczej NFC, Krajowe Centrum Medycyny Sądowej, bo tak się teraz nazywa. Wojsko się wyniosło, wprowadziła się sprawiedliwość.

Albo raczej próby sprawiedliwości.

Jest kilka minut po szóstej, gdy Malin wchodzi do otwartego pomieszczenia biurowego i przystaje przed komputerem Börjega Svärda, wpatruje się w zdjęcie z lipcowego grilla kolegów z wydziału zabójstw, które ustawił sobie jako wygaszacz ekranu.

Cała grupa siedzi przy stole w ogrodzie Börjega, jest bezchmurny, ciepły wieczór, a z kilku grillów w tle unosi się dym. Południczek wieprzowe w specjalnej marynacie Johana Jakobssona są już zjedzone, a na stole stoją puste i napoczęte butelki wina.

Wszyscy się uśmiechają oprócz niej.

Od dawna nie czuła takiego pragnienia jak tamtego wieczoru i pozostali widzieli, jak

się męczy, ale się tym nie przejmowali, bo tak właśnie powinno być. Dawny alkoholik musi się nauczyć, że ludzie piją w jego towarzystwie, taki konsensus panował tamtego wieczoru.

Chcieli się upić.

I się upili.

Partnerka Börjega, Kristina, dyrektorka Folkungaskolan, podawała im jedzenie. Przez pomyłkę naląła Malin wina i to zepsuło jej humor.

– Cholera, wiesz przecież, że nie piję.

Kristina jej nie przeprosiła. Kiwnęła tylko głową i powiedziała, że Börje opowiadał jej o problemach Malin i że bezmyślnie napełniła jej kieliszek.

Börjemu jest z nią dobrze, myśli Malin. Kristina znosi jego spiczaste wąsy i maniery macho.

Zastanawia się, czy jej nie zdradza. Gdy jego żona Anna zmarła na stwardnienie rozsiane, Börje wyruszył na tournée casanovy wśród dostępnych kobiet w średnim wieku. Może Kristina sprawiła, że z tym skończył?

Przebiega spojrzeniem po twarzach kolegów.

Karim Akbar, komendant policji, wrócił z urlopu rodzicielskiego i wygląda na to, że małe dziecko mu służy. Jego żona Vivianne awansowała na stanowisko głównego prokuratora w Linköpingu i jak się zdaje, plany wyprawki do Sztokholmu odłożyli na półkę.

Nowy szef Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, Göran Möller, następca mentora Svena Sjömana, zaczął się zadomawiać w Linköpingu, ale z tego, co Malin wie, nie poznał żadnej kobiety. Może mu dobrze z samotnością?

Z każdym dniem Göran staje się wyrazistszy i prostszy i Malin to odpowiada. I pozwala mi robić swoje, myśli. Potrafi popatrzeć przez palce na naruszenia regulaminu, jeśli chwila tego wymaga.

Nie zrobił tego jednak w przypadku Waldemara Ekenberga. W końcu przemoc Waldemara przekroczyła granicę. Na zdjęciu widać jego zaczerwienione, opuchnięte knykcie, pobrużdżona twarz jest bledsza niż zwykle, w kąciku ust wisi żarzący się papieros.

Zaledwie tydzień po tamtej imprezie w ogrodzie Börjega Waldemar został zawieszony. Oskarżono go nieuzasadnione użycie przemocy podczas służby. Najwyraźniej pobił siedemnastoletniego członka gangu, walnął głową chłopaka o ścianę, gdy razem z Börjem aresztowali go w mieszkaniu jego rodziny.

Ojciec, uchodźca z Kurdystanu, zrobił coś, na co nikt dotąd się nie odważył: złożył skargę na Waldemara. Malin sama spisywała jego zeznania. Mężczyzna powiedział, że nigdy nie pozwoli na brutalność policji w takim kraju jak Szwecja.

I on go pobił, bez względu na to, co mówił ten drugi policjant. Obaj kłamią.

Według Börjega podczas aresztowania nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Ale Malin siedziała naprzeciw tego człowieka z dalekiego kraju i było jej wstyd.

Wiedziała, co się wydarzyło, albo była tego prawie pewna. Tapeta w mieszkaniu była czerwona od krwi, więc Waldemar tym razem naprawdę przesadził.

Waldemar Ekenberg jest przemocą.

To zawsze pozostanie jego główną cechą.

W wydziale zabójstw czasem się to przydaje, ale z jakiegoś powodu Göran

potraktował zgłoszenie poważnie i Waldemar został zawieszony do czasu ukończenia trwającego obecnie śledztwa. Sprowadzono w tym celu dwóch inspektorów z Norrköpingu. Czasem pokazują się na posterunku, ale nikt nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Mogą zniszczyć więzi, jakie mimo wszystko łączą grupę.

Gdy Malin wpatruje się w twarz Börjega na ekranie, przypomina sobie zapachy grillowanego mięsa, rozmowy o aktualnie prowadzonych sprawach i o życiu rodzinnym, o polityce i sporcie, o głupocie seriali i kryminałów.

Przygląda się Elin Sand. Wysoka, wysportowana, siedzi na skrajnym krześle po lewej stronie. Cienka biała bluzeczka na ramiączkach odsłania nabrzmiały biceps, włosy są krótko ostrzyżone. Elin wygląda prawie jak żołnierz. Ma startować w Hell Race na Majorce. Dwunastomilowy bieg ze zdobywaniem czterech górskich szczytów, sto procent kwasu mlekowego, tysiąc procent szaleństwa.

Na siłowni po ostrym treningu Malin ją zapytała, dlaczego chce wziąć udział w tym biegu.

– A czemu nie?

Apatyczna odpowiedź.

– Może to jest najlepszy powód.

– No właśnie.

Jako śledcza Elin poczyniła ogromne postępy. Jest bardziej racjonalna, ale równocześnie bardziej intuicyjna. Ma tyle siły, że mogłaby przejąć rolę Waldemara. Ale pewnie nie ma takiej skłonności do przemocy. A może wszyscy ją mamy? – myśli Malin.

Potrafię zabić.

Zabijałam już.

Przenosi spojrzenie na Johana Jakobssona. Na zdjęciu wygląda na bardziej pijanego niż reszta, a w jego oczach widać panikę. Nie może znieść cierpienia swojej córki Stelli. Jej reumatyzm jest jeszcze agresywniejszy, niż lekarze na początku sądzili, nawet najsilniejsze leki nie działają i jej stawy szybko ulegają zniszczeniu.

Johan wychudł, na jego czole widać coraz głębsze zmarszczki, a biały płócienny garnitur, w który się ubrał z okazji grilla, na nim wisi.

Malin wie, że poprosił lekarzy, by przepisali Stelli morfinę, ale oni nie chcą tego zrobić. Ryzyko uzależnienia jest zbyt duże.

Nie ma prostych sposobów, myśli Malin.

Prędzej czy później skurwysyństwo życia dopada wszystkich.

Wygląda na to, że w jakiś sposób dopadło Zekego. W ostatnim czasie był skwaszony i zły, jakby się czymś zamartwiał, coś ukrywał, i Malin się zastanawia, jaki jest w domu, przy Karin i Tess, ich adoptowanej córeczce z Wietnamu. Zeke również ją adoptował, więc teraz mała ma tutaj ojca i mamę. Jego dorosły syn sprzeciwiał się adopcji. Uważał, że to niepotrzebne. Ale Zeke się uparł. „To jedyne słuszne rozwiązanie”.

Malin przygląda się jego twarzy. Jak wyciosana siekiera. Jego wygląd z biegiem lat coraz bardziej do niego pasuje, stał się niemal pięknym mężczyzną. A może zawsze nim był? Malin zdaje sobie sprawę, jak wiele znaczy dla niej ta grupa ludzi. Jak bardzo by tęskniła za tym poczuciem wspólnoty, gdyby zniknęli. Nieświadomie uczyniła z nich jedyne osoby, z którymi się spotyka, z wyjątkiem Daniela i Tove, kiedy córka jest w domu. Bez Tove nie daje też rady odwiedzać Stefana w domu opieki w Ljusdal. Swojego przyrodniego brata. Stefan jej nie poznaje i równie dobrze mogłaby odwiedzać posąg w

muzeum tego, co nigdy się nie stało.

Nie mam przyjaciół.

Wy na zdjęciu nie jesteście moimi przyjaciółmi, ale mimo to jesteście jedynymi ludźmi, jakich mam.

Jak samotną mnie to czyni?

Cisza w pomieszczeniu biurowym, która niedawno wydawała się przyjemna, teraz jest tylko zimna i pusta. Odstępująca w sposób, w jaki niemal zawsze odstępowała jest śmierć. Zasnęte gardło, dreszcz, ucisk, wstydlive, niemal nieodparte pragnienie alkoholu, upojenia, tych krótkich minut spokoju, które mimo wszystko odurzenie zawsze niesie ze sobą.

Malin idzie na swoje miejsce. Otwiera na komputerze przeglądarkę. Szuka zdjęć tequili. Powiększa zdjęcie butelki.

Dzięki niej nie byłabyś mniej samotna, Malin Fors.

Tak myśli i wie, że to prawda. Ale wie również, że zawartość tej butelki sprawiłaby, że przez chwilę poczułaby się lepiej.

Tysiąc mil przez tysiąc górskich szczytów.

Życie jako jeden wielki, bezsensowny bieg. Na piętach pęcherze wielkie jak obce planety.

Niszczymy samych siebie, żeby móc z samymi sobą wytrzymać.

– Dzień dobry – słyszy szorstki głos od strony wejścia.

Börje Svärd.

Jeszcze nigdy nie było tak miło usłyszeć jego głosu. Jego też mocno sponiewierało polowanie na mordercę, który potem poranił Daniela. Börje na tydzień zawisł pomiędzy życiem a śmiercią, miał oparzenia na torsie i krwotoki wewnętrzne. Ale szybko doszedł do siebie. Teraz nie pozostał nawet ślad po jego obrażeniach, choć czasem Malin odnosi wrażenie, jakby blizny bardziej się ściągały.

– To nasza poranna chwila! – woła Börje i Malin się uśmiecha.

Kurhan rysuje się na horyzoncie jakieś sto metrów dalej, tworzy spiczasty pagórek na zielonożółtym polu opadającym ku brzegom Roxen jak podniszczony dywan. W lipcu wody jeziora były zielone od alg, ale teraz, w świetle poranka, są ciemnoniebieskie.

Kontener stoi przed najszykowniejszym domem w Sättunie, inspirowaną włoskim stylem willą, którą lekarz Schough kazał sobie wybudować w latach czterdziestych. Kierowca Benny Karlsson spomiędzy wysokich lip otaczających ogród widzi dom, lśniąco biały, zadbane i zastanawia się, co jest w kontenerze, jakie śmieci wyrzucają tacy bogacze jak ci, którzy mieszkają w tym domu. Pozna odpowiedź, gdy będzie opróżniał kontener w zakładzie w Gärstad.

Tyłem podjeżdża śmieciarką pod kontener. Wysiada z klimatyzowanej kabiny i jest zdumiony tym, jak ciepły jest poranek. Czuje się napuchnięty po wczorajszych piwach i dudni mu w skroniach.

Spogląda w stronę kurhanu i zastanawia się, czy szczątki kości wikingów wciąż spoczywają w ziemi. Nikt nie wie, jak stary jest ten grobowiec, ale Benny chce wierzyć, że spoczywają tu wikingowie. Brutalni szaleńcy, którzy lubili za bardzo opić się miodem.

Duchy.

Czy wikingowie straszą tu po nocach?

Nie, nie ma żadnych duchów. Tylko senna idylla. Domy w głębi ulicy nie są już takie okazałe jak willa lekarza, ale i tak piękne, i chętnie by tu zamieszkał kiedyś, gdy sam założy rodzinę. Ma trzydzieści lat, więc jest jeszcze na to mnóstwo czasu.

Benny Karlsson spogląda na zegarek: siódma trzydzieści. Ma dzisiaj pełny grafik, więc zabiera się do roboty. Przyczepia łańcuchy do kontenera, a potem powoli, ostrożnie podnosi go na platformę ciężarówki. Starannie go mocuje, po czym znów wsiada do kabiny i odjeżdża w stronę miasta, z klimatyzacją ustawioną na maksimum.

Przed nim rozciąga się równina Östgöta. Barwy spalonej ochry po upalnym lecie i ciepłych początkach jesieni. Niemal jakby przeszedł tędy ogień. Po jednej stronie widzi wieżę klasztoru Vreta, po drugiej katedrę, a na wprost więcej wież, ale nie pamięta, jak się nazywają te kościoły. Mniejsza z tym. Nie ma żadnego Boga, a nawet gdyby istniał, to na bank nie chowa się w żadnym kościele na równinie.

Omija miasto i zjeżdża na E4 przed Tornby, widzi smugę dymu unoszącą się z fabryki farb i jedzie jeszcze trzy kilometry do zjazdu na teren zakładu w Gärstad. Oszklony, brązowo-żółty kompleks spalarni pośrodku pola przypomina współczesny kurhan, efektywny i kanciasty. Z trzech kominów unosi się dym, biały na tle błękitnego nieba, i Benny wjeżdża na asfaltowy plac; o tej porze jest tu sam.

Podjeżdża tyłem do sterty odpadów, przez jeden z wysokich na jakieś dwadzieścia metrów portali pomalowanych w ostrzegawcze żółto-czarne pasy.

Powietrze w kabinie jest teraz inne i Benny Karlsson kaszle. Obrzydliwy smród śmieci, brudu i odpadów wydaje się niemal nie do zniesienia, ale nic na to nie można poradzić. To część jego pracy.

Wysiada z ciężarówki. Na zewnątrz fetor jest jeszcze gorszy. Otwiera klapy kontenera, przechyla platformę do tyłu i teraz widzi, co wyrzucają bogacze.

Meble. Komiksy. Stary dziecięcy rower. Ubrania, butelki, to samo gówno co u wszystkich. Ale też dużo zabawek. Niezwykle dużo. Wyglądają na stare, nie tylko kolorowe plastiki.

Z kontenera wysuwa się więcej śmieci.

Benny Karlsson na krótką chwilę przestaje oddychać.

Co to jest, do diabła?

Skóra, włosy.

Twarz? Głowa?

Głowa nie powinna tak wyglądać.

Ma wrażenie, że nogi się pod nim uginają. Mimo to powoli podchodzi do sterty śmieci. Musi to zobaczyć, sprawdzić, czy wzrok go nie myli.

Ogarnia go uniesienie.

Wbrew jego woli.

Choć to dziwne, nie walczy z tym. Człowiek tak wiele czuje, chociaż wcale nie chce.

Znalazł zwłoki.

Małego chłopca.

Czasem fantazjował o czymś takim, że będzie tym, który odkryje ciało zamordowanego człowieka. Bo właśnie to leży na jakichś segregatorach i rozdartej reklamówce z ubraniami, w połowie ukryte pod starym fotelem.

Martwy człowiek.

Wtedy dostrzega szeroko otwarte oko. I w miejsce uniesienia pojawiają się mdłości.

Benny Karlsson splotuwa na ziemię. Ból głowy się nasila.

Pokazuje facetom stojącym dalej przy biurze, żeby do niego przyszli, i już wie, że ten dzień nie będzie przypominał żadnego innego.

W kontenerze były zwłoki. Opróżniłem kontener w zakładzie w Gärstad i były w nim zwłoki.

Zgłoszenie przyszło na posterunek dwadzieścia minut temu. I teraz Malin i Zeke wysiadają z samochodu przy wysypisku śmieci. W ich stronę idzie jakiś mężczyzna, niski i mocno zbudowany. Kołysząc się, przechodzi przez asfaltowy plac, wydaje się skarłowaciały na tle żółto-czarnych kolumn.

To musi być Benny Karlsson. Ten, który dzwonił.

Martwy chłopiec.

Na oko dziesięcioletni.

– Wygląda na to, że ktoś mu roztrzaskał czaszkę.

Benny Karlsson mówi z silnym akcentem z Östergötland. Tak silnym, że brzmi to niemal, jakby się wygłupiał, mimo powagi tego, o czym opowiada.

Tuż po nich przyjeżdża Elin Sand.

Lepiej, że będziemy we troje przy czymś takim, myśli Malin. Jeśli jest tak, jak twierdzi Benny Karlsson, wiadomość na pewno wstrząśnie miastem.

Pięciu mężczyzn zebrało się przy ciężarówce z kontenerem na platformie. Inna ciężarówka zatrzymała się pośrodku asfaltowego placu. Mężczyźni wpatrują się w gigantyczną stertę śmieci za kolumnami, smród sprawia, że Malin marszczy nos; widzi, że Zeke robi to samo.

– Leży tam dalej – mówi Benny Karlsson. – Niczego nie dotykaliśmy. To ja dzwoniłem, to moja ciężarówka.

Malin ściska mu dłoń. Spogląda na jego okrągłą twarz i natrafia na spojrzenie, które pyta z nadzieją: co teraz będzie? Jego dialekt i oczy nadają całej tej scenie nierzeczywistego wymiaru, jakby nie było tu żadnego chłopca, jakby dało się cofnąć czas, gdyby wszyscy wystarczająco mocno postarali się udawać. Karlsson dotyka skroni. Wygląda na to, że boli go głowa. Ma zaczerwienione oczy, może wczoraj pił?

Ja nie piłam.

Mężczyzna ubrany w żółty kombinezon oddzielił się od grupki i przyłącza się do nich. Jest chudy, około pięćdziesiątki, o ospowatej twarzy i rudych włosach. Podaje rękę Zekemu, wita się, przedstawia, ale Malin nie dosłyszała nazwiska, w każdym razie jest kierownikiem wysypiska, tyle jest jasne.

Nie podaje ręki Malin.

Choć Malin dopiero teraz to zauważa, Elin Sand stanęła za nią. Wyciąga rękę do kierownika.

– Elin Sand. Inspektor policji kryminalnej.

Kierownik zaciska zęby z bólu, gdy Elin potrząsa jego dłonią.

– Zapewniam was, że nikt niczego nie dotykał – mówi.

Chcę zobaczyć chłopca, myśli Malin.

– Gdzie on leży?

– Za samochodem – mówi Benny Karlsson.

– Chodźmy tam.

Malin chce zejść z prażącego słońca, zacząć pracę, szturcha kierownika, który stanął jej na drodze. Ten zamierza coś powiedzieć, ale Malin posyła mu tylko ostre spojrzenie.

Mężczyzna rozkłada ręce, zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd, ignorując ją przed chwilą.

– Nie chcecie ze mną porozmawiać? – słyszy za plecami głos Benny’ego Karlssona.

– W swoim czasie – odpowiada Malin i czuje, że w powietrzu wisi adrenalina, podekscytowanie i strach. – Przejdźcie tam, do drugiej ciężarówki – mówi, przepychając się między mężczyznami przy kontenerze.

Słuchają jej, ciężko człapiąc, wychodzą z cienia pod portalem.

Coś sprawia, że Malin idzie powoli. Widzi plecy Zekego, jej partner patrzy na wprost, na śmieci, stoi zupełnie bez ruchu, jego spojrzenie utkwione jest w tym, co widzi, i tylko lekki wiatr porusza jego żółtą bawełnianą koszulą.

Zeke milczy, Malin staje obok niego. Zmusza się, by spojrzeć w dół.

Chłopiec leży na boku.

Ma roztrzaskaną czaszkę i w jasnych, rozczochranych włosach widać ciemną zaschniętą krew. Jest ubrany w pomarańczową koszulkę z długim rękawem z jakimś niebieskim nadrukiem, dżinsowe szorty, a na nogach ma podniszczone tanie tenisówki, jakie można kupić w Ica Maxi.

Malin dostrzega jedno oko, otwarte. Ale w jego spojrzeniu nie ma życia, tylko szept: „Kto mnie zabił? Dlaczego?”.

I te pytania stają się pytaniami Malin. Musi znaleźć na nie odpowiedzi.

– Ktoś musiał roztrzaskać mu czaszkę – mówi Zeke. – Rurką albo pałką. Rana jest długa, nie pozostawił jej młotek ani podobne tępe narzędzie.

Zawsze najlepiej trzymać się faktów. Suchych faktów.

Malin czuje na skórze oddech Elin Sand. Ciepły, pełen tęsknoty. Słyszy jej głos.

– Kto przesłucha kierowcę? Ponoć zabrał ten kontener z Sättuny. Spod jakiejś szykownej chaty.

– Ty to zrób – mówi Malin i w tej samej chwili na miejsce dociera Karin Johannison, ostro hamuje swoim białym volvo kombi za samochodem Elin.

Zeke spogląda w jej stronę. W stronę swojej partnerki, kobiety, która jest przybraną matką jego adoptowanej córki.

Karin ma na sobie cienką różową bluzkę i czerwone dżinsy wpuszczone w żółte kalosze. Jakby chciała to wszystko powstrzymać kolorami, powiedzieć, że świat jest wesoły i dobry, ale Malin wie, że Karin nie ma takich złudzeń.

Odwraca się z powrotem do chłopca.

Jest samotny, opuszczony i Malin ma ochotę pogłaskać go po policzku, ale wie, że teraz nie wolno jej niczego dotykać.

Ile masz lat? Kto za tobą tęskni? Kto może chcieć tak bardzo skrzywdzić kogoś tak małego jak ty?

Pieprzony smród, pieprzony upał. Malin czuje woń ognia i zniszczenia z pieców na terenie zakładu. Całe szczęście, że nie zniknąłeś w jednym z nich, zanim cię znaleźliśmy.

Karin szybko zerka na chłopca.

– Możecie wszcząć śledztwo w sprawie morderstwa. Tę ranę zadała mu inna osoba.

– Od jak dawna nie żyje? – pyta Malin.

– Trudno powiedzieć – odpowiada Karin. – Ale biorąc pod uwagę, że ciało wygląda na sztywne, musiał zginąć jakoś w nocy.

Potem prosi Malin i Elin, żeby się cofnęły, i zaczyna ogradzać teren wokół ciężarówki i sterty śmieci. Wkłada biały kombinezon. Następnie bez wahania wchodzi między śmieci, zbliża się do chłopca, powoli naciąga białe lateksowe rękawiczki i odwraca go ostrożnie, tak że teraz widać oboje oczu.

Drugie jest zamknięte.

Wygląda to tak, jakbyś mrugał na zmianę, myśli Malin. Życie, śmierć, życie, śmierć. Ale Malin wie, że w tej chwili nie ma tu innego światła, prócz światła śmierci. Nawet zło nie jest obecne, jedynie jego ślady.

Elin Sand siedzi w biurze kierownika wysypiska razem z Bennym Karlssonem. W pomieszczeniu znajdują się proste biurowe meble, na biurku stoi cienki laptop, obok niego wentylator. Ściany od podłogi do sufitu pokrywają segregatory i Elin się zastanawia, co w nich jest. Co może być tak skomplikowanego w śmieciach, żeby wymagało takiej ilości papierów?

Ale co ja tam mogę wiedzieć? – myśli i tęskni do wieczornego biegania. Każdą zarobioną koronę wydaje na trenera, jego opinie na temat jej techniki biegania sporo jej pomogły. „Wyżej, swobodniej!”

Benny Karlsson opowiedział jej, jak pojechał po kontener, jak dotarł do zakładu i chłopiec wypadł razem ze śmieciami. Podał nazwisko i adres kobiety, która zamówiła ten kontener. Drugi wóz z technikami jest już w drodze, by zabezpieczyć ślady, które ewentualnie tam zostały.

Elin Sand jest przekonana, że Karlsson nie ma nic wspólnego z zamordowaniem chłopca. Przyszedł na swoją zmianę i akurat był tym, któremu przypadło to zadanie.

– Nie ma pani do mnie już żadnych pytań? – dziwi się Benny Karlsson. – To przecież ja go znalazłem.

W jego ustach brzmi to jak dokonanie warte zamieszczenia w CV i Elin zdaje sobie sprawę, że jego kumple będą słuchać do znudzenia opowieści o dzisiejszym przedpołudniu.

– Jeszcze jedno pytanie, żeby wszystko było jasne. Co pan robił wczoraj wieczorem i w nocy?

– Byłem na Stora Torget. Obaliłem parę browarków z chłopakami. Mogę podać ich numery.

Potem Benny podaje jej trzy numery do ludzi, z którymi ponoć imprezował poprzedniego wieczoru.

– Wypiłem tylko trzy piwa. Nigdy więcej nie piję, kiedy następnego dnia pracuję.

Elin wstaje. Wychodzi z pokoju.

– A co ze mną? – słyszy za plecami głos Benny’ego Karlssona.

– Może pan już iść.

– A ciężarówka?

– Może ją pan odebrać tutaj albo z parkingu przy posterunku, kiedy skończymy. Zadzwońmy do pana.

Kilka minut po tym, jak Elin wychodzi z biura szefa wysypiska, na miejscu pojawia się wóz „Corren”, ale to nie Daniel z niego wysiada.

Odkąd wrócił do pracy po zwolnieniu, pracuje w redakcji. Redaguje teksty innych,

śledzi serwisy informacyjne, weryfikuje fakty, robi notatki. Powiedział jej, że nie jest jeszcze gotowy na wypadki i miejsca zbrodni i Malin go rozumie, gdy patrzy na nosze, na których leży chłopiec w żółtym worku na zwłoki.

Karin Johannison grzebie w śmieciach, ale wygląda na to, że nie znalazła niczego ważnego. Jeden z jej kolegów, młody mężczyzna, którego Malin widzi po raz pierwszy, sprawdza szoferkę ciężarówki, szuka śladów krwi, jeśli to mimo wszystko Benny Karlsson przywiózł chłopca po tym, jak sam wrzucił go do kontenera.

Zeke stoi w cieniu przy śmieciach. Rozmawia przez telefon.

Reporterka z „Corren” podchodzi do Malin. Ciemnowłosa kobieta w jej wieku, z zadartym nosem. Niemal wtyka jej komórkę w twarz i Malin ją odsuwa.

– W tej chwili nie mam nic do powiedzenia.

Tak naprawdę chce zapytać: „Czy Daniel był w redakcji, kiedy wyjeżdżałaś?”.

Ale jak by to wyglądało?

Macha do Zekego, żeby do niej podszedł.

– Możesz pogadać z „Corren”?

– Jasne.

I Zeke prowadzi reporterkę do biura, Malin widzi przez okno, jak odpowiada na pytania, a równocześnie sama się zastanawia, jak najlepiej pchnąć naprzód pracę.

Priorytetem jest zidentyfikowanie zwłok. Trzeba przesłuchać kobietę, która zamówiła kontener. Popukać do drzwi okolicznych domów. Ktoś mógł coś widzieć w tak małej miejscowości. W Sättunie sąsiedzi na pewno patrzą sobie na ręce.

Na niebie utworzyła się samotna chmura, mała i pulchna jak narośl na idealnym ciele. W wietrze nie czuć jeszcze chłodu, ale dogasa już ostatni żar lata.

Jeszcze do niej do końca nie dotarło, że tam dalej, na noszach, leży mały chłopiec. Że jesień się zacznie od zamordowania dziecka.

W wyobraźni widzi Tove, kiedy miała dziesięć lat. Piękną, pełną energii i dzielną. Zawsze z nosem w książce.

Ale też smutną. Zagubioną, wystraszoną.

Zagubioną w obliczu moich wiecznych kłótni z Jannem, mojej nienasyconej miłości do butelki, która uczyniła mnie szaloną i brutalną. Całego mojego wstydu i wszystkich moich wad.

Ma ochotę wejść pod prysznic i spłukać z siebie wstyd.

Na szczęście miałyśmy więcej czasu, Tove.

Chłopiec leżący w tym żółtym plastiku go nie miał.

Kim jest twoja mama?

Twój tata?

Kim byłeś?

Malin podchodzi do noszy, ostrożnie rozsuwa zamek błyskawiczny i widzi jego twarz.

Oczy są teraz zamknięte, ale w jego zalęknionych rysach widać strach na tyle silny, by pozostał nawet po śmierci.

Nie ma tu spokoju, myśli Malin.

Nie może się dłużej powstrzymać, głaszcze go po policzku. Chłód w ciepłe.

Wyjmuje telefon. Dzwoni do Daniela.

Daniel nie odbiera.

Ale po minucie przychodzi esemes:

„U mnie wszystko w porządku”.

Nie żyję, wiem o tym.

Unoszę się wśród barw, które przypominają ogień, ale nie jest gorąco i nie boli, nie tak jak wcześniej, więc wiem, że nie jestem w piekle.

Wokół mnie chodzi teraz mnóstwo ludzi. Zdają się mną przejmować.

Jedna z nich głaszcze mnie po policzku.

Ha.

Niezły żart.

Gdyby troszczyli się o mnie, kiedy żyłem, może jeszcze bym żył.

Rozglądam się wokół.

Tata.

Czy teraz wreszcie będę mógł cię spotkać?

Zdążyłem się wystraszyć. Zrozumieć, że umrę.

Mimo to chciałem żyć.

Toskania. Umbria. Piemont.

Albo jakieś inne miejsce, w którym nie byłam, myśli Malin, kiedy razem z Zeke zbliżają się do willi w Sättunie. Jakiś mężczyzna w niebieskim kombinezonie siedzi w samojezdnej kosiarce i jeździ powoli w tę i z powrotem po gigantycznym trawniku. Na wypielęgnowanych rabatach rosną róże i Malin przypomina sobie nagle, że była tutaj, kiedy prowadzili śledztwo w innej sprawie, wiele lat temu, ale teraz na pewno mieszkają tu inni ludzie.

Dom lśni bielą świeżutkiego tynku. Miedziany dach niemal paruje w słońcu, a za drzewami, patrząc w stronę Roxen, Malin dostrzega słynny kurhan. Setki prastarych zwłok poukładane jedno na drugim, wspomnienie z czasów tak niepodobnych do naszych, choć kierowały nimi te same pragnienia, ta sama tęsknota.

Nic się nie zmieniło.

Ale mimo to wszystko jest inaczej.

W miejscu, gdzie stał kontener, pracują technicy. Zdejmują odciski butów i kół w piachu na poboczu. Szukają innych śladów. Mundurowi zaczęli już pukać do drzwi w okolicy.

Mężczyzna na traktorku-kosiarce macha do nich, ale się nie zatrzymuje. Malin unosi rękę na powitanie i zauważa, że Zeke nie kiwa nawet głową.

Wrzecionowate kolumny podtrzymują kamienny daszek nad wejściem. Drzwi są świeżo przeszlifowane, polakierowane. Zeke naciska dzwonek i po kilku sekundach otwiera im gruba, rumiana kobieta; na oko może mieć jakieś sześćdziesiąt pięć lat.

– Już jesteście.

Nazwisko, które podała jej Elin, nic Malin nie mówiło. Ale teraz poznaje tę kobietę.

Peggy Dunsell.

Znana w mieście przedsiębiorczyni. Założyła firmę importującą pluszowe zwierzaki z Chin, stała się monopolistką na szwedzkim rynku, sprzedała firmę i teraz jest bogata jak Sknerus McKwacz.

Zasiada w zarządzie. Nie grzeszy delikatnością.

– Czekałam, aż przyjedziecie – mówi. – Zrobiło się tutaj takie zamieszanie i nikt nie chce mi powiedzieć, o co chodzi. Ci tam dalej, wydaje im się, że kim są? Mówili, że są z policji i że niedługo inspektorzy będą chcieli ze mną rozmawiać. I że do tego czasu nie wolno mi nigdzie wyjeżdżać.

– Zamordowano małego chłopca – mówi Malin. – To technicy kryminalistyczni.

Twarz Peggy Dunsell ledwie zauważalnie się zmienia. Nie jest zdumiona ani przerażona, raczej wygląda na to, że zaakceptowała wyjaśnienie. A może gra i dokładnie wie, jakie uczucia powinna uzewnętrznić?

– Proszę nas wpuścić – mówi Zeke i unosi swoją legitymację.

Wydaje się, że stanowczy ton Zekego sprawia, że kobieta na chwilę traci rezon. Ale zaraz pokazuje im gestem, żeby weszli do środka.

– Nie musicie zdejmować butów.

Idzie przodem w głąb domu, przez przedpokój z gustawiańskimi meblami. Na ścianie wisi obraz Carla Larssona, na oko oryginał. Motyw z Sundborn. Reszta domu jest umeblowana w tym samym stylu, staromodnie, co ostro kontrastuje ze swobodą i elegancją elewacji.

Próbujesz kupić sobie przodków, myśli Malin.

W drugim, wewnętrznym przedpokoju wisi szafka na broń. Dwa sztucery, śrutówka i pistolet, za szkłem i pod kluczem.

Malin chce spytać Peggy Dunsell, czy poluje, ale daje sobie spokój. To jej sprawa.

Siadają w pomieszczeniu, które jest dużym pokojem, ale właścicielka domu nazywa je salonem. Poprawia jedwabną spódnicę. Choć dzień jest ciepły, ma na sobie błyszczące rajstopy.

– No dobrze – mówi. – Powiedzcie, co się stało i jak wam mogę pomóc.

– Mieszka tu pani sama? – pyta Zeke.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Możliwe. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Spojrzenie Peggy Dunsell pochmurnieje.

– Niech pan nie będzie bezczelny, bo ta rozmowa skończy się tu i teraz. Mam całą armię adwokatów.

– Proszę wybaczyć mojemu koledze – mówi Malin i myśli, że w głosie Peggy Dunsell słyhać wieloletnie nadużywanie alkoholu. – Ale musi pani odpowiedzieć.

– Najpierw chcę usłyszeć wyjaśnienie. Dlaczego tu jesteście? Zamordowano chłopca, ale jaki to ma związek ze mną?

Malin opowiada o dziecku w kontenerze. Kobieta zachowuje kamienną twarz, mówi tylko: – Miałam synka, który umarł na raka, kiedy był w tym wieku. To było wiele lat temu. Mój mąż zmarł kilka lat później. Od tego czasu jestem sama.

– Dlaczego zamówiła pani kontener? – pyta Malin.

– Wprowadziłam się tutaj rok temu. Nie miałam wtedy sił, żeby zrobić porządek z moimi rzeczami, więc zrobiłam to teraz. I chciałam się pozbyć śmieci.

Zabawki w kontenerze. Rowerek. Ubrania. No to mamy wyjaśnienie.

– Wyrzuciła pani rzeczy synka?

– Tak.

– Nie wiemy, kim jest ten chłopiec – mówi Zeke. – Może pani wie?

– Nie. – Peggy Dunsell się prostuje. – Nikt nie zgłosił zaginięcia?

Malin kręci głową.

– Czyli nie ma pani pojęcia, kim on może być? – pyta.

– Mogę was zapewnić, że nie znam żadnych małych chłopców. Po śmierci syna poświęciłam wszystkie siły interesom. Nie mam rodziny ani przyjaciół.

Wierzę ci, myśli Malin wpatrując się w jej obrzękniętą twarz. Masz tego samego przyjaciela co ja kiedyś. Ale tobie przynajmniej nie trzęsą się ręce.

– Jak długo kontener tam stał? – pyta Malin.

– Trzy dni.

– Zauważyła pani coś dziwnego?

– Nie.

– Nocą i wieczorami też nie? – pyta Zeke.

– Wczoraj i w poprzednie dni wcześniej się kładłam.

– Czyli była pani w domu w te wieczory, gdy kontener tutaj stał? – pyta Zeke.

Peggy Dunzell kiwa głową.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Kobieta wybucha śmiechem.

– Nie słyszał pan, co przed chwilą mówiłam? Możecie poprosić szkielety z kurhanu, żeby potwierdziły, czy byłam wczoraj w domu. Straszą tu po nocach. Jeszcze jakieś pytania?

– Jeszcze kilka – mówi Malin. Mimo wszystko zaciekała ją broń. – Ta broń w przedpokoju należy do pani?

Peggy Dunzell kiwa głową.

– Należała do mojego męża. To pamiątka po nim. Polował i strzelał z pistoletu.

– Pani też to robi? – pyta Zeke.

– Czy poluję? Strzelam z pistoletu? Nie. Ale nie martwcie się, pozwolenia są w porządku.

– To świetnie – mówi Malin. – Czy inne osoby miały dostęp do kontenera?

– Nie był zamykany na klucz. Każdy mógł go używać. – Przez chwilę wydaje się zastanawiać. – Wystawiłam go na ulicę, bo myślałam, że na pewno znajdą się tu inni ludzie, którzy by chcieli wyrzucić śmieci. Jestem dobrze sytuowana, stać mnie na to. A do śmieci trafił mały chłopczyk. Obrzydliwe. To jakieś szaleństwo.

– Powiedziała pani sąsiadom, że mogą go używać? – pyta Zeke.

– Nie. I tak to robili bez pytania.

Wychodząc z domu, Malin szuka wzrokiem butelek. Żadnych nie widzi. Ale są tutaj. Ukryte. Bo jednego jest pewna, że kiedy alkoholik chce sprawić, żeby świat wokół zniknął, krople są zawsze w zasięgu ręki.

Göran Möller siedzi w swoim pokoju, rozparty na krześle, które kiedyś należało do Svena Sjömana. Czuje, że unosi się tutaj duch jego poprzednika.

Odkąd Sven przeszedł na emeryturę, jego noga nie powstała na posterunku. Mimo to jest obecny w metodycznym, a jednak swobodnym sposobie pracy grupy, w którym jest mnóstwo miejsca na intuicję i kaprysy Malin.

Göran wygląda przez okno, patrzy na białą fasadę Szpitala Uniwersyteckiego, na zielony daszek nad wejściem. Na ludzi, którzy pośpiesznie wchodzą i wychodzą.

Linköping.

Pieprzone miasto.

Biedni i bogaci mieszkają tu na odległość krzyku. Większość dzieciaków chce się stąd wyrwać, działają brutalne gangi. Zaledwie tydzień temu dziewiętnastoletni gangsterzy grozili nauczycielowi ze szkoły w Johannelund, bo próbował ich powstrzymać, kiedy szarpali się z ósmoklasistą. Kłótnia o narkotyki. Gangi wykorzystują naprawdę młode dzieciaki jako kurierów. Najpierw dostawy i załatwianie drobnych spraw, potem przemoc.

A teraz ktoś roztrzaskał czaszkę chłopcu i wygląda na to, że nikt nie zauważył jego nieobecności.

W chwili, gdy to myśli, dzwoni telefon na jego biurku. To Ebba z recepcji.

– Właśnie otrzymaliśmy zgłoszenie, że zaginął chłopiec – mówi. – Czy to może być ten nasz?

Göran notuje nazwisko i numer PESEL dziecka. Szuka zdjęcia paszportowego,

niczego nie znajduje, wyszukuje w Google i trafia na zdjęcie z książki pamiątkowej szkoły Tornhagsskolan. Wysyła je Malin przez WhatsApp.

Patrzy, jak wiadomość wychodzi.

To musi być ich chłopiec.

Lukas Klasén.

W czerwcu skończył dziewięć lat. Mieszkał z mamą w Abisko.

Rysopis się zgadza, a Malin go widziała.

Göran Möller zamyka oczy, na chwilę ucieka w świat sztuki. Co dziś chcę zobaczyć?

Przed jego oczami pojawia się czerwone abstrakcyjne dzieło Gerharda Richtera. Obraz w jego wyobraźni jest jak ściana krwi. A więc otwiera oczy.

Malin nie odpowiada.

Malin i Zeke rozmawiają z emerytem mieszkającym w jednym z domów przy drodze do Linköpingu, kiedy piszczy jej komórka.

Mężczyzna mieszka sam. Nie spał w nocy i widział samochód jadący w stronę Sättuny, około czwartej. Ale za nic nie potrafi sobie przypomnieć koloru ani marki, numerów rejestracyjnych oczywiście też nie.

Ze schodów na jego ganku Malin spogląda na Roxen i wydaje jej się, że widzi budowę w połowie drogi do Sandvik. To jedna z atrakcyjnych działek, o których dyskutowano w radzie gminy, zanim zostały uwzględnione w planie zagospodarowania i można było wydać pozwolenie na zabudowę.

Mężczyzna obiecuje, że spróbuje sobie przypomnieć, a gdy wracają do samochodu, Malin odbiera wiadomość od Görana Möllera.

Ogląda zdjęcie.

Twarz wyrażająca pewność siebie, wpatrują się w nią zadziorne oczy, pełne życia, choć zdjęcie jest czarno-białe. Ale chłopiec wydaje się też pełen rezerwy, jakby się wahał, jakby wiedział, że nie może liczyć na świat.

Malin czuje, jak jakaś ogromna ręka chwyta jej wnętrzności i serce.

Chce jej wyrwać trzewia.

To on.

To ich chłopiec.

Lukas Klasén.

Jeśli to on, pisze Göran, jedźcie prosto do jego matki i przekażcie to, co musicie.

Rondo Abisko.

Mały placzyk z tajskim masażem, apteką i pięcioma pustymi lokalami handlowymi, których popękane szyby trzymają się na taśmie. Trochę mieszkań do wynajęcia w dwupiętrowych budynkach z czerwonej cegły stojących wokół placzyku i w jednym z nich mieszka ponoć matka Lukasa Klaséna.

Linda Klasén. Dwadzieścia sześć lat.

Kiedy urodziła dziecko, była o wiele młodsza ode mnie, myśli Malin, gdy zbliżają się do wejścia na klatkę.

A potem ta cyniczna, zazdrosna myśl: możesz mieć więcej dzieci. Jesteś jeszcze młoda.

Ona i Zeke idą przez plac. Czarno-biała kostka brukowa pod butami. Ruch uliczny na Vasavägen i Bergsvägen musi nieustannie dawać się we znaki w mieszkaniach. Kątem oka Malin dostrzega cysterne powoli sunącą w stronę rejonu przemysłowego w Tornby.

Nie mają kodu do domofonu. Próbuje wstukać ten używany przez listonoszy, ale nie działa. Wtedy jakiś ciemnoskóry starszy mężczyzna schodzi po schodach i otwiera drzwi. Nie patrzy na nich, wychodząc na słońce, nie dba o to, że dostaną się do budynku.

Mam nadzieję, że jej nie ma, myśli Malin. Wtedy może ktoś inny później się tym zajmie. Ale Linda Klasén jest ponoć bezrobotna, więc pewnie jest w domu albo wyszła szukać syna.

Piszczą jej komórka. Malin otwiera wiadomość od Karin. Zbliżenie twarzy Lukasa Klaséna. Nie widać rany na głowie, na jasnych lokach otaczających czoło i policzki nie ma śladu krwi i wygląda to tak, jakby chłopiec tylko na chwilę zasnął.

Wydaje się spokojny.

Karin się postarała i Malin słyszy jej szept: „Pokaż jego mamie to zdjęcie. Pomyśleć tylko, że to by mogła być Tess albo Tove”.

W nozdrza Malin i Zekego uderza smród alkoholu i brudu. Młoda kobieta stojąca w przedpokoju jest ubrana w różową nocną koszulę. Jej włosy opadają w strąkach na chude ramiona. Linda Klasén mogłaby być śliczna, gdyby nie miłość do butelki.

Jej oczy na pewno były kiedyś niebieskie, ale zdążyły już przybrać tę szarzieloną barwę, jaką przybiera tęczę u wszystkich nałogowych alkoholików i jaką Malin czasem, w pewnym oświetleniu, dostrzega we własnych oczach.

Spogląda w twarz Lindy Klasén i czuje się tak, jakby patrzyła na własne odbicie i widziała tylko słabość, brzydotę i wstyd, przypomnienie o tym, jak mogło być, ale nigdy do tego nie doszło.

– Jesteśmy z policji – mówi Zeke. – Chcielibyśmy porozmawiać z panią o synku. Możemy wejść?

Malin unosi przed twarzą legitymację jak tarczę.

– Wejdźcie.

Malin myśli o Peggy Dunzell. O tym, że pragnienie alkoholu kieruje życiem we

wszystkich warstwach społecznych.

Mieszkanie składa się z niewielkiego przedpokoju, wnęki kuchennej i dużego pokoju z sofą do spania. Są tu również zamknięte drzwi, które muszą prowadzić do sypialni. Meble wyglądają jak kupowane w sieci Myrorna, zbieranina z różnych epok, nikt tu nie sprzątał od wielu tygodni. Butelki i brudne talerze tłoczą się niemal wszędzie. W powietrzu brzęczą muchy i Malin ma ochotę odwrócić się na pięcie, uciec stąd, ale zdejmuje z krzesła karton po pizzy i siada naprzeciw Lindy Klasén, która opadła na zieloną sofę.

Tutaj mieszkałeś, Lukas, myśli Malin. W tej śmierdzącej norze. Jak to było tutaj mieszkać, z Lindą, mamą pełną wad? Ale na pewno twoja mama ma też dobre strony, tak jak wszyscy ludzie. Chyba dałam Tove miłość? I Malin spogląda ponad zniszczoną twarzą Lindy Klasén na drzewo rosnące za oknem, jego pożółkłe liście niemal płoną w promieniach słońca.

Zeke usiadł na krześle obok Malin i Linda Klasén zwraca się do niego z pytaniem.

– Przyszliście, żeby zapytać mnie o niego, prawda? To dlatego tu jesteście?

Jest trzeźwa, myśli Malin. O ile lepiej byłoby dla niej, gdyby teraz była pijana. A po tym spotkaniu będzie chciała być pijana już zawsze, jeżeli już teraz tego nie pragnie.

Mogła to zrobić, myśli potem Malin. Zabić synka po pijanemu i pozbyć się zwłok.

– Chcieliśmy panią prosić, żeby obejrzała pani zdjęcie – mówi Zeke. Daje znak Malin, która wyjmuje komórkę, otwiera plik ze zdjęciem Lukasa przysłanym przez Karin. – To pani syn? – pyta.

Kobieta kiwa głową.

– Dlaczego zrobiliście mu zdjęcie, kiedy spał?

Malin ani Zeke nie są w stanie odpowiedzieć, choć oboje wiedzą, że muszą.

– Bo on śpi, prawda? Kurwa, powiedzcie, że śpi. – Linda Klasén wstaje, pochyla się w stronę Malin, chwyta ją za ramiona i krzyczy: – ON ŚPI, ON ŚPI!

Zeke obchodzi stół, chwyta ją, odciąga ją do tyłu, obejmuje. Kobieta nieruchomieje. Potem siadają obok siebie na sofie, Zeke otacza ją ramieniem.

– Niestety, musimy panią poinformować, że pani syn nie żyje – mówi Malin. Przerywa na chwilę. Czeka na reakcję, ale jest tak, jakby zmęczonego ciała Lindy Klasén nie było stać na więcej wzburzenia. Malin ciągnie: – Znalaziono go dziś rano. Został zamordowany.

Żadnych szczegółów. To musi wystarczyć.

Matka Lukasa wpatruje się w Malin, otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, potem charkot, który przechodzi w przeciągły krzyk, który wypełnia cały pokój zmrożoną rozpaczą.

Linda Klasén milknie. Opiera głowę na ramieniu Zekego, cicho płacze, sięga po napoczętą butelkę wina, która stoi na małym stoliku. Pije wielkimi łykami, a oni nie próbują jej powstrzymać.

Muszą jej zadać mnóstwo pytań i bez wina nigdy nie dałaby rady na nie odpowiedzieć.

Przestaje pić po pięciu wielkich łykach. Odstawia butelkę na miejsce, i Malin poznaje ten spokój. Uczucie ciepła i miękkości, jakiego teraz doświadcza.

– Jak zginął? Gdzie go znaleziono?

Jej głos jest przepelniony wstydem, rezygnacją. Jakby wiedziała, że tylko ona i nikt inny ponosi winę za śmierć syna.

Malin odpowiada na jej pytania, przemilcza drastyczne szczegóły, a Linda Klasén

kiwa głową.

– Wiedziałam, że spadnie na mnie kara – mówi, opadając na oparcie sofy. – Ale czy to się musiało stać w taki sposób? – Milknie. Jej twarz wykrzywia się w grymasie. – Co on złego zrobił?

Malin odwraca wzrok, nie jest w stanie na nią patrzeć.

– Nigdy nie było gorszej matki niż ja. – Linda Klasén głęboko wciąga powietrze do płuc, jakby usiłowała zatrzymać w sobie rozpacz, zdusić krzyk.

Malin i Zeke milczą.

– Kto mógł to zrobić? Miał przecież dopiero dziewięć lat...

W głosie Lindy Klasén słychać autentyczną rozpacz i Malin wątpi, by miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią syna. Matki rzadko zabijają własne dzieci. Kiedy już do tego dochodzi, najczęściej są chore psychicznie, ale w przypadku Lindy Klasén nie ma o tym mowy.

– Co wczoraj robił Lukas? Kiedy widziała go pani po raz ostatni? – pyta Zeke.

– Piłam w domu. A on tu był. Potem jakoś koło dziesiątej usnęłam, a kiedy obudziłam się dzisiaj rano, nie było go. Więc zadzwoniłam do was. Pomyślałam, że tak będzie najlepiej.

– Nie sprawdzała pani, czy był w szkole?

– Nie pojawił się tam.

– A komórka?

– Nie miał komórki.

– Mógł zniknąć już wczoraj wieczorem? – pyta Zeke.

– Mógł. Zwykle się mną zajmował, przygotowywał jedzenie, a potem znikał, kiedy zasnęłam. Mówił mi, że czasem tak robi.

– Wie pani, dokąd wtedy chodził? – pyta Malin. – Mógł pójść do jakiegoś kolegi?

– Nie ma kolegów. Inni rodzice nie chcą, żeby ich dzieci bawiły się z kimś, kto ma taką matkę jak ja. Bawił się zwykle w lasku Ryd.

– Czyli mógł tam pójść? – pyta Malin. Widzi w wyobraźni samotnego chłopca w ciemności. Chłopca, który nie miał żadnych przyjaciół.

Kobieta słabo kiwa głową.

– Byliście wczoraj sami? – pyta Zeke.

Malin się rozgląda. Wszędzie stoją kieliszki, nie sposób powiedzieć, ile osób tu wczoraj piło ani nawet czy to było wczoraj.

– Byliśmy tylko my. Jeśli chcecie, zajrzyjcie do jego pokoju. Ma tam ładnie.

Malin wstaje. Podchodzi do zamkniętych drzwi.

Pokój jest posprzątany, schludny. Pościel wygląda na czystą. Na ścianie wisi plakat z czerwonym ferrari. Na małym biurku leży sterta podręczników.

– Sam tam sprzątał – woła Linda Klasén.

To był twój azyl, myśli Malin. Nad wezglowiem łóżka wisi czarno-białe zdjęcie młodego mężczyzny. Kto to? Obok zdjęcie Lukasa. W jednej ręce trzyma łuk, w drugiej strzałę.

Malin wychodzi z pokoju.

– A tata Lukasa? – pyta. – Gdzie go znajdziemy?

Linda Klasén pociera ręce.

– Na cmentarzu. Zginął, zanim urodził się Lukas. W wypadku samochodowym. To on

jest na tym zdjęciu nad łóżkiem.

Malin kiwa głową.

– Jacyś inni krewni?

Linda Klasén zaprzecza.

– Nikogo?

– Nie. Tylko my.

– Macie samochód? – pyta Zeke.

Kobieta cofa podbródek, posyła im spojrzenie, które mówi: odbiło wam?

– Nigdy nie zrobiłam prawa jazdy. I skąd miałyby mnie być stać na samochód?

– Na pewno byliście tu sami? Przez cały wieczór? – pyta Malin. – Może po całym tym piciu zawodzi panią pamięć? Niech się pani jeszcze raz zastanowi.

Linda Klasén wydaje się intensywnie myśleć w świeżych oparach wina. Potem uderza ręką w stół.

– Niech mnie diabli, ma pani rację. – Zapala papierosa.

– Czyli ktoś tutaj był? – wypytuje Malin.

– Tak, Liston tu był.

– Liston?

– Liston Johansson, czasem do mnie przychodzi. To mój kumpel. Może wiecie, który to. Zwykle zgarniacie go po pijaku.

Malin nie kojarzy Listona Johanssona, w mieście jest wielu alkoholików i nie zna ich wszystkich.

– Pokłóciliście się? – pyta Zeke.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Bo może doszło do jakiejś awantury i chłopiec próbował się wtrącić, a wtedy któreś z was rozzłościło się na niego i go uderzyło.

– Widzicie tu jakąś krew?

Znów sięga po butelkę, ale Malin jest szybsza, strąca ją na podłogę i mówi: – Dość tego. Twój syn nie żyje.

– Co ty, kurwa, robisz?! To moje wino, policyjna kurwo.

– Wyszliście z mieszkania wszyscy troje? Ty, Liston i Lukas? – pyta Zeke.

– Zasnęłam. Nie wiem, gdzie się podział Liston. Ani Lukas. Myślicie, że mam z tym coś wspólnego? Co? Jesteście aż tak durni?

– Czy ten Liston może ci dać alibi na tę noc? – pyta Zeke.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Jego też nie było, kiedy się obudziłam.

– Czy mógł wyjść razem z chłopcem?

Linda Klasén bierze głęboki oddech. Nie odpowiada na pytanie.

– Musimy dostać jego numer i adres.

Kobieta recytuje numer, potem adres, Zeke wstukuje dane do telefonu.

– Na pewno go znajdziecie przy słuzach na Stångån. Przesiadują tam przy ładnej pogodzie.

– Lukas lubił Listona?

– Nie wiem. Listona nie interesują mali chłopcy. Przychodzi tutaj się napić i do mnie.

Linda Klasén patrzy na Zekego i unosi brwi. Rozsuwa lekko nogi.

Nie rób tak, myśli Malin, ale wie, że to alkohol steruje jej ciałem, nie mózgiem.

– Nie wiesz, kto mógł zamordować twojego synka?

Malin stara się, by jej głos brzmiał przyjaźnie, ale nie do końca jej się to udaje. Dlaczego, u diabła, opieka społeczna nie zadbała, żeby Lukas Klasén nie musiał dorastać w tej piekielnej norze? Wszystko byłoby lepsze od tego. I jak to, kurwa, możliwe, żeby matka tak nisko upadła?

Ja nie upadłam tak nisko.

Ale kim jestem, żeby to oceniać?

Mimo wszystko byłam bliska dna i Tove była wtedy ostatnim, o czym myślałam.

Linda Klasén kręci głową.

– Znasz niejaką Peggy Dunzell? – pyta Zeke.

– Nigdy o nikim takim nie słyszałam.

– Kto mógł chcieć skrzywdzić Lukasa? – Malin wypowiada te słowa powoli.

– Nie mam pojęcia. Nie mam żadnych wrogów, a on miał dopiero dziewięć lat.

– Zastanów się dobrze.

– Nikt się nie przejmował ani mną, ani nim – mówi Linda Klasén. – Zupełnie jakbyśmy nie istnieli, i teraz to prawda.

Potem zamyka szarozielone oczy i zaczyna płakać, po jej policzkach spływają duże, ciężkie łzy.

Malin chce wyciągnąć rękę, otrzeć te łzy, ale się powstrzymuje.

W studiu tatuażu mężczyzna w kraciastej koszuli, z zadbaną bródką, robi jakiejś młodej dziewczynie tatuaż na ramieniu. To smok ziejący ogniem na jej szyję.

Malin nigdy nie chciała się tatuować, ale gdy widzi tę dziewczynę za szybą, nagle ma ochotę ozdobić swoją skórę prostym sercem na ramieniu, w które będą wpisane imiona Tove i Daniela. W ten sposób zawsze będzie ich miała przy sobie, stanie się szamanką, zadba, żeby nic im się nie stało.

Im bardziej skomplikowana prawda, tym prostsze rozwiązanie.

Coś w tym stylu.

Teraz w mieszkaniu, które opuścili, Linda Klasén upija się na pewno do nieprzytomności. Może nawet zapija się na śmierć, a oni nie mogą jej powstrzymać.

Może śmierć byłaby dla niej najlepsza, myśli Malin.

Chce pilnie przesłuchać Listona Johanssona, ale Göran Möller przed chwilą przysłał esemesa i wezwał ich na spotkanie.

Malin wie, jak myśli Göran. Takim śledztwem trzeba właściwie pokierować. Od początku dobrze trafić. Każda sekunda się liczy.

Gdy jadą na posterunek, Malin wchodzi na stronę „Corren”. Wiadomość o morderstwie widnieje na samej górze. Piszą, że w zakładzie w Gärstad znaleziono nieżywe dziecko, najprawdopodobniej zamordowane.

Odpadki, myśli Malin, dziecko jak odpadek. Mogę zrobić dla niego chociaż tyle, że znajdę jego mordercę.

W przedpołudniowym upale miasto jest niemal wyludnione.

Opuszczone.

Jakby ludzie postanowili, że mają wszystko gdzieś.

Nie pij teraz, mamo.

Jestem sam, ale nie chcę cię tutaj. Już nigdy nie chcę cię widzieć.

Bo cię nienawidzę, mamo. I kocham. Jesteś jedyną mamą, jaką miałem.

Nigdy nie poznałem taty.

Chcę go spotkać i teraz go wołam.

Tato! Tato!

Bawiłem się w lesie. Był mój. Czasem było zimno, ale dopóki się ruszałem, nie marzłem.

Nie pij więcej, mamo.

Butelka cię nie pocieszy.

W sali konferencyjnej na suchościeralnej tablicy Göran Möller zapisał dużymi niebieskimi literami nazwisko chłopca.

LUKAS KLASÉN

Zdążyło się zrobić wpół do jedenastej.

Johan Jakobsson siedzi naprzeciw Malin. Wygląda na zaspanego, głowa mu się kiwa. Pewnie ma za sobą paskudną noc. Elin Sand siedzi u szczytu stołu, obok niej Börje Svärd. Zeke niecierpliwie bębni palcami w blat, zdaje sobie sprawę z tego co wszyscy.

Właściwie nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

Zamordowano małego chłopca, wrzucono zwłoki do kontenera i to wszystko, co wiemy.

Malin wygląda przez okno. Przedszkole, które mieściło się tam przez te wszystkie lata, zimą zostało zamknięte. Teraz jest tam sąd rejonowy. Plac zabaw został, ale huśtawki, drabinki i domek zabaw stoją nieużywane. W pokojach, w których kiedyś bawiły się dzieci, teraz siedzą sądowi kanceliści, młodzi karierowicze w garniturach i kostiumach. I gorliwie pracują.

Göran Möller chrząka.

– Jak wszyscy wiecie, mamy niewiele. Kto chce zacząć?

– Kiedy Karin skończy sekcję zwłok? – pyta Elin Sand.

– Mam nadzieję, że jeszcze dziś. Ale po wstępnych oględzinach wydawała się przekonana, że chłopiec zginął od uderzenia w głowę. I że kiedy go znaleziono, nie żył już od czterech do ośmiu godzin.

– W takim razie był poza domem dość późną porą – stwierdza Malin.

W wyobraźni widzi Lukasa Klaséna, który włóczy się samotnie po ulicach, szuka czegoś, czegokolwiek, kogokolwiek. Widzi go w ciemnym lasku Ryd. Jak bawi się w Indianina. Ale chyba chłopcy już się w to nie bawią?

– Coś jeszcze? – pyta Börje.

– Na poboczu w Sättunie, gdzie stał kontener, było wiele śladów kół i odcisków butów. Technicy je zabezpieczyli. Zebrali też szereg przedmiotów, które mogą się okazać ważne na dalszym etapie śledztwa, ale w tej chwili niewiele nam mówią.

– Na przykład co? – pyta Elin.

– Niedopałek papierosa, papierek po wafelku w czekoladzie, tego typu rzeczy.

– W porządku. Nie było krwi?

– Nie – odpowiada Göran. – Ale była krew na klapie kontenera i w tej chwili jest porównywana z krwią Lukasa. Pewnie należy do niego. Krew świadczy o tym, że wrzucono go do kontenera.

– Chcesz powiedzieć, że nie został w nim zamordowany? – pyta Zeke.

Göran ignoruje jego sarkazm.

– Zdjęliśmy też odciski palców z kontenera. Było ich kilkaset. Wrzucimy je do bazy i zobaczymy, czy wyskoczy nam jakieś interesujące trafienie. – Szef przerywa na chwilę, a

potem ciągnie: – Wysłaliśmy psy w okolicę, gdzie stał kontener. Jeśli chłopca zabito w pobliżu, powinny znaleźć to miejsce.

– To dobrze – mówi Malin. – Ale najbardziej prawdopodobne jest przecież, że zabito go zupełnie gdzie indziej i że morderca wrzucił ciało do kontenera.

– Zgadza się – potwierdza Börje. – W Sättunie mimo wszystko kręci się trochę ludzi, a kontener stał blisko willi, więc miejsce nie było na tyle odosobnione, żeby ktoś zdecydował się popełnić tam morderstwo.

– W takim razie dlaczego Sättuna? – pyta Zeke.

– Może mordercę coś wiąże z tym miejscem – sugeruje Malin.

– Śledztwo to wykaże – mówi Goran Möller i w pomieszczeniu zapada cisza.

– Czy ostatnio nie wyszli z więzienia jacyś dzieciobójcy? – odzywa się po chwili Börje. Jego słowa brzmią jak wzięte z sufitu, a nonszalancja w jego pytaniu – jakby chciał wiedzieć, czy jest już dzisiejsza gazeta – sprawia, że policjanci wybuchają śmiechem.

Nie ma w tym nic zabawnego. Zupełnie nic. A mimo to się śmiejemy, myśli Malin. Ten śmiech nie jest wyzwalający, lecz dzięki niemu jesteśmy w stanie próbować oswoić fakt, że zamordowano dziecko.

– Sprawdzimy to – mówi w końcu Göran. – Kto to może wiedzieć?

– Ja się tym zajmę – proponuje Johan Jakobsson.

– Przyjaciele, krewni? – pyta po chwili Zeke. – Jego mama mówiła, że byli sami, ale przecież musieli kogoś mieć.

– To też sprawdzę – obiecuje Johan. Wydaje się teraz przytomniejszy.

– Może i to wszystko wygląda dość niewyraźnie, ale na pewno jest w tym jakiś wzorzec i znajdziemy go – mówi Göran.

– Chcę pilnie przesłuchać Listona Johanssona – zgłasza Malin.

– Ty i Zeke możecie to zrobić zaraz po spotkaniu.

– Znajdziemy jego opiekuna społecznego – mówi Elin Sand. – Ja i Börje możemy to zrobić. Może Linda Klasén będzie w stanie podać nam nazwisko. Porozmawiamy z tą osobą.

– Do jakiej szkoły chodził? – pyta Johan Jakobsson. – Pytaliście o to jego matkę?

Malin kręci głową.

– Bardzo inteligentnie – mówi Elin Sand i Malin widzi, że Elin żałuje tej uszczypliwości już w chwili, gdy te słowa jej się wymykają.

Spojrzenie Zekego pochmurnieje.

– Zamknij się – rzuca. – *Just shut the fuck up.*

Elin rozkłada ręce.

– Chyba wszyscy mówimy dziwne rzeczy. Przepraszam.

– Powiedzieliśmy jej, że jej syn nie żyje – szepcze Malin. – Następnym razem ty się tym zajmiesz.

Malin rozumie, dlaczego to spotkanie jest chaosem nieprzemyślanych słów. Te słowa sprawiają, że nie myślą o Lukasiu, o tym, że zginął mały chłopiec. Prowadzą śledztwo w sprawie zamordowania dziecka i nie chcą dopuścić do siebie tej myśli.

Möller się krzywi.

– Przestańcie się zachowywać jak dzieciaki. To nie jest odpowiedni moment. Już wiemy, do jakiej szkoły chodził. Do Tornhagsskolan. Musimy jak najszybciej porozmawiać z pracownikami.

Nigdy się nie kłóca tak jak dziś, chyba że Waldemar wyjeżdża ze swoimi seksistowskimi podtekstami albo rasistowskimi komentarzami i ktoś tego nie wytrzymuje. Ale Waldemara nie ma i ta energia musi znaleźć jakieś inne ujście.

Skup się na terażniejszości, myśli Malin. Musimy się trzymać razem.

Kanceliści robią swoje. Rozmawiają przez telefon, stukają w klawiatury, wpatrują się w swoje monitory.

Malin tęskni za dziećmi na podwórku.

Göran Möller spogląda na grupę. Wygląda, jakby myślał: Weźcie się w garść, do diabła. Podchodzi do stołu i bierze dużą, złożoną kartkę. Wraca do suchościeralnej tablicy. Rozkłada kartkę i przyczepia czerwonymi magnesami wielkie czarno-białe zdjęcie. To portret Lukasa wykonany przez Karin. Prawie całkowicie zasłania słowa, które napisał.

Potem powtarza tę procedurę. Wiesz na tablicy inne zdjęcie.

Roztrzaskanej czaszki chłopca.

– Te dwa zdjęcia będą tutaj wisieć, dopóki nie rozwiążemy sprawy. Zrozumiano? A teraz jazda do roboty.

Karin Johannison stoi bez ruchu w sali sekcyjnej. Przeprowadziła sekcję chłopca, który był kiedyś Lukaszem Klasénem. Był tylko o trzy lata starszy od Tess. Karin czuła się tak, jakby dopuszczała się brutalnej przemocy, kiedy rozcinała mu brzuch, choć wiedziała, że trzeba to zrobić.

Podchodzi do zwłok leżących na stole z nierdzewnej stali.

Świadomość, że nikt nie zgwałcił chłopca, uspokaja ją.

Może jego mamie też przyniesie jakąś ulgę?

Karin nie chce nic o niej wiedzieć. Te skąpe informacje, które przekazał jej Göran Möller, nie były podnoszące na duchu.

Chłopiec.

Jego twarz jest spokojna, ale skóra zimna, gdy Karin głaszcze go po policzku.

Już nigdy nie chcę czegoś takiego robić, myśli.

– Kiedy zapłaciłam za to, żeby wydostać cię z domu dziecka, Tess, to było najlepsze, co w życiu zrobiłam – szepcze do siebie Karin. – Mimo wszystko. Postąpiłam słusznie.

Szepcze to wciąż i wciąż od nowa w zimnym pomieszczeniu, w którym unosi się woń krwi i środków dezynfekujących.

W wyobraźni widzi Tess biegnącą po jakiejś nieznannej plaży. Przed nią rozciąga się morze i horyzont płonący w promieniach zachodzącego słońca.

Wielkie białe krzesło z daszkiem, na tyle duże, by pomieściło się na nim pięć osób. Stoi wciśnięte między dwoma dębami, oba są wysokie jak trzypiętrowe domy, a ich korony rzucają cień na całą wysepkę pośrodku Stångån. To publicznie dostępne dzieło sztuki wzbudziło złość mieszkańców, kiedy je tu umieszczono.

Oczywiście, że krzesło może być sztuką!

Ochrona przed deszczem dla żuli!

Malin pamięta listy do redakcji „Corren” i stwierdza, że jedni i drudzy mieli rację. Krzesło jest całkiem ładnym dziełem sztuki i zajmuje je jakiś obszarpaniec.

Liston Johansson?

Wysoki mężczyzna leży wyciągnięty na krześle. Obok niego stoi reklamówka z monopolowego, na ziemi obok krzesła leży pusta butelka po marinelli.

Pierś mężczyzny unosi się i opada. Najwyraźniej śpi, nie sposób określić, jak bardzo jest pijany.

Malin i Zeke zbliżają się ostrożnie.

Malin podchodzi do krzesła. Puka w plecy leżącego na boku wielkoluda.

– Liston. Liston! Obudź się. Musimy z tobą porozmawiać. – Żadnej reakcji. Znow klepanie w plecy, tym razem trochę mocniejsze. – OBUDŹ SIĘ!

I mężczyzna, który być może jest Listonem Johanssonem, wzdryga się. Odwraca się z szeroko otwartymi oczami, wpatruje się w Malin, potem wykonuje szybki gest ręką i Malin nie ma pojęcia, jak to się stało, ale nagle trzyma w niej nóż Mora.

– Spadaj! – krzyczy mężczyzna i pochyła się w stronę Malin. Próbuje dźgnąć ją nożem.

Malin cofa się gwałtownie, gdy mężczyzna zeskakuje z krzesła i rzuca się naprzód, na wpół śpiąc, na wpół przytomnie.

Zdaje się nas nie widzieć, myśli Malin. Może wciąż śpi.

– Liston! – krzyczy Zeke. – Obudziłeś się?

Facet powoli przytomnieje. Wpatruje się w nóż w swojej ręce. Z powątpiewaniem. Zdziwieniem. Odkłada nóż, spogląda przytomnie na Malin i na Zekego. Potrafi poznać policjantów, kiedy ich widzi.

– Przepraszam – mówi. – Obudziliście mnie z koszmaru.

– Nic się nie stało – odpowiada Malin. Czuje, jak opada nagła fala adrenaliny. – To ty jesteś Liston Johansson?

Mężczyzna kiwa głową. Pociera oczy, maca ręką, szukając reklamówki z monopolowego, ale się powstrzymuje.

– Chcemy z tobą pogadać – mówi Malin. – Wiesz dlaczego, prawda?

Linda mogła się z nim skontaktować. Może już o tym wie.

Liston wpatruje się w Malin szarozielonymi oczami. Już się rozbudził i teraz ma w spojrzeniu coś kpiącego i złośliwego, jakby się zastanawiał, ile właściwie o nim wie.

– Słyszałem o chłopcu Lindy – mówi. – Jest kompletnie załamana.

Potężny podmuch wiatru uderza w korony dębów i powoli opadają na nich pożółkłe liście, jak gigantyczne płaty popiołu z przebudzonego wulkanu.

Gdyby coś się stało Tove, zachłapałabym się na śmierć.

– Byłeś wczoraj u nich, prawda?

Johansson znów kiwa głową.

– Co pamiętasz z tamtego wieczoru? – pyta Malin. – Lukas wychodził z mieszkania, kiedy tam byłeś?

– Tak, zwinął się po tym, jak Lindzie urwał się film.

Liston Johansson podciąga poplamiony T-shirt i drapie się po brzuchu. Szczerzy zęby do Malin i w jego spojrzeniu znów pojawia się drwina.

Zeke podchodzi do niego. Bierze nóż.

– Rekwirujemy to. Ciesz się, że ciebie nie zgarniemy.

– Kurwa, obudziliście mnie.

Mężczyzna patrzy ze złością na Zekego.

Zrobiłeś to, Liston? – myśli Malin. Rzuciłeś się na chłopca, kiedy Linda zasnęła? Nie sprawdzali jeszcze Johanssona i Malin wyczuwa, że znajdą coś w jego papierach.

– Wiesz, dokąd się wybierał? – pyta Zeke.

– Ten dzieciak nie chce ze mną gadać.

– Wczoraj też nie chciał? – pyta Malin.

– O co ci chodzi?

– O to, że może coś do niego mówiłeś, a kiedy ci nie odpowiedział, rozżłościłeś się i go uderzyłeś. A potem wszystko wymknęło się spod kontroli. Było tak? Jakoś tak wyszło, że mu przyłożyłeś, stracił przytomność, a potem go wywiozłeś?

Tamten patrzy na nich spod zmrużonych powiek, choć siedzi w cieniu.

– Wymyśli. Nie mam samochodu ani prawa jazdy. Zabraliście mi je dawno temu. A wczoraj byłem tak pijany, że nie dałbym rady prowadzić, nawet gdybym bardzo chciał.

– Zasnąłeś u Lindy?

– Na sofie w dużym pokoju, ale dość szybko się obudziłem i zwinąłem się do Henrika Svenssona. Przed dwunastą. On to może potwierdzić. Dam wam jego numer.

Liston Johansson kaszle. Podaje numer, który Zeke wstukuje do komórki, a potem sięga po reklamówkę, wyciąga butelkę wódki Explorer.

Pozwalają mu pić.

– Nigdy nie uderzyłeś chłopca? – pyta Malin.

– A jeśli nawet, to jakie to ma znaczenie? Przecież nie żyje.

– Co ty, kurwa, gadasz?!

Zeke robi krok w stronę Johanssona i Malin myśli, że zaraz uderzy go w twarz, ale udaje mu się zapanować nad sobą.

– Nie biję dzieci. W porządku?

– Często spotykasz się z Lindą? – pyta Malin.

– Od czasu do czasu. Lubi go. – Johansson chwyta się za krocze. – Może ty byś go też polubiła.

Teraz Malin ma ochotę strzelić go w pysk. Ale jej również udaje się powstrzymać. To przecież tylko facet, który nie ma nic, ale próbuje udawać takiego, który wszystkim steruje.

– A teraz, jeśli mi wybaczycie, chciałbym się spokojnie napić.

Ja też byłam taka nieprzyjemna, kiedy piłam, myśli Malin, patrząc na jego napuchniętą

twarz. I równie głupia.

– Nie wyjeżdżaj z miasta – mówi Malin. – Może będziemy chcieli jeszcze z tobą pogadać.

– Nigdzie się nie wybieram – szczerzy zęby Liston Johansson.

Udało im się zapanować nad sobą. W tym miejscu są świadkowie. Ludzie, którzy wyszli na spacer, wyprowadzić psa. Rowerzyści.

– Myślisz, że ma coś wspólnego z morderstwem? – pyta Zeke, gdy idą brzegiem Stångån do samochodu, który zaparkowali przy Tanneforsvägen.

– Nie wiem. A ty jak myślisz?

– To wredny sukinsyn, oto co myślę. Zobaczymy, co znajdzie Johan. – Zeke dzwoni do człowieka, który może dać Listonowi alibi. Dodzwania się, mruczy coś pod nosem, kiwa głową i się rozłącza. – Jego alibi się zgadza – mówi. – Jeśli można ufać temu Svenssonowi.

W tej samej chwili dzwoni komórka Malin. Numer Karin na wyświetlaczu.

– Skończyłam sekcję – mówi.

– Zaraz tam będziemy.

– Jacy my?

– Ja i Zeke. W porządku?

– Dlaczego miałyby być nie w porządku?

Kończą rozmowę i Malin wysyła esemesa do Johana. Prosi go, żeby od razu sprawdził Listona Johanssona. Nieraz się zdarzało, że alibi było fałszywe.

Po drugiej stronie rzeki na stromym stoku wznoszą się zadbane wille. Jedne z najpiękniejszych i najdroższych domów w mieście.

Stare ogrody. Przytulność.

– Jak myślisz, ile kosztuje taka chata? – pyta Zeke.

– Z pięć milionów?

– W tej chwili jest na sprzedaż jedna za dziesięć.

– Interesujesz się takimi rzeczami?

Zeke się zatrzymuje. Pociera głowę rękoma.

– Zaproponowano mi robotę – mówi. – Wyszukała mnie taka jedna firma. Mam być szefem bezpieczeństwa w Saabie. Sto tysięcy miesięcznie.

Malin czuje, jak grunt kołysze jej się pod stopami.

Co jest, kurwa? Zostawi mnie samą? Dlaczego ta firma nie wyszukała mnie?

– Dobra – rzuca Malin. – No to już wiem.

– No to już wiem? Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Jeśli myślisz, że będę cię prosić, żebyś został, to się cholernie mylisz.

Zeke wypuszcza powietrze z płuc.

– Spokojnie, Malin. Jeszcze nikomu nie mówiłem o tej ofercie. Nawet Karin.

W milczeniu idą w stronę samochodu, niemal słyszą, jak woda z rzeki paruje i unosi się do nieba.

Ktoś zamontował nowe lustro w windzie zjeżdżającej do piwnicy.

W samotnym, zimnym świetle Malin widzi setki kopii samej siebie i nie potrafi oderwać od nich wzroku, choć wcale nie chce patrzeć. Zmarszczki na czole, które z każdym rokiem trochę się pogłębiają, drobna siateczka żyłek pod oczami, które próbuje ukryć makijażem, coraz rzadsze brwi. Żadnej z tych rzeczy nie chce widzieć.

Wiele drobnych popękanych naczynek po trudnych latach. I oczy, nie szarzielone, nie wolno im przybrać tej barwy, mają być jasnoniebieskie, tak jak wtedy, gdy byłam mała.

Lukas Klasén.

Nie dane mu było urosnąć i zobaczyć świata, tak jak teraz robi to Tove. Nigdy nie będzie miał możliwości, by w ten sposób czynić dobro.

Setki kopii Zekego.

Zawiedzie mnie teraz?

Szef bezpieczeństwa. Niezły dowcip!

Ale on też wygląda na wymęczonego. Może paradowanie w garniturze dobrze by mu zrobiło?

Garnitur nie wyleczy jednak zmęczenia Zekego. Wygląda, jakby obiecał coś, czego nie będzie mógł dotrzymać. Ale powinien się cieszyć, bo istnieją ludzie, którzy wierzą, że dotrzyma złożonych obietnic, i Malin myśli, że kiedy człowiek ulega swoim pragnieniom i szkodzi w ten sposób innym, to jest najgorszy wstyd, jaki go może spotkać. A najgorzej jest wtedy, kiedy szkodzisz własnym dzieciom. Tove, nie ma takiego miejsca, w którym byłabyś dostatecznie daleko od domu, ode mnie, od tego, jak cię zawiodłam, kiedy dorastałaś.

Smród tequili, słabości.

A teraz, kiedy właściwie mogłabym pić, potrafię się powstrzymać. Co za ironia. I Malin ma ochotę opluć lustro w windzie, zobaczyć, jak zwielokrotnione oznaki jej pogardy do samej siebie spływają na podłogę.

Długi uścisk. Karin i Zeke pozwalają sobie na to i zimna sala sekcyjna przez chwilę wydaje się nieco cieplejsza, kiedy ich ciała się stykają. Malin tęskni za Danielem, za jego ciepłem. Wie, że ma powód, żeby nie pić.

Jego miłość.

Ale czy na nią zasługuję? Gdzie tam.

Wychodzi z pomieszczenia. Na chwilę zostawia Karin i Zekego samych.

Wyjmuje komórkę.

Daniel.

– Malin. Prowadzę właśnie wywiad przez telefon na drugiej linii. Wiesz, że nie możesz ciągle do mnie dzwonić. I wszystko u mnie dobrze.

– Po prostu się martwię.

Słyszy swoją złość, ostry ton, przeciwieństwo tego, co te słowa mają wyrażać.

– Wiem. Ale muszę już kończyć.

Malin stoi bez ruchu z telefonem w ręce. Jego głos odbija się w niej echem i Malin

wmawia sobie, że wszystko jest tak, jak powinno. Potem wraca do Karin i Zekego.

Na stole sekcyjnym leży zbyt małe ciało pod białą płachtą. Zegar na ścianie wskazuje za kwadrans trzecia. Ten dzień mija równocześnie szybko i powoli. Wydarzenia następują tak szybko po sobie, że uczucia nie nadążają.

Karin podchodzi do zwłok, ściąga płachtę i Malin widzi, jak jej biały fartuch napina się na plecach.

Twarz Lukasa jest szklista, a ranę na głowie zasłania duży opatrunek.

– Niedługo przyjdzie jego mama – informuje Karin. – Chce go zobaczyć.

– To dobry pomysł? – pyta Zeke.

– W takiej sytuacji nie ma dobrych ani złych pomysłów.

– No to pośpieszmy się – mówi Malin. Wpatruje się w twarz Lukasa i myśli: co mam zrobić z tym, co widzę? Nieważne, co zrobię, to i tak nie sprawi, że on wróci.

Karin chrząka.

– Morderca nie wykorzystał go seksualnie, a więc ten motyw możemy wykluczyć. Obrażenia na głowie powstały od jakiegoś podłużnego, okrągłego przedmiotu. Domyślam się, że to była metalowa rurka, bo gdyby użyto tępego drewnianego narzędzia, znalazłabym w ranie drobne odpryski, a nic takiego tam nie było. Powinam chyba dodać, że nie znaleźliśmy niczego, co mogło posłużyć za narzędzie zbrodni.

– Mógł przeżyć ten cios? – pyta Malin i wciąga w płuca ciężkie powietrze unoszące się w pomieszczeniu. Woń środków dezynfekujących przyprawia ją o mdłości.

Karin naciąga płachtę.

Twarz chłopca znika.

Na całe szczęście.

Nigdy więcej nie chcę na ciebie patrzeć, myśli Malin.

– Prawdopodobnie natychmiast stracił przytomność, czaszka została zmiażdżona, śmierć nastąpiła zapewne w ciągu minuty. Po takim uderzeniu najczęściej ustaje odruch oddychania.

– Coś jeszcze? – pyta Zeke i wygląda, jakby miał ochotę wyjść.

– Tak. Znalazłam drobne siniaki pod pachami i ślady na ścięgnach Achillesa, więc wychodzę z założenia, że był wleczony z miejsca, gdzie został zamordowany.

– To się stało przy kontenerze?

– Myślę, że został przeniesiony. Pod jego podeszwami znalazłam trociny, ale nie było ich ani w kontenerze, ani wokół niego.

– Trociny... Gdzie w mieście mogą być trociny? – zastanawia się Malin. – Na niektórych placach zabaw, na bieżniach, gdzieś jeszcze?

– Stadniny, klatki z królikami – mówi Karin. Przerywa na chwilę a potem dodaje: – Ma też zadrapania na łydkach, jak od gałęzi albo krzaków, więc domyślam się, że ciągnięto go przez jakieś zarośla.

– Jakie zarośla? – pyta Zeke.

Karin kręci głową.

– Nie sposób powiedzieć, ale nie znalazłam kolców w ranach, więc możecie wykluczyć rabatę z różami. Kolce róż odrywają się od łądyg.

Malin myśli o ogrodzie Peggy Dunsell. O wypielęgnowanych różach.

– Nic poza tym? – pyta.

Karin się zastanawia.

– Był silny jak na dziewięć lat. I umięśniony jak na swój wiek. Pewnie był z niego mały twardziel.

Bawił się w lasku Ryd.

Linda Klasén tak mówiła.

Jest tam ścieżka wysypana trocinami. Czy mógł zostać zamordowany w lasku Ryd?

Malin nie dzieli się z nimi tą myślą. Na jakiś czas chce ją zachować dla siebie, zobaczyć, dokąd ją to doprowadzi.

– Staramy się sprawdzić wszystkie odciski palców z kontenera – mówi Karin. – Do tej pory nie było żadnego trafienia w rejestrze. Ale zostało nam jeszcze dużo odcisków.

– Dobrze – mówi Malin i myśli: Co byś powiedziała na to, żeby Zeke przyjął tę pracę? Może polubiłabyś pieniądze, ale pieniądze nie są dla ciebie ważne, wiem to. A może jednak za nimi tęsknisz?

Za ich plecami rozlega się pukanie, od drzwi słychać ostrożny głos Lindy Klasén.

– To tutaj jest?

Malin wpija paznokcie głęboko w kciuki. Żałuje, że nie zdążyli wyjść.

Karin otwiera drzwi i Linda Klasén wchodzi na salę, w której leży jej zabity syn.

Silna woń alkoholu. Ale też świeżo umytych włosów.

Chwiejnym krokiem idzie naprzód.

Linda Klasén jest szybka. Zanim Malin albo Zeke mają czas zareagować, jest już przy stole, ściąga białą płachtę ze zwłok syna.

Kurwa mać, myśli Malin.

Kobieta nieruchomieje.

Milczy.

Malin chce wyjść, zatrzaskać za sobą drzwi, nie chce na to patrzeć. Potem słyszy krzyk i Linda Klasén pada na ciało syna, szczątki tego, co kiedyś musiało być dla niej czystą miłością.

Tove.

Tess.

Malin i Zeke wychodzą.

Czekają na windę.

I kiedy znów widzą setki kopii samych siebie, a drzwi windy powoli się zamykają, słychać krzyki:

– Wróć do mnie! Przepraszam! Przepraszam. Będę już lepsza. Mama obiecuje. Tylko do mnie wróć.

Wrócić?

Nie mogę ani nie chcę.

Byłem silny, bo musiałem taszczyć cię na łóżko albo na sofę, kiedy się przewracałaś. Ale wczoraj nie miało znaczenia, czy byłem silny. Uderzenie musiało być mocne, bo nie zdążyło zboleć.

Może to cię pocieszy, mamó, że teraz nic nie czuję.

W pewnym sensie jestem wolny.

Ale wciąż się boję.

Co będzie, jeśli przyjdzie ktoś zły i zabije mnie jeszcze raz, i jeszcze raz.

Kto wie, ile razy można umrzeć?

Taty tu jeszcze nie ma. Może znowu żyje?

I babcia, nie smuć się, babciu.

Lukas miał babcię. – Johan Jakobsson przyszedł za Malin do kuchni na posterunku.

Malin się odwraca. Johan wydaje się teraz jeszcze bardziej zmęczony, niemal się stapia ze świeżo pomalowaną jasnoszarą ścianą.

– Linda Klasén twierdziła, że nie mieli żadnej rodziny.

– Ale mają. Jej matka żyje i ma się dobrze. Powinniście z nią porozmawiać.

Malin wybiera przycisk podwójnego espresso.

– Dlaczego skłamała? Powinna przecież rozumieć, że będziemy chcieli porozmawiać z jej matką.

– Może nie miała siły nawet o niej pomyśleć. Wiesz, jakie trudne potrafią być takie relacje.

Wiem, myśli Malin. Nie rozmawiałam z moją mamą przez wiele lat aż do jej śmierci, a z tatą nie mam kontaktu. I nie chcę mieć. Ich zdrada wobec Stefana była niewybaczalna.

– Chłopiec mógł być u niej – mówi Johan. – Wysłałem ci jej adres e-mailem.

Malin bierze kubek z automatu, upija wielki łyk aromatycznego, gorącego napoju.

– A poza tym, tata Lukasa nie żyje – dodaje Johan. – To prawda, że zginął w wypadku samochodowym, zanim chłopczyk się urodził. Dotarliśmy też do nazwiska opiekunki społecznej, która zajmowała się rodziną Klasénów. Börje i Elin już tam jadą.

– Dobrze. Masz coś o Listonie Johanssonie? Cokolwiek.

– Sprawdziłem w rejestrze karnym. Dwa razy siedział za pobicie. Ale to było dobre parę lat temu.

Malin przypomina sobie, jak szybko wyciągnął nóż. Jak ledwie zdążyła się uchylić.

– Porównamy jego odciski palców z tymi na kontenerze? – pyta Johan.

– Dobry pomysł.

– Załatwię to z Karin. Pewnie już są w rejestrze.

Johan wraca na swoje miejsce, a Malin znad parującego kubka woła do Zekego: – Chodź, pogadamy z babcią Lukasa.

Opieka społeczna szóstego dystryktu w Linköpingu ma siedzibę przy sklepie Konsum na placu w Gottfridsberg. Wejście prosto od ulicy, zaledwie piętnaście metrów od automatycznych drzwi supermarketu spożywczego. Biuro jest położone strategicznie, myśli Elin Sand. Wszyscy w okolicy widzą, kto wchodzi i kto wychodzi.

Zdażyło się już zrobić wpół do piątej, gdy ona i Börje Svärd zgłaszają się w recepcji. Chudy mężczyzna po trzydziestce spogląda na nich z niskiego krzesła, a gdy przedstawiają z czym, przyszli, mówi: – Faktycznie zajmuje się nimi Siv Eriksson. Już do niej dzwonię.

Minutę później siedzą przy biurku, a po drugiej stronie jest Siv Eriksson, pulchna kobieta, która za kilka lat zapewne przejdzie na emeryturę.

Siv Eriksson pochyła się nad blatem i poprawia niebieską bluzkę. Elin szybko wygląda przez okno na plac i widzi samotnego psa stojącego pod supermarketem. To dziwna mieszanka owczarka niemieckiego i cocker spaniela, dużego i małego, szorstkowłosego i kudłatego; zwierzę skazane na życie w zdeorientowanym ciele.

Elin wyjaśnia, dlaczego tutaj przyszli, że Lukas został zamordowany.

– Co pani mówi?! Jak to możliwe?

Kobieta wygląda na zdumioną, ale Elin nie widzi strachu w jej oczach.

Siv Eriksson bierze głęboki oddech. Wydaje się tłumić uczucia, próbuje się skupić na tym, co praktyczne. Nie pyta, w jaki sposób zginął Lukas, mówi tylko: – Czytałam w „Corren”, że znaleziono zabitego chłopca. A więc to był Lukas. Niestety, nie mam wam zbyt wiele do powiedzenia.

Opieka społeczna i policja. W niektórych miastach ze sobą współpracują. W Linköpingu relacje między tymi dwoma instytucjami są co najmniej bardzo chłodne po tym, jak policja kilkakrotnie nie powiadomiła opieki społecznej o zgłaszanych przypadkach wykorzystywania seksualnego w rodzinach. Potem opieka społeczna została zmieszana z błotem, bo nie interweniowała na czas, i młodzi chłopcy popełnili samobójstwo.

– Dlaczego pozwoliliście mu zostać z matką? – pyta Elin.

Siv Eriksson się odsuwa.

– Przyszliście dyskutować o naszych decyzjach? Czy to Linda...

Börje Svärd jej przerywa, rozciera bok w miejscu, gdzie był poparzony.

– Najprawdopodobniej to nie ona zamordowała Lukasa, ale chłopiec nie żyje, i bardzo byśmy docenili, gdyby odpowiedziała pani na nasze pytania.

Börje uderzył w swój najbardziej uwodzicielski ton i Elin Sand zauważa, jak Siv Eriksson łagodnieje.

– Linda Klasén jest nałogową alkoholiczką – mówi. – Ale zważywszy na okoliczności, chłopiec miał dobrze.

– Skąd mogliście to wiedzieć? – pyta Elin.

– Sam nas o tym zapewniał. Dobrze sobie radził w szkole. Miałam kontakt z jego nauczycielką, twierdziła, że był najlepszy w klasie.

– A jego babcia? Bywał czasem u niej?

– Z tego, co wiem, nie utrzymywali kontaktów. Lukas mówił, że jej nienawidzi. Musicie zrozumieć, że chciał mieszkać z mamą mimo jej problemów.

– Rozmawiała pani z babcią? – pyta Börje.

– Nie.

– Czy Linda była przy tym, jak powiedział, że nienawidzi babci? – pyta Elin.

– Zawsze była przy tych rozmowach. Staramy się nie spotykać z dziećmi sam na sam. Rodzice nabierają wtedy podejrzeń.

I w ten sposób dzieci mówią to, co rodzice chcą usłyszeć, myśli Elin, a Börje pyta: – Coś im groziło?

Kobieta kręci głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Żadnych incydentów z przemocą ani nic w tym stylu?

– Sporo się u nich pije, to prawda, ale nie dotarły do mnie żadne informacje o używaniu przemocy. A chłopiec sobie radził. Wszystko z nim było w porządku.

– Tak, ale z jego matką już nie – mówi Elin.

Siv Eriksson wyciąga rękę i zmienia kąt listewek żaluzji. Teraz Elin nie widzi już psa i myśli, że to dobrze. Napina bicepsy, potem mięśnie ud. Niedługo pora pobiegać. To będzie długa runda, sporo kilometrów, bo im dłużej biega, tym krócej musi siedzieć sama w mieszkaniu ze swoimi wątpliwościami.

Wątpię we wszystko, myśli, zmusza się, by powrócić do terażniejszości.

Segregatory.

Zwalisty komputer stacjonarny.

I Siv Eriksson.

– Miał dziewięć lat – mówi Elin.

– Wiem.

– I myśli pani, że to słuszne, żeby dziewięciolatek wychowywał się z matką, która jest nałogową alkoholiczką i obraca się w podejrzanym towarzystwie?

– Wszystko z nim było w porządku.

– Czy Lukas miał kontakt z innymi krewnymi?

– Nie, nigdy nie słyszałam, żeby mieli jakichś innych krewnych.

Siv Eriksson ucieka wzrokiem. Zerka na zegarek. Na pewno niedługo kończy pracę.

– Może nam pani powiedzieć coś jeszcze, co może być dla nas ważne? – pyta Börje, marszcząc lekko brwi.

– Niestety nie – odpowiada kobieta i Elin myśli, że nawet urok Börjego ma swoje granice.

Mieszkanie Åsy Klasén mieści się w Hjulsbro, niedaleko pięknych lekarskich willi i choć w dwupiętrowych budynkach mieszkania są czynszowe, okolica jest dość zamożna.

Kobieta stojąca przed nimi pod lampą w przedpokoju jest tylko o pięć lat starsza od Malin i byłaby piękna, gdyby nie czerwone, zapłakane oczy. Prosty nos, twarz w kształcie serca i Malin myśli, że figurę ma wciąż jak nastolatka.

A przecież ona jest babcią, myśli Malin.

Sama też mogłabym być babcią. Tove jest dostatecznie dorosła.

Åsa Klasén zaprasza ich gestem do mieszkania, najwyraźniej rozumie, kim są. Malin i Zeke wchodzą, zdejmują buty, bo zachęca do tego schludne otoczenie. Większość mebli w mieszkaniu jest nowa, w surowym stylu, a na białych ścianach wiszą czarno-białe fotografie z dalekich krajów i zdjęcia Lukasa. Te ostatnie zrobiono w tym mieszkaniu, widać to po szczegółach urządzenia w tle i na wszystkich zdjęciach na jego twarzy maluje się ulga. W oczach widać ciepło i tęsknotę.

– Spodziewałam się, że przyjdziecie – mówi Åsa Klasén, gdy siadają w kuchni. – Nie wiem, co ze sobą począć. Kochałam Lukasa. Kochałam go. Właśnie wróciłam z pracy, kiedy Linda zadzwoniła i mi powiedziała. Pracuję w AFA Reklam jako sekretarka. Ale nie chciałam się z wami kontaktować, chciałam myśleć, że to się jednak nie wydarzyło.

Malin w milczeniu kiwa głową.

– Kawy?

Zeke kręci głową, patrzy na Malin, która mówi:

– Nie, dziękujemy. Dopiero co piliśmy.

– Nie kontaktujecie się za często, pani i Linda? – pyta Zeke.

– Nie mam kontaktu z córką. Nie chce mnie znać. Ale teraz jednak zadzwoniła. – Åsa Klasén ociera oczy, prostuje plecy. – Zaczęło się, kiedy zginął tata Lukasa. Straciła wtedy grunt pod nogami i już nie doszła do siebie. Szybko zaczęła się staczać i cokolwiek robiłam, było tylko jeszcze gorzej. W końcu, kilka lat temu, zabroniła mi spotykać się z chłopcem.

– Ale miała pani z nim kontakt?

Spojrzenie Malin wędruje po oprawionych w ramki fotografiach na ścianie. Lukas

przy stole, z wielkim talerzem spaghetti, z konsolą do gier komputerowych.

Åsa Klasén walczy ze łzami. Jeszcze raz pyta, czy chcą kawy, a oni jeszcze raz odmawiają. Potem kobieta odpowiada na pytanie Malin.

– Spotykaliśmy się po kryjomu. Czasem przychodził tu po szkole i w niektóre wieczory i przez chwilę było mu dobrze. Linda o tym nie wiedziała.

– Spotykał się tu z kimś jeszcze? – pyta Malin.

– Nie.

– Kiedy był tu ostatnio?

– W środę.

– Miał jakiś kontakt z rodziną ojca?

– W ogóle się nim nie interesowali.

Niewielu ludziom na tobie zależało, Lukas, myśli Malin.

– Na wszelki wypadek musimy panią spytać, co pani robiła wczoraj wieczorem i w nocy – mówi Zeke.

– Byłam u przyjaciółki. Spotkaliśmy się w kilka osób i piliśmy wino. Musiałam się trochę zrelaksować. Wróciłam do domu dopiero o wpół do drugiej, a potem się położyłam.

– Możemy dostać numery do pani przyjaciół?

– Myślicie, że zabiłam Lukasa?

Åsa Klasén wygląda na skonsternowaną. Ale wstaje, wyciąga z szuflady w kuchni kartkę i długopis. Przepisuje na karteczkę trzy numery ze swojej komórki i podaje ją Zekemu.

– Dziękuję – mówi Zeke. – Musimy sprawdzać takie rzeczy, to nasza praca. Wie pani, czy Linda miała jakichś wrogów?

– Właściwie to nic nie wiem o życiu mojej córki. Kiedy Lukas tu przychodził, nie chciał mówić o tym, co się dzieje w domu. A ja go nie wypytywałam. Tutaj miał mieć spokój.

Malin kiwa głową.

– Wczoraj wieczorem wyszedł z domu. Myśli pani, że mógł wybierać się tutaj?

– Nie wiem. Może.

– Dzwonił do pani?

– Nie, ale nie zawsze to robił.

– Ma pani pojęcie, dokąd jeszcze mógł pójść wczoraj wieczorem?

Malin słyszy, że Zeke stara się nadać głosowi przyjazny ton, to dobrze, bo Åsa Klasén jest teraz bliska załamania.

Kobieta kręci głową.

– Może pani z kimś porozmawiać – proponuje Malin i twarz Åsy Klasén się zmienia.

– Nie chcę z nikim rozmawiać – syczy. – Wiele razy próbowałam przemówić do rozsądku tej opiekunce społecznej Siv Eriksson. Wyjaśnić jej, jak on żyje. Że wpadnie w kłopoty od całego tego pijaństwa i że Lindę biją i wykorzystują jej koledzy od kieliszka. Próbowałam odebrać Lindzie wnuka, powinien mieszkać ze mną albo z kimś innym, w prawdziwej rodzinie. W każdym razie nie z moją córką. Ona nie nadaje się na matkę i powiedziałam o tym Siv, ale nie chciała mnie słuchać.

Malin i Zeke pośpiesznie wymieniają spojrzenia.

– Czy Linda kiedyś zgłaszała pobicie? – pyta Zeke.

– Nie, ale wiem, że to się zdarzało. Może ta osoba biła też Lukasa.

– Mówił o tym?

– Nie, ale czasem miał siniaki. O tym też powiedziałam tej opiekunce społecznej.

– Nie chciał zamieszkać z panią? – pyta Malin.

Åsa Klasén długo się w nią wpatruje z nieskończonym smutkiem w oczach.

– Kiedy mu to zaproponowałam, powiedział, że Linda by tego nie wytrzymała. Powiedział: „Mamie byłoby strasznie smutno”. Dokładnie tak powiedział. – Milknie na chwilę. – Chciałabym go zobaczyć. Dałoby się to załatwić?

– Dałoby się – mówi Malin.

Po powrocie na posterunek Malin siada na swoim miejscu. Załatwia wszystko, żeby Åsa Klasén mogła zobaczyć jedynego wnuka. Potem włącza komputer. Żadnych nowych e-maili. Nic nowego o ich sprawie w mediach, a w każdym razie nic, o czym już by nie wiedzieli.

Chce jej się pić.

Pić wodę.

Upał wżera się w ciało.

Myśli kłębią się jej w głowie. Rano znaleziono Lukasa i wielu ludzi wdarło się do jej świadomości.

Lukas.

Linda.

Peggy Dunzell.

Liston Johansson.

Åsa Klasén.

I nie tylko oni.

Wystarczy na dziś.

Podchodzi do niej Elin. Opowiada o spotkaniu z opiekunką społeczną.

– Czyli Siv Eriksson powiedziała, że nigdy nie spotkała się z nikim z rodziny oprócz matki chłopca? – pyta Malin. – Cholera, babcia Lukasa twierdzi, że rozmawiała z nią wiele razy.

– Według Siv Eriksson nic takiego nie miało miejsca – odpowiada Elin. – Choć pytaliśmy ją o to wprost.

– Ona coś ukrywa – stwierdza Malin. – Musimy ją dokładnie sprawdzić.

Daniel z nagim torsem siedzi na tarasie i pozwala, by ostatnie promienie słońca pieściły blizny na jego piersi. Nie słyszy, jak Malin wchodzi do mieszkania.

Malin obserwuje go z przedpokoju, powoli omiata wzrokiem kuchnię, a potem znów patrzy na jego ramiona i kark.

Ona i Zeke pojechali do Siv Eriksson, by zarzucić jej kłamstwo i doprowadzić do konfrontacji, ale nie zastali jej w domu.

Za to Daniel jest w domu.

Malin myśli, że powinna cieszyć się na jego widok, ale czuje tylko ulgę.

Jest.

Oddycha.

Słońce wyostrza jego profil i Daniel przesuwa dłonią po bliznach, jego palce poruszają się po nich jak olbrzym po obcym krajobrazie.

Chcesz je wybielić?

Zatrzeć to wspomnienie.

Pozwolić, by odeszło, tak jak ty i ja wspólnie potrafimy sprawić, żeby odeszło całe zło. Malin patrzy na niego i uświadamia sobie, że wie, iż miłość jest czymś więcej niż pojedynczym uczuciem, czymś więcej niż sentymentalnym podejściem do życia, spokojem i poczuciem przynależności, przeciwieństwem niepokoju.

Podkrada się do niego od tyłu. Daniel ma w uszach słuchawki i Malin słyszy jakąś nieznaną jej muzykę, dla niej jest cicha, ale dla niego musi być głośna.

Szramy na jego piersi są czerwone, szerokie, zaognione; Malin zbliża się powoli, obejmuje jego ramiona, przesuwa dłońmi po bliznach. Przez krótką chwilę wyczuwa krajobraz kraterów, jest olbrzymem, a potem słyszy jego krzyk, cofa się, gdy Daniel zrywa się z krzesła i odwraca, słuchawki wypadają mu z uszu. Wpatruje się w nią przerażony i krzyczy:

– Do diabła, Malin! Do diabła, ale mnie nastraszyłaś!

Chwyta T-shirt, który leży na małym stoliku, i szybko go wkłada.

– Chciałam ci tylko zrobić niespodziankę. To było głupie, przepraszam.

– Nic się nie stało. To ja jestem przewrażliwiony. Ale napędziłaś mi potwornego stracha.

Do ich uszu dociera dźwięk eksplozji.

Potężny huk w oddali, a jednak wydaje się, jakby rozległ się bardzo blisko, i Malin ma wrażenie, jakby coś wyssało jej powietrze z płuc.

– Rany, co to było? – mówi Daniel i Malin widzi, że w jego oczach zapala się dziennikarska ciekawość.

– Nie wiem. Brzmiało to tak, jakby dochodziło z Tornby.

Po chwili słyszą wozy strażackie pędzące przez miasto na włączonych syrenach. Gdy wycie cichnie, Daniel mówi:

– Wiem, że się o mnie martwisz, ale musisz przestać się niepokoić. Całymi dniami

siedzę w redakcji, nie robię nic niebezpiecznego. Przecież o tym wiesz.

Malin ma ochotę strzelić go w pysk, powiedzieć, żeby był wdzięczny, że jej na nim zależy, ale tylko kiwa głową, mówi:

– Próbuję nad tym panować. Ale wiesz, jak mi wychodzą takie rzeczy.

Daniel się uśmiecha, przytula ją.

Jedzą prostą kolację. W środku, bezpieczni w czterech ścianach mieszkania. A potem oglądają wiadomości.

Prowadzący program wspomina o sprawie zamordowanego chłopca, którego ciało znaleziono w kontenerze, i Malin widzi Karima na konferencji prasowej w nienagannym szarym garniturze. Karim mówi to co zwykle, że badają wiele różnych tropów.

Daniel milczy.

Ma zawziętą minę.

Malin szanuje jego milczenie, znów głaszcze go po piersi.

Potem prowadzący przechodzi do następnego tematu: w Linköpingu wybuchł pożar, ponad godzinę temu doszło do wielkiej eksplozji w fabryce farb Flexus w okolicy Tornby. Na zdjęciach płomienie strzelają ku niebu z falistego żółtego dachu fabryki, a reporter mówi o ryzyku kolejnych eksplozji.

– No to już wiemy, co to był za huk – stwierdza Daniel. – Fabryka farb. Teraz może całe miasto wyleci w powietrze.

– No i dobrze – mówi Malin. – Najwyższa pora.

Połączenie z Katmandu na Skypie się rwie. Malin pogasiła światła w sypialni, by obraz na komputerze był jak najwyraźniejszy, i widzi przed sobą twarz Tove. Brązowe włosy, które córka krótko ostrzygła, ostre rysy, jak zawsze, kiedy jest taka szczupła, wielkie, wyraziste oczy pełne jakiejś przerażającej determinacji.

Brązowa ściana z cegły w tle. Gwar głosów w obcym języku.

Głos Tove dociera z opóźnieniem. Malin słyszy słowa sekundę po tym, jak poruszają się usta córki.

– Słyszysz mnie?

– Tak, słyszę cię.

– Widzisz mnie?

– Tak, widzę cię.

Tak rozmawiają. Malin nie wspomina nic o pracy, mówi tylko, że z Danielem jest dobrze, bardzo dobrze, gada o pogodzie, o wietrze, upale.

– Jak ci tam jest?

– W porządku, w każdym razie ze mną.

Słyszy wahanie w głosie córki.

– Coś jest nie tak? Albo gorzej niż zwykle?

Tove kręci głową.

– Kłamiesz – mówi Malin.

– Jest jedna rzecz.

– Co?

I Tove opowiada jej o chłopcu, który niedługo umrze. Że chciałyby coś zrobić, ale nie wie co. Że ten Tsingtsen złapał zakażenie i teraz tylko leży i ciężko oddycha, a ona powinna być z nim, a nie rozmawiać na Skypie z mamą, bo to przecież „może zrobić kiedykolwiek”.

Co mam jej powiedzieć? – zastanawia się Malin w mroku sypialni i równocześnie

słyszysz, jak Daniel krząta się w łazience. Do jej nozdrzy po raz pierwszy dociera zapach dymu.

– Chcesz go zobaczyć?

Nie, absolutnie nie.

– Dlaczego, Tove?

– Co masz na myśli?

– Dlaczego chcesz mi go pokazać?

– Żebyś zrozumiała, dlaczego tu jestem. Nigdy tego nie pojęłaś.

Masz rację, myśli Malin. Nigdy nie pojęłam, co tam robisz, kiedy powinnaś być tutaj. A na ekranie komputera Tove idzie przez salę sypialną, w której leżą małe dzieci w kolorowej pościeli, dociera do odrapanych wąskich schodów i obraz staje się niewyraźną plamą, mieszaniną kolorów, kształtów i słów, różnych odcieni zieleni, szarości i brązu, a potem otwierają się jakieś drzwi i jasnowłosa kobieta w wieku Tove wstaje z krzesła. Malin słyszy głos Tove.

– *I can sit with him now.*

Kilka sekund ciszy, odgłos zamykanych drzwi.

– To on.

Na ekranie pojawia się twarz małego chłopca. Śpi, ale nie jest to spokojny sen. To sen przed śmiercią i Malin chce odwrócić wzrok, nie słyszeć jego ciężkiego oddechu, krótkich dmuchnięć, gdy małe płuca walczą, by napełnić się powietrzem.

– To jest Tsingtsen – mówi Tove. – Myślisz, że możemy zabrać go do Szwecji?

– Mogę porozmawiać z Jannem – odpowiada Malin.

– Sama mogę porozmawiać z tatą.

I obie wiedzą, że chłopiec o imieniu Tsingtsen nigdy nie przyjedzie do Szwecji, że nawet jeśli wyzdrowieje, czeka go bezlitosne życie. Życie ze zgarbionymi plecami, bez prawdziwych marzeń.

A może wyrośnie na marzyciela. Na człowieka, dla którego wszystko jest możliwe.

Tove jeszcze bardziej zbliża kamerę do jego twarzy i Malin pragnie zobaczyć spokój w rysach chłopca, ale go nie znajduje.

Tylko zmęczenie i strach.

WTOREK, CZTERNASTY WRZEŚNIA Tej nocy we śnie do Malin przychodzi Tsingtsen.

Jest przytomny i rozmawia z nią w jakimś nieznanym języku. Mówi, że chce wstać i pobiegać, ale że utknął, że ktoś trzyma go za nogi, ktoś, kto wcale nie jest zły.

We śnie Malin nie pojmuje, w jaki sposób rozumie jego słowa. Słyszy je i są dla niej nowe.

– Chcę się bawić – mówi chłopczyk. – Pobiec na górę i na pustynię.

Potem jego twarz znika i sen zmienia się w ryczącą ciemność. Malin słyszy wołanie chłopca: – Ona się pali. Ona się pali.

I te słowa wdzierają się w jej jaźń, poza snami i myślami, w świetlisty punkt, który unosi się w całej przestrzeni.

Ktoś łomocze, dobija się. Chce ją zabrać z tego miejsca, gdzie Tsingtsen nie może się poruszyć.

Malin budzi się z krzykiem.

Ale krzyk nie budzi Daniela. Pewnie ma dość problemów z własnymi snami, z dźwiękami, które w nich słyszy.

Malin wymyka się z łóżka, spocona i naga idzie do kuchni. Przesuwa dłonią po wyspie, biała płyta blatu jest chłodna i gładka. Dziwne, ile może zmienić przewodniczka dwa piętra wyżej: okno dachowe, taras, trochę materiałów i farb i pewna suma pieniędzy, a znajdujesz się w świecie niepodobnym do poprzedniego. Teraz z dwóch pensji mają dość pieniędzy, mogą kupować różne rzeczy.

Powinniśmy gdzieś wyjechać, myśli Malin. Gdziekolwiek. Może do Paryża. Nigdy tam nie byłam – i teraz wyraźnie czuje dym w powietrzu. Włącza telewizor i słyszy komunikat skierowany do wszystkich mieszkańców Linköpingu, żeby pozamykali drzwi i okna, nie ma jednak ostrzeżenia, żeby nie wychodzić z domu.

Nie powinniśmy nigdzie wyjeżdżać.

Powinnam odwiedzić Stefana. Jest tak samo opuszczony jak był Lukas Klasén.

Do jej dawnego mieszkania wprowadziła się jakaś samotna matka. Ciężko haruje, ale Malin nie wie, czym się zajmuje, nigdy nie zdobyła się na to, by ją o to zapytać. Dzieci są w wieku przedszkolnym. Przez otwór na listy w drzwiach sący się stres i zmęczenie.

Malin spogląda na zegar na kuchence. Czwarta trzydzieści cztery. Nie uda mi się już zasnąć, jutro będę wykończona. Przymyka oczy. Pozwala myślom płynąć swobodnie. Nie mają w domu alkoholu, nie ma żadnej kryjówki. A może jednak mam?

Nie myśl teraz o niczym, Malin.

Psy nie znalazły nic w Sättunie, więc Lukasa pewnie zamordowano daleko od tego miejsca.

W lasku Ryd.

Malin ubiera się i wychodzi. Dym pożaru gryzie w nos, ale Malin nie kaszle. Od

strony Tornby na niebie widać poświatę. Nie było słychać kolejnych huków, więc to budzące się miasto wciąż istnieje. Jest chłodno, cicho i ciemno.

Malin jedzie do lasu Ryd, zostawia samochód na małym parkingu przy klubie związku biegaczy. Elektryczne oświetlenie pali się przez całą noc i Malin wchodzi w las, idzie powoli jedną ze ścieżek do joggingu, czuje miękkie, suche trociny pod podeszwami tenisówek. Nocą powietrze jest chłodne, ale nie jest jej zimno, choć włożyła tylko T-shirt.

Tutaj jest mniej dymu.

Samotność. Między drzewami, w ciemności, może się czaić wszystko. I Malin zdaje sobie sprawę, że przyjazd tutaj był błędem.

Odsuwa od siebie to uczucie.

Myśli:

Przyszedłeś tutaj, Lukas? Spotkałeś się tutaj z kimś? Z kimś, kto chciał cię skrzywdzić?

Próbuje otworzyć się na ciemność. Zmusza się, żeby spojrzeć w las, zobaczyć całe zło, jakie napotkała w życiu, całą przemoc, do której się zbliżyła. Wie, że zło samo w sobie nie ma sensu, że po prostu istnieje, i dlatego Malin nie boi się ciemności, mroku, w którym może czekać morderca. Wie, że on jest wszędzie, a przede wszystkim w niej samej. Nawet nie ma sensu się bać.

– Lukas! – woła. – Lukas, Lukas!

Jestem tu. Ale wiem, że mnie nie słyszysz. Musisz się mną przejmować, bo przyjechałaś tutaj do lasu w środku nocy.

Też tu przychodziłem. Lubilem tu być. Miałem spokój, otaczały mnie drzewa. Znałem je, były moje. Wszystko było wielkie, a jednak małe.

Zbliżyłaś się do czegoś?

Może tata by się ucieszył, gdyby mama mu powiedziała, że do niego idę. Tak myślę. Mam taką nadzieję. Bo teraz przecież jestem tutaj i nie potrzebuję już mamy.

A może on nie przyjdzie.

Wtedy będę musiał być sam.

Ale nie chcę już być sam. Nie tak jak wtedy, gdy chodziłem tam w dole, tam, gdzie ty teraz chodzisz i wpatrujesz się w ciemność.

Kim jesteś, ty, który jesteś tak blisko? Mówisz jak chłopiec i jeśli mnie słyszysz, wiesz, że jestem kobietą. Ty i ja mamy coś wspólnego.

Oboje zostaliśmy zamordowani.

Próbowałam tylko być przyzwoita, robić, co do mnie należy, być staranna i obowiązkowa. Dobra.

Nic z tego nie miałam.

Gorycz to uczucie, które jest dla mnie nowe. Tutaj nie ma żadnych złudzeń, żadnej wiary.

Tylko przedstawienie, na które można patrzeć:

Rzeczywistość żywych.

Czterysta metrów od budynku klubu ścieżka rozdziela się w trzech kierunkach.

Malin przystaje.

Którą mam wybrać?

Lasek Ryd jest niewielki, zaledwie kilka kilometrów kwadratowych.

Nagle słyszy jakiś trzask za plecami, odwraca się, instynktownie sięga po pistolet, ale ręka na nic nie natrafia, broń została na posterunku. Nie pomyślała o tym, żeby ją zabrać.

Znowu trzask.

Rozgląda się szybko. Las jest czarny, z wyjątkiem stożków światła pod latarniami. Pnie zmieniają się w groźne istoty, które w każdej chwili mogą ją zaatakować, i słyszy kliknięcie; czy to dźwięk odwodzonego kurka? Osłania twarz rękoma, stoi nieruchomo, czeka na kulę wdzierającą się w ciało, ale nic się nie dzieje.

Oddycha, cicha i nieruchoma. Nasłuchuje.

Nikogo tu nie ma. Malin jest sama w lesie, z wyjątkiem wszystkich tych istot, które są źródłem trzasków, skrzypienia i szelestów.

Wybiera ścieżkę prowadzącą wokół budynku, czuje, jak wilgotne trociny uginają się pod stopami. Mija parking w odległości zaledwie stu metrów. Widzi w świetle swój samotny samochód.

Nie wie dlaczego, ale na wysokości parkingu wchodzi w las.

Włącza komórkę, używa jej jak latarki. Szuka czegoś wzrokiem, nie wie czego. Śladów, że ktoś był tędy wleczony? Że doszło do walki? Jakiegoś miejsca, gdzie roślinność wygląda inaczej.

Dym pożaru jest tutaj gęstszy, a może to wcale nie dym pożaru? Malin czuje jakąś gryzącą woń. Przypomina benzynę.

Nie, zapach jest jeszcze ostrzejszy.

Odór spalonego mięsa.

Ludzkiego mięsa.

Malin pamięta woń ran Daniela i chce zawrócić, nie potrafi być dłużej racjonalna wobec zła. Ale idzie dalej.

Las jest tutaj gęstszy. Małe świerki i brzozy pod sosnami.

Idzie naprzód, ostrożnie, krok po kroku; co takiego leży tam na ziemi, jakieś trzy, cztery metry od niej?

Opuszcza komórkę, kieruje jej światło w dół.

Widzi, co to jest.

Nie. To niemożliwe...

Zniekształcone stopy.

Nogi podciągnięte do tułowia.

Czarne, wszystko czarne.

Ciało. Zwęglone zwłoki.

Leżą na boku, jakby w pozycji embrionalnej, i są czarniejsze niż jakakolwiek noc.

Nie ma tutaj ciszy, tylko uporczywy pomruk, jakby las był pełen głosów.

Malin chce podejść do ciała. Zobaczyć, czy nadal ma jakąś twarz. Przez chwilę stoi jednak nieruchomo i patrzy na nie. To nie dziecko, raczej dorosły człowiek.

To się musi ze sobą wiązać, myśli. Ty i chłopiec. W jakiś sposób to się musi ze sobą wiązać. Kto może wiedzieć, jak przecinają się nasze drogi, jak ludzie się spotykają i wszystko się wydarza.

Podchodzi bliżej. Próbując zignorować smród, ostrożnie obchodzi zwłoki, kuca i spogląda na to, co było kiedyś twarzą.

To, co widzi, nie przypomina człowieka. Tylko czarny, wykrzywiony grymas. Tak wyszło, zdaje się mówić ten grymas, i Malin myśli o zdjęciach z Hiroszimy, które widziała, o stertach zwęglonych zwłok. Ich twarze dokładnie tak wyglądały.

Tak wyszło.

Czterdzieści minut później las rozświetlają reflektory i coraz szybciej wstający świt. Karin Johannison i dwóch jej asystentów poruszają się wokół zwłok. Wszyscy troje są ubrani w białe kombinezony.

Malin stoi z Elin Sand na oświetlonej ścieżce i obserwuje pracujących techników. Jak ostrożnie badają otoczenie, grzebią pęsetami w ziemi i w trawie.

Nie zakryli jeszcze zwłok. Z tej odległości czarna masa nie przypomina człowieka. Wygląda raczej jak pień drzewa.

Technicy wchodzą głębiej w las, szukają, ale wygląda na to, że niczego więcej nie znajdują.

– Co to ma, kurwa, być? – mówi cicho Elin. Przeszępuje z nogi na nogę, jakby marzła. Podchodzi do nich Karin.

– To kobieta – stwierdza. – W tej chwili niewiele więcej mogę powiedzieć.

– Samobójstwo? – pyta Elin.

– Gdzie tam – odpowiada Malin. – Ludzie, którzy sami się podpalają, robią to, żeby pokazać coś światu. Dbają o to, żeby mieć widzów. W przeciwnym razie wybiera się chyba inny sposób.

Karin kiwa głową.

– Coś ty tutaj robiła, Malin?

W głosie Karin słychać autentyczne zaniepokojenie, jakby nigdy nie potrafiła się do końca połapać, kim tak naprawdę jest Malin.

Malin jej wyjaśnia. Że szukała miejsca, w którym mógł zostać zamordowany Lukas Klasén. I znalazła to.

W tle widzi, że dwóch asystentów podchodzi z noszami do zwłok. Stawiają je obok. Potem wahają się przez chwilę i gestykują do Karin, chyba chcą ją o coś zapytać, ale postanawiają tego nie robić. Wyjmują worek, wkładają do niego ciało i ostrożnie przenoszą je na nosze.

Świt staje się jeszcze jaśniejszy.

Dwukrotnie. Jeden po drugim. Flesze. W ostrym rozbłysku nosze z kobietą w worku stają się żółte jak słoneczniki, jakby w tym wszystkim było coś niewinnego.

Malin się odwraca, patrzy w stronę budynku klubu i widzi ich. Fotograf i dziennikarz „Corren”.

Ma ochotę tam pobiec i rąbnąć jednego i drugiego w łeb, kazać im trzymać się z daleka. W jakiś dziwny sposób to miejsce wydaje się teraz święte, nie zdradziło jeszcze wszystkich swoich tajemnic i nie wolno go zbrukać.

– Tak jest w porządku – stwierdza Karin. – Ale nie mogą podchodzić bliżej.

Daniel też jest dziennikarzem, mimo to Malin nie potrafi przemóc swojej niechęci do tych ludzi. Są jak szczury żywiące się najgorszą możliwą rzeczywistością.

A czym ja się zajmuję? I czasem reporterzy też trafiają na linię strzału, blizny Daniela najlepiej o tym świadczą.

– Jak długo tu leżała? – pyta Elin.
– Powiedziałabym, że od wczorajszej nocy – stwierdza Karin.
– I to tutaj spłonęła?
– Z pewnością.
– W tym samym czasie, w którym mógł tu być Lukas – zauważa Malin.
– Myślisz, że te dwie sprawy się ze sobą wiążą? – w głosie Karin słychać sceptycyzm.

– Nie wiem. Ale nie można tego wykluczyć. Lukas zwykle się tutaj bawił, miał trociny na butach, a zadrapania na kostkach świadczą przecież o tym, że wleczono go przez jakieś zarośla.

Karin kiwa głową.

– Ile mogła mieć lat? – pyta Elin, a Malin ogarnia irytacja, chce się trzymać myśli o tym, że te przestępstwa się ze sobą wiążą.

– W tej chwili trudno powiedzieć. Ale zęby są nietknięte i obstawiałabym, że miała około czterdziestki.

– Czyli będziemy mieli uzębienie do identyfikacji? – upewnia się Malin.

– Tak, będziemy mieli.

– Z tego co wiem, nie zgłoszono zaginięcia żadnej kobiety – stwierdza Elin.

– Musimy przesłuchać ludzi związanych z klubem – postanawia Malin. – Może coś widzieli poprzedniego wieczoru.

Dwaj asystenci dźwigają nosze w stronę karetki stojącej na parkingu. Potykają się w zaroślach i Malin znów myśli o zadrapaniach na nogach chłopca.

Zamyka oczy. Ziewa.

– Nie zauważyliście żadnych śladów świadczących o tym, że Lukas mógł być tędy wleczony przez las?

Karin wzdycha.

– Do tej pory nie widzieliśmy zupełnie nic, co świadczyłoby o tym, że chłopiec też tutaj był.

Uśmiecha się zmęczona i Malin myśli, że tej nocy obie za mało spały. Że miło jest spocząć w niewypowiedzianych spekulacjach. Wtedy to wszystko wydaje się mniej rzeczywiste, kiedy mówimy tak, jak powinni mówić śledczy, tak, jak się tego od nas oczekuje.

Asystenci z noszami znikają na chwilę w ciemności, a potem znów się pojawiają na oświetlonym parkingu.

Wkładają zwęglone zwłoki kobiety do karetki i odjeżdżają.

– Chyba już tu skończyliśmy? – pyta Malin.

– Zostało mi jeszcze trochę roboty – mówi Karin. – Ale ty już jedź.

W drodze do samochodu Malin czuje zapach dymu i ogarnia ją impuls, by pojechać do Tornby i popatrzeć na płomienie. Postanawia, że nie będzie się przed tym bronić. W wyobraźni widzi ognisty ogon komety.

– Skończyliśmy tutaj – mówi. – Jadę do domu, zobaczę, czy uda mi się jeszcze godzinę przespać.

Przy wjeździe do Tornby zatrzymują ją barierki. Mimo wczesnej pory na parkingu przed Ikeą i centrum handlowym Ikano zebrały się setki gapiów. Nad budynkiem Ica Maxi unosi się czarny obłok dymu.

Malin parkuje na poboczu. Pokazuje legitymację strażakowi stojącemu przy barierce i mężczyzna ją przepuszcza.

Fabryka farb leży kilometr dalej i gdy Malin się do niej zbliża, temperatura rośnie z każdym metrem, tak powoli, że niemal niezauważalnie. Malin ze zdumieniem stwierdza, że po plecach spływa jej pot.

Pet-Store.

Centrum ogrodnicze Plantagen.

Siba.

Media Markt.

Wszystko spowite gęstym dymem, jak w ostatnich dniach przed upadkiem cywilizacji.

Smugi dymu wiją się wokół logo, cały świat wydaje się pokryty popiołem, i przez szaroczną mgłę Malin od czasu do czasu widzi płomienie strzelające w niebo nad fabryką.

Czybym zginęła, gdyby teraz doszło do eksplozji?

Czy pochłonęłaby całe miasto i Daniela?

Z kłębow dymu wyjeżdżają trzy wielkie wozy strażackie. Potem czwarty.

Malin idzie dalej w stronę pożaru, w dym i żar, i teraz już kaszle, lecz chce być jak najbliżej, bo tak się przecież robi.

Z dymu wyłania się pięciu strażaków o twarzach pokrytych sadzą, idą jej na spotkanie, gestykulują, jakby chcieli, żeby zawróciła, i dopiero gdy Malin widzi, że ich usta się poruszają, dociera do niej, że huk ognia zagłusza wszystkie dźwięki.

– Cofnij się, cofnij – układają się ich usta.

Malin widzi, że jednym ze strażaków jest Janne, on też już ją poznał. Dziś jest strażakiem, myśli Malin. Jutro ratownikiem z karetki. Tak jak wielu ze służb ratowniczych, ma podwójną robotę.

Na jego twarzy nie widać zdumienia, wygląda, jakby po prostu stwierdził fakt, jakby pomyślał: no tak, czego innego mogłem się spodziewać.

Malin przystaje i spotykają się.

– Nie możesz iść dalej – mówi Janne. – To zbyt niebezpieczne. Prowadzimy ewakuację, w każdej chwili może dojść do wybuchu.

Nie pyta, co tutaj robi.

Kładzie jej dłoń na ramieniu i Malin poznaje ten ciężar. Przypomina sobie, jak Janne jej pomógł, gdy była beznadziejnie zalana, jak odciągnął ją od ludzi, na których wściekła się po pijanemu, jak wielokrotnie ją ratował, żeby sama nie zrobiła sobie krzywdy.

– No chodź.

Malin się odwraca. Oboje oddalają się od ognia. Od tego, co się topi. Zatrzymują się dopiero, gdy docierają do jej samochodu.

Ratownik z karetki podchodzi do nich i podaje im wodę. Malin widzi, że jej biały T-shirt jest czarny od sadzy.

Siadają na masce. Jakies dziesięć centymetrów od siebie.

– Chciałam zobaczyć pożar – mówi Malin.

– To głównie dym.

– Trudno zaprzeczyć.

Oboje wybuchają śmiechem.

– Dzwoniła Tove – mówi po chwili Janne. – To znaczy, na Skypie. Pokazała mi

chłopca.

- Tsingtsena.
- Co?
- Tak ma na imię. Tsingtsen.
- Chciała, żebym spróbował mu pomóc, żebym go tutaj sprowadził.
- Niby jak?
- Dokładnie to jej powiedziałem.

HAMBURG

Rosita Sánchez wygląda przez okno swojego pokoju na parterze willi. Próbuje nie myśleć o niczym.

Tu, na dole, może być sama, ma własną maleńką łazienkę, aneks kuchenny i prysznic, w soboty ma wolne, a niemieccy państwo przyzwocicie jej płacą. Kiedy patrzy na swoje odbicie w lustrze, zawsze jest zmęczona. Wygląda starzej niż na swoje trzydzieści pięć lat. Skóra, kiedyś napięta na lekko zaokrąglonych kościach policzkowych, zaczyna się stawać obwisła i trochę pociąga za sobą powieki.

Łóżko, biurko z komputerem i rzeka cicho płynąca za oknem. To by mogło być jej życie.

Łaba.

Statki płynące w tę i z powrotem z ładunkiem, z brzuchami pełnymi forsy. Wielu jej filipińskich rodaków spędza prawie całe życie na frachtowcach. Zręczni marynarze wysyłający do domu pieniądze, których nie przepiją.

Ich pokoje poruszają się po świecie. Ale więcej zarabiają na statkach niż w fabrykach na wyspach. Plastikowe zabawki, pluszowe misie, futerały na laptopy, slipy. Tania siła robocza wszystko wyprodukuje.

Więcej też zarabiają na budowach na Bliskim Wschodzie.

Jej pokój mieści się w domu o powierzchni sześciuset metrów kwadratowych, pełnym szlachetnego drewna i marmurów. Na ścianach niezrozumiałe obrazy, rozpieszczony pies i dwoje równie rozpieszczonych dzieci. Pieniądze w niepojętych ilościach, od niepamiętnych czasów. Ale cała rodzina teraz śpi, a ona zaczyna pracę dopiero za pół godziny, o siódmej.

Woda jest zielononiebieska, płynie szybko, ale mimo to wydaje się spokojna. Rosita Sánchez włącza komputer, ale nie ma siły z nikim rozmawiać na Skype. Kiedy ostatnio miałam na to siłę? – myśli.

Pyłki kurzu wirują w powietrzu. Naciska enter.

Zdjęcie dziecka, starszej kobiety.

Otwiera program e-mailowy i klika na nieprzeczytaną wiadomość.

W załączniku jest film.

Dlaczego ktoś mi przysłał film?

Kto?

Adres nadawcy nic jej nie mówi.

Rzadko się zdarza, żeby dostawała e-maile, a filmu nie dostała jeszcze nigdy. To musi być spam. Ktoś, kto chce, żeby wysłała pieniądze do Nigerii. Ale spamu też za często nie dostaje. Nie jest interesująca nawet dla najbardziej zdesperowanych sprzedawców.

Klika na film.

Ty.

To przecież jesteś ty.

Co robisz tam w ciemności? Dlaczego jęczysz?

Rosita Sánchez czuje, że robi jej się zimno, że ścisza jej się żołądek, i słyszy krzyki, widzi obrazy, widzi, co się dzieje. A po pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej minucie film się kończy. Co przed chwilą widziałam? Co się właśnie stało? Co się dzieje?

Bo to się dzieje wciąż i wciąż od nowa.

Ukazują się obrazy.

A poniżej w e-mailu: nazwisko, kraj, adres.

Czyta je kilka razy, nazwisko i adres, za nic nie wolno jej ich zapomnieć.

Ostatni raz ogląda film. Chce krzyczeć, ale wie, że to nie krzyk jest teraz potrzebny, nie komuś takiemu jak ona i jej siostra, ta, która płonie jak pochodnia, zmieniona w światło rozjaśniające noc. W ból i śmierć.

Rosicie Sánchez nieobca jest śmierć. Widziała ją wiele razy. W Manili, w innych miejscach, na wiele sposobów.

Ale ta śmierć nie może przejść niezauważona.

Poprzez tę śmierć ktoś chce coś przekazać.

Wszystko ma cenę i moja siostra właśnie drogo za to zapłaciła.

Tekst poniżej: adres, nazwisko.

Nazwisko mordercy?

Wie o tym, tak jak ktoś, kto słyszał zbyt dużo kłamstw, rozpoznaje prawdę. Albo przynajmniej prawie.

Wpisuje w Google nazwisko, adres.

Znajduje to, czego szuka.

Wyłącza komputer, pakuje swój skromny dobytek do walizki. Potem wymyka się z domu. Państwo niczego nie zauważą; porcelana, na której jedzą, jest dla nich ważniejsza niż ona.

Ty.

Płoniesz jak pochodnia.

Ktoś cię podpala i płoniesz, topisz się i krzyczysz, wykrzykujesz w noc przesłanie o wszystkich niesprawiedliwościach tego świata.

Część 2

*Tam gdzie najmniej się
spodziewasz*

KATMANDU 1999

Chcielibyśmy się stąd wyrwać i podrzeć to wszystko na strzępy. Kraj, w którym połowa ludności głoduje, kraj, który coraz więcej ludzi opuszcza, by stać się niewolnikami z dala od własnego domu – dlaczego nie mielibyśmy założyć tutaj firmy, zatrudnić ludzi, dać im pracy.

Ale nie.

Są lepsi w biurokracji niż w działaniu i nie mamy pieniędzy, których od nas żądają, żeby mogli sobie nimi wypchać kieszenie. Ile kosztuje pozwolenie na dostęp do gór, na przejechanie przez przełęcz do miejsc, gdzie nie ma tlenu?

Korupcja.

Nikt nikomu nie ufa, nikomu w nic nie wierzy.

Money, many money.

In my pocket.

Pal.

Razem marzymy o tym, by piąć się w górę, na szczyty, których jeszcze nie zdobyliśmy. Ale czujemy, jak Linköping – ulice, zapachy, życie zwykłych ludzi tam – kasa nas po piętach, więc co mamy, kurwa, teraz zrobić?

Pozwolenie zostało cofnięte.

Na nowe potrzeba dwieście tysięcy dolarów.

Mamy dwa tysiące.

Rano odprawiliśmy naszych Szerpów. Ganu płakał, Gram zacisnął zęby i powiedział: – *Can build house in Singapore.*

Siedzimy tutaj i w oddali widzimy góry. Mogą być tylko mirażem, i czujemy lód pod naszymi rękami. Widzisz to miejsce, gdzie nie ma tlenu? To tam się wybieramy.

Hałas miasta nigdy nie cichnie. W całej dolinie wrze zbyt wiele życia.

Co mamy robić, do diabła?

To marzenie, marzenie o górach, nie może się skończyć.

DOHA, OBECNIE

Po nocach Yash Pandey śni o górach, o górach, u których podnóża się wychował. Śni o sklepiku, który otworzy. Śni o krańcu nieba i w snach tęskni za chłodem przenikającym kości.

Ale teraz jest gorąco. A on jest zmęczony.

Plecy palą, jakby ktoś polał mu kręgosłup benzyną i podpalił. Nierealny ból, ale musi to wytrzymać.

On i pozostali ukryli się w cieniu i czekają na ciężarówki, które przewiozą ich na inną budowę. Do jedzenia dają im tylko ryż, a woda, którą piją, ma metaliczny posmak i śmierdzi ściekami. Ale musisz pić, inaczej umierasz. Z odwodnienia albo przez zawroty głowy, jeśli zemdlejesz i spadniesz. Wielu tak zginęło.

Mają tutaj grać w piłkę.

Bawić się.

A chińscy deweloperzy chcą, żeby wszystko było gotowe na długo przed

wyznaczonym terminem, bo wtedy więcej im zapłaca. Tak przynajmniej gadają ludzie.

Yash zamyka oczy.

Czy świat naprawdę może być taki gorący, czy ciało może tak boleć? Ile stawów i mięśni w ciele może tak boleć?

Nie wystarczyło to, że zniknęli robotnicy razem z ciężarówką.

Alberto.

Musieli zabrać kogoś jeszcze, myśli Yash. Tak to działa, gdy jesteś poddanym. Zabijają nie tylko nas, lecz także kogoś, kogo kochamy.

Skończyli z awanturami na budowie, uciszyli wichrzycieli, tych, którzy na pewno już nie żyją, ale nikt nie wie, gdzie zniknęli.

Kiedy zobaczyłem, co ci zrobili, Alberto, a potem co zrobili jej, musiałem działać. Stać się smokiem. Wprawić to w ruch, choć wiem, że to stanie się moim końcem.

Yash widzi zbliżające się tumany kurzu wzbijane przez ciężarówki.

Zatrzymują się pięćdziesiąt metrów dalej, na słońcu.

Pora jechać.

Wstaje, wychodzi z cienia i wspina się na platformę, zaciska zęby, żeby przemóc ból, siada wśród pięćdziesięciu innych robotników i samochód rusza w upał i kurz.

Do domu, przebrać się, splukać zapach dymu pod prysznicem. Daniela nie ma. Jest w redakcji, musiał już zacząć poranną zmianę i Malin pragnie go zobaczyć, usłyszeć jego głos.

Ale zezłościłby się.

Nie potrzebuje mojego niepokoju, ma dość własnego.

Malin się rozgląda. Daniel przeprowadził się do ich wspólnego mieszkania ze swoimi meblami, były ładniejsze niż jej stare, których nie chciała przyjąć nawet organizacja charytatywna. Za ładnie tutaj, myśli Malin, i tęskni za mieszkaniem dwa pietra niżej. To nie ja, nie zasługuję na to. Jej spojrzenie instynktownie wędruje w stronę szafki pod zlewem, gdzie w starym mieszkaniu przechowywała tequilę.

Tutaj szafka jest pusta.

Malin jedzie samochodem na posterunek.

W kuchni przy automacie z kawą stoi Göran Möller. Kilka razy naciska przycisk, ale nic się nie dzieje.

– Znowu się zepsuł. Najwyższa pora, żeby przyjechali i go wymienili.

– Przydałaby mi się teraz kawa – mówi Malin. – To była paskudna noc.

Göran kręci głową.

– To niezwykle, że pojechałaś do lasu, żeby szukać śladów chłopca, i zamiast tego znalazłaś zwęglone ciało.

Automat do kawy uruchamia się bez ostrzeżenia, Göran wyciąga kubek i udaje mu się złapać upragnione krople.

– To dziwne – zgadza się z nim Malin. – Nie mamy przecież dowodów, że chłopiec został tam zabity. Ani żadnych śladów, które by o tym świadczyły. A więc może to tylko zbieg okoliczności.

– Tak sądzisz?

– Będziemy musieli się tego dowiedzieć. Ktoś zgłaszał zaginięcie jakiejś kobiety?

Göran Möller kręci głową.

– Niestety nie.

Zeke siedzi na swoim miejscu w otwartym pomieszczeniu biurowym. Na monitorze widnieje strona „Corren”, zdjęcia z lasu, nagłówek: „Zwęglone zwłoki kobiety znalezione w lasku Ryd”. Pod artykułem zdjęcie Lukasa.

Malin staje obok Zekego.

– Musimy się dowiedzieć więcej o chłopcu – mówi Martinsson. – Pora porozmawiać z pracownikami szkoły. Przed chwilą dzwoniłem do dyrektora. Może nas teraz przyjąć.

Dziesięć minut później parkują przed ceglanyim budynkiem Tornhagsskolan. W gwałtownym podmuchu wiatru suche pożółkłe liście spadają chmarami z brzoź otaczających szkolne podwórze.

Na podwórku nie ma dzieci. Na pewno są w klasach.

Przy schodach prowadzących do wejścia leżą bukiety róż i innych kwiatów. Migoczą

płomyki kilku zniczy. Inne się nie palą. Zafoliowane zdjęcie Lukasa.

Spoczywaj w spokoju.

R.I.P.

Tęsknimy za tobą.

Malin i Zeke zatrzymują się przy miejscu upamiętniającym chłopca i Malin szuka wzrokiem czegoś, co odbiega od normy, co się nie zgadza. Widzi jednak tylko zwykłe sentymentalne frazesy, to, co według ludzi ma wyrażać współczucie, ale w rzeczywistości jest pustym schlebaniem własnemu ego i sposobem, by zagłuszyć swój strach.

A potem myśli: Kiedy stałam się taka cyniczna?

Gabinet dyrektora mieści się na drugim piętrze, na końcu długiego korytarza o żółtych ścianach. Przez okno Malin widzi trzy administratorki, które siedzą przy komputerach, a za nimi drzwi z tabliczką: DYREKTOR.

Wchodzą, przedstawiają się młodej rudowłosej dziewczynie, która wychodzi im na spotkanie.

Wyjaśniają, po co przyszli, i Malin oczekuje po rudej jakiejś reakcji, ale ona tylko sięga po telefon, wybiera numer i mówi:

– Przyszli z policji. Chcą porozmawiać o Lukasie.

Milczenie.

– Wpuszczę ich.

Dyrektor, mężczyzna około czterdziestki, łysy i z cofniętym podbródkiem, sam otwiera drzwi gabinetu. Jest ubrany w ciemnoniebieskie dżinsy i białą koszulę z krótkim rękawem.

Ściska im dłonie.

– Sten Folkelund – przedstawia się i siada za potężnym biurkiem, które wygląda, jakby wykonano je z jakiegoś drogiego tropikalnego drewna. Zauważa, że Malin zwróciła uwagę na mebel, i mówi z zadowoloną miną:

– To moje własne. Kupione na aukcji. Ładne, prawda?

– Nie przyszliśmy rozmawiać o meblach – mówi Zeke. – Przyszliśmy porozmawiać o Lukasie Klasénie.

Sten Folkelund unosi rękę.

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć.

Unosi brwi i przywołuje na twarz wymuszony uśmiech.

Jest podenerwowany, myśli Malin. A uwaga Zekego była przykra. Ale zrozumiała.

Sten Folkelund przejmuje inicjatywę.

– To straszne, co się stało. Ani ja, ani żaden z nauczycieli Lukasa nie mamy pojęcia, kto mógł chcieć mu wyrządzić taką krzywdę. Nie zauważyliśmy, żeby cokolwiek mu groziło. Fakty są takie, że świetnie się uczył, a to przecież cud, jeśli wziąć pod uwagę jego sytuację rodzinną.

– Jak się pan na to zapatrywał? – pyta Malin.

– Na co?

– Na jego sytuację rodzinną – mówi Zeke.

– Miałem kontakt z jego mamą, jego wychowawczyni również. Eva Gullicksson. Ale Lukas tak dobrze się uczył, że nie musieliśmy się w to wtrącać. I zawsze był czysty i zadbany. Albo prawie zawsze. Był jednak samotny.

– Samotny?

Mężczyzna wpatruje się w blat biurka.

– Było prawie tak, jakby inne dzieci się go bały. Znały jego sytuację i może myślały, że jeśli się z nim zaprzyjaźnią, je także to spotka. Trudno powiedzieć, jak to jest z dziećmi. A dla mnie liczy się szkoła jako całość. To, żeby był porządek.

– Dokuczali mu? – pyta Malin.

– Nie, ale był samotny, tak jak mówiłem.

Niewidzialny, myśli Malin. A co to jest, jeśli nie forma mobbingu?

– Czy był szczególnie blisko z jakimś nauczycielem albo innym pracownikiem?

Dyrektor kręci głową.

– Czasem próbowałem z nim rozmawiać. Zachęcać go, żeby zaczął się z kimś kolegować. Ale miał z tym problem, a to przecież coś, czego człowiek musi sam chcieć. – Poprawia jakieś papiery na biurku.

– Czyli nie może nam pan powiedzieć nic, co według pana mogło mieć związek z tym morderstwem? – pyta Zeke.

Sten Folkelund kręci głową.

– Jak Lukas się zachowywał w ostatnim czasie? Zwrócił pan uwagę na coś szczególnego?

– Nie.

– Czy szkoła miała kontakt z opiekunką społeczną rodziny albo z babcią chłopca?

– Co kwartał informowałem jego opiekunkę społeczną. Z naszej strony właściwie niewiele można powiedzieć. Lukas nie okazywał, jak się czuje.

– Nie było w klasie nikogo, kto znałby go trochę lepiej? – pyta Malin.

– Mamy tu głównie uczniów z osiedli willowych. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by rodzice sobie życzyli, żeby ich dzieci bawiły się z kimś takim jak Lukas. Z chłopcem, którego matka ma takie problemy.

Kwiaty.

Zafoliowane zdjęcia.

Znicze.

– Niedobrze mi się robi, kiedy widzę te rzeczy przy schodach – mówi Sten Folkelund, jakby po raz drugi czytał w myślach Malin. – Przydałoby mu się ich wsparcie, gdy jeszcze żył.

Podczas przerwy rozmawiają z wychowawczynią Lukasa. Eva Gullicksson też nie potrafi powiedzieć im nic, co wniosłoby coś do sprawy.

Stoją w klasie i rozmawiają. Bałagan na ławkach, rysunki na ścianach i zapach naleśników z systemu wentylacyjnego. Stłumione krzyki dzieci od strony podwórka i Malin przypomina sobie szkołę w Sturefors, to, jak nikt nigdy nie miał ochoty siedzieć z nią w ławce.

Ścisła jej się żołądek na to wspomnienie.

Żalosne.

Eva Gullicksson się załamuje, kiedy opowiada o Lukasiu, o jego samotności. O tym, że próbowała namówić innych uczniów, żeby się z nim bawili, ale on sam nie wydawał się tym specjalnie zainteresowany.

– Nic dziwnego, że człowiek stroni od ludzi, kiedy ma taką sytuację. To było tak, jakby niczego od nikogo nie oczekiwał. Ale był inteligentny. Najinteligentniejszy z nich wszystkich.

Malin podchodzi do okna. Wygląda na podwórze, dzieci się bawią, a z drzew znów

opadają chmary liści. I wydaje jej się, że widzi Lukasa, jak stoi sam pod jednym z drzew i patrzy na inne dzieci. Słyszy jego szept.

Czego mam szukać w tym świecie?

I tak nigdy nie będę się w nim liczyć.

Raz.

Kto podpala kobietę?

Dwa.

Ciężar włacza Malin w ławeczkę, ma podnieść pięćdziesiąt kilogramów i widzi spod sztangi idealnie ukształtowane kości policzkowe Elin Sand.

Czytała, że takie rzeczy zdarzają się w Indiach. W Pakistanie, w Bangladeszu. Tam się podpala kobiety. Oblewa je kwasem. Ale czy coś takiego może stać się tutaj?

Trzy.

W nozdrzach gęsty smród potu. Sraczkowatozielone ściany siłowni tworzą ramę dla jej pola widzenia.

Cztery.

Kto zabija chłopca?

Jego krewni? Ktoś inny? Kto?

Kłamliwa opiekunka społeczna? Ale dlaczego miałyby to zrobić?

No dalej.

Pięć.

Oniemiałe mięśnie.

Sześć.

Dlaczego żadna z osób, które przesłuchali wczoraj i dzisiaj, niczego nie widziała? Ludzie związani z klubem, sąsiedzi Lukasa? Mieszkańcy Sättuny?

Siedem.

Cholera.

Osiem.

Jakim trzeba być wściekłym, żeby podpalić kobietę? Jak szalonym? A może wcale nie wściekłym i szalonym tylko wyrachowanym. I bardzo mocno w coś wierzyć.

Albo ktoś chciał w ten sposób pozbyć się ciała, wszystkich dowodów.

Wyciskaj.

Umięśnione udo Elin na wysokości głowy. Jej skóra wydaje się miękka.

Dziewięć.

Teraz mi pociemniało przed oczami, ale dam radę.

Jakiś mizogin? Dzieciobójca? Morderca kobiet?

Nic nie wiemy.

Dziesięć, dziesięć, dziesięć!

Sztanga na widelkach.

– Dobra robota.

Wcale nie dobra, myśli Malin. Wcale nam dobrze nie idzie. Siada, oddycha i udaje jej się nie zwymiotować.

Zegar na ścianie w szatni wskazuje kwadrans po siódmej, kiedy Malin wchodzi pod prysznic. Woda jest zimna, przyjemnie spływa po głowie i skórze. Na zewnątrz wciąż jest

ładna pogoda, a w Tornby szaleje teraz pożar. Według „Corren” rozprzestrzenił się na szklarnie centrum ogrodniczego Plantagen, ale w fabryce na razie nie doszło do wybuchu chemikaliów. Wiatr wieje od miasta w stronę Roxen i lasów wokół Stjärnorp.

Malin wychodzi spod prysznic, wyciera się, myśli o nieustannym rytuale współczesnego człowieka, brud, mycie, wycieranie, jak my, kurwa, dajemy radę?

Nie ma pojęcia.

Dzwoni telefon.

Numer Karin.

– Skończyłam sekcję kobiety. Możesz przyjechać?

– Tak, wezmę ze sobą Elin.

Karin powiesiła na ścianie w swoim gabinecie dwa zdjęcia. Jedno przedstawia ranę na głowie Lukasa, drugie zwęgloną głowę kobiety. Zakreśliła kółkiem miejsce, które jest odrobinę ciemniejsze od reszty.

Wszystkie trzy stoją przy zdjęciach i Malin rozgląda się po pokoju.

Kiedy Karin się rozwiodła ze swoim byłym mężem Kallem i zamieszkała z Zekem, zmieniła również wystrój gabinetu. Zniknął drogi dywan, biurko przykryte szybą. Pojawiły się standardowe meble. Ale regały są tak samo zapełnione jak zawsze. Segregatory, książki, raporty.

Malin przygląda się zdjęciom, zastanawia się, dlaczego Karin je tam powiesiła, co powinna dostrzec, ale nie potrafi.

Karin wskazuje najpierw na zdjęcie głowy Lukasa.

– Widzicie te obrażenia? Podłużne i jakby zaokrąglone.

Kiwają głowami.

– A teraz spójrzcie na to miejsce na głowie kobiety. – Karin wskazuje na zakreśloną ciemniejszą plamę. – Ma ten sam kształt. Takie samo zaokrąglone wgniecenie.

– Co to znaczy? – pyta ze zniecierpliwieniem w głosie Elin Sand.

Karin bierze głęboki oddech.

– To znaczy, że jestem przekonana, że Lukas i ta kobieta w lesie zostali zamordowani tym samym narzędziem. Obrażenia są prawie identyczne, widzę to, chociaż jej głowa jest zwęglona.

– Czyli te morderstwa się ze sobą wiążą – stwierdza Malin.

– Zdecydowanie – potwierdza Karin, a Elin Sand gwizdże cicho.

Przez chwilę milczą.

– Co się mogło stać? – odzywa się po chwili Elin. Rzuca te słowa w próżnię, jakby się spodziewała, że odpowiedź wypadnie z którejś książki albo segregatora stojącego na regale.

– Lukas bawił się w lesie – mówi Malin. – Może był świadkiem morderstwa i dlatego zginął?

– Ale wtedy zabójca powinien go chyba zostawić w lesie – zastanawia się Elin. – Ciało znaleziono przecież daleko od tamtego miejsca.

– Z lasu Ryd mógł zostać przewieziony samochodem do Sättuny.

Malin splata dłonie, wygina palce, aż trzeszczy jej w stawach.

Karin się krzywi.

– Nie rób tak, Malin.

– Ale po co przewozić zwłoki do Sättuny? – pyta Malin.

– Tego się musimy dowiedzieć – mówi Elin.

– Znalazłaś jakieś ślady Lukasa na miejscu zbrodni, kiedy już pojechałam? – dopytuje po chwili Malin. – Jakieś ślady świadczące o tym, że ktoś ciągnął ciało przez las na parking? Krew z ran?

Karin kręci głową.

– Nie w tym obszarze, który przeszukaliśmy.

– Może warto jeszcze raz sprawdzić?

Karin kiwa głową. Zastanawia się przez dłuższą chwilę, potem mówi: – Możliwe, że żyła, kiedy ją podpalono. W odróżnieniu od Lukasa nie zmarła natychmiast w skutek uderzenia. Ale nie sposób tego dokładnie stwierdzić.

Gorąco musiało być potworne, myśli Malin. Ma nadzieję, że kobieta była przynajmniej zamroczona.

– Ale po co ją podpalił? – zastanawia się Elin.

– Żeby zatrzeć ślady? – podsuwa Karin.

– To w takim razie dlaczego zostawił ją w lesie? – mówi Elin i wszystkie trzy milkną.

– Żeby dać coś do zrozumienia – mówi w końcu Malin.

– Daleko tak nie zajedziemy – stwierdza Karin i wydaje się czekać, aż ktoś inny przejmie inicjatywę. Elin patrzy na Malin, chyba przychodzi jej coś do głowy i szybko ubiera to w słowa.

– Jedziemy do lasu Ryd – mówi.

– Dobra – zgadza się Malin, ale myśli: Najchętniej pojechałabym do domu.

Mniej więcej kilometr dalej, w kuchni mieszkania przy Drottninggatan, Zeke odgrzewa spaghetti z sosem bolońskim dla swojej córeczki Tess.

Myśli o Malin. Jaka się stała nadopiekuńcza, jak próbuje chronić Daniela. Sama tego nawet nie zauważa, ale on na pewno musi czuć, że zaraz od tego zwariuje.

Tess siedzi przy stole i czeka na jedzenie. Buzia jej się nie zamyka, ale Zeke jak zwykle słucha jej tylko jednym uchem. Same słowa też nie mają znaczenia, najważniejsze jest ich brzmienie – dla jego uszu jest to miłość przełożona na muzykę.

Miesza sos i myśli o Lukasiu Klasenie.

O całej miłości, jaką otrzymuje Tess. Jak głęboka jest ta miłość, choć została ukradziona.

Karin wiedziała, że z adopcją Tess coś jest nie w porządku, że może małą ukradziono wietnamskim rodzicom. Ale tu i teraz Tess się tym nie przejmuje. Liczy się dla niej miłość i Zeke się zastanawia, czy to, co mówił Lukas Klasén, brzmiało dla innego człowieka jak miłość.

Owszem.

Dla jego babci.

– Długo jeszcze? Jestem głodna.

Tess bębni łyżką w stół.

– Musi się podgrzać, bo była w zamrażarce. Zimne będzie niedobre.

– Dlaczego w zamrażarce jest zimno?

Zeke zaczyna się zastanawiać nad odpowiedzią, ale po chwili się poddaje.

Ona to zauważa i pyta:

– Tato, jak się robi zimno w zamrażarce?

– To sprężarka sprawia, że jest zimno.

Wygląda na to, że Tess zadowala się tą odpowiedzią. Zeke podaje córeczce jedzenie, głaszcze ją powoli po miękkich czarnych włosach.

Mimo wszystko trafiłaś do lepszego świata niż ten, w którym się urodziłaś. Bo chyba tak jest? – myśli.

Tove słyszy oddech Tsingsena. Za każdym razem coraz płytszy i krótszy.

Nie udaje się już zbijać gorączki i żaden z antybiotyków, jakie mają w domu dziecka, nie pomaga na chorobę, która wyniszcza to małe ciało.

Jego wychudzona rączka w jej wielkiej dłoni. Drugą ręką dotyka jego głowy i chłopczyk się budzi, patrzy na nią przerażony. Jego brązowe oczy są jak wytrzeszczone kulki, i chyba się zastanawia, co widzi.

Tata dzwonił do swojego znajomego z MSB, Szwedzkiej Agencji ds. Cywilnych Sytuacji Kryzysowych. Do SOS International. Do kogoś z Save the Children.

W każdym razie tak powiedział.

Ale nic nie można zrobić. Nie ma na to środków. I żaden wielki piękny szpital tu w mieście nie może go przyjąć ani wyleczyć.

Chcę zachować wiarę w świat, myśli Tove. Chcę, żeby był prosty. Żeby był miejscem, gdzie choroby można wyleczyć, gdzie są leki dla wszystkich dzieci.

Katmandu męczy się dalej za oknem. Butle z gazem gwiżdżą, palniki świszczą, motorowery nieustannie przejeżdżają w tę i z powrotem, rżą osły, szczekają psy. Oddech umiera, by urodzić się na nowo.

Tove mocniej ściska dłoń chłopca.

A on odwzajemnia ten uścisk.

Przy wejściu do klubu lampa rzuca w półmroku słabe światło. W milczeniu idą do miejsca, gdzie Malin znalazła zwłoki kobiety. Natrafiają na kilku zdyszanych i parszających biegaczy ubranych w najmodniejsze stroje, w jaskrawe neonowe barwy, które krzyczą: Popatrz na mnie!

Obszar odgradzony przez Karin ma pięćdziesiąt na pięćdziesiąt metrów.

– Niczego tu nie przeoczyliśmy, zapewniam was – mówi Karin z ironią w głosie.

Malin podoba się to, że Karin jest skromna, że przyjechała tu z nimi, bo jeśli znajdą coś nowego, to będzie oznaczać, że popełniła błąd. Może powinni byli przeszukać większy obszar.

Zatrzymują się na ścieżce, przy barierkach. Korony sosen przepuszczają niewiele światła, ale dzięki latarniom na ścieżce bez problemu widać najbliższe zarośla.

Żadnych śladów, że ktoś był tędy wleczony. Żadnych śladów walki.

– To musi być gdzieś dalej – mówi Malin. – Jeśli Lukas był świadkiem zamordowania tej kobiety, a morderca go zauważył i za nim pobiegł, musiał zdążyć uciec spory kawałek, zanim został uderzony w głowę. Morderca zaatakował go przeciw od tyłu, a to znaczy, że chłopiec uciekał.

Ruszają ścieżką. Szukają jakichś śladów wśród krzaków i zarośli, pod drzewami.

Obok przebiega młody mężczyzna. Słuchawki w uszach, stłumiona muzyka, która szybko cichnie. Ścieżka skręca z powrotem w stronę parkingu.

Karin, która idzie pierwsza, zatrzymuje się. Stoi bez ruchu i wskazuje na ścieżkę.

Malin i Elin podchodzą do niej.

– Krew – stwierdza Karin. – Jeśli to nie zakrzepła krew, to składam wypowiedzenie. – Wskazuje na skupisko czarnych punktów. Pochyla się, wyjmując pęsetę z kieszeni spodni i grzebie w trocinach. Pojawia się więcej czerni. – Myślę, że to tutaj zabito kobietę – mówi.

Malin spogląda w las, w stronę parkingu.

Nic.

Musi podejść bliżej.

Rusza, uważnie wpatrując się w ziemię.

Zatrzymuje się. Kuca. Grzebie wśród roślin.

I faktycznie.

Na mchu i w krzaczkach jagód widać słabe wgniecenia świadczące o tym, że coś było tędy ciągnięte. Próbuje odszukać ciągły ślad, ale go gubi.

Woła do Karin i Elin. Wskazuje na ledwie dostrzegalne ślady i razem powoli i żmudnie odnajdują drogę na parking, na całym odcinku odszukując nowe tropy.

Na parkingu Karin mówi im, by nie chodziły w miejsce, gdzie powinien stać samochód używany przez sprawcę.

– Na asfalcie nie widać śladów kół – stwierdza Malin.

– Mimo wszystko mogą tutaj być. Niewidoczne dla oka, ale może uda mi się zrobić odcisk na plastikowej folii. A wtedy będę mogła je porównać z tymi, które znaleźliśmy w

Sättunie. Zawsze to o krok bliżej.

Przez chwilę wszystkie trzy milczą.

– Ale dlaczego zostawił kobietę? A chłopca zabrał? – pyta w końcu Elin.

– Kobieta przecież płonęła. Spalone ciało długo jest gorące, może nie mógł jej przenieść, ale chłopca mógł ukryć – wyjaśnia Karin.

– To nielogiczne – zauważa Malin.

– A od kiedy to zdesperowani ludzie działają całkowicie logicznie? – odcina się Karin, i Malin musi się z nią zgodzić.

– Może chłopca nie planował zabić. A jeśli chciał, żeby kobietę tutaj znaleziono, żebyśmy zobaczyli jej spalone zwłoki? Co nam to mówi?

Karin kręci głową.

– Nie mam pojęcia.

– Ale jeśli nie chciał, żebyśmy znaleźli chłopca, to dlaczego wrzucił go do kontenera? – pyta Elin.

– Może przewiózł chłopca, żeby wprowadzić nas w błąd?

Kawałek dalej przebiega kolejna osoba uprawiająca jogging.

– To się nie trzyma kupy – mówi Malin. – A jeśli miało być na odwrót? Że to chłopiec miał być ofiarą, a kobieta była niewinnym świadkiem. Tylko czy wtedy spaliłby zwłoki? Podпалиłby ją?

– Myślę, że chciał pokazać światu tę spaloną kobietę. Wtedy pojawił się chłopiec, a on wpadł w panikę – stwierdziła Elin.

Malin czuje, jakby drzewa pochylały się w ich stronę, jakby wszystko się zagęszczało.

– Może tutaj mógł ją dorwać – mówi Elin. – Nie zdziwiłoby mnie, gdyby ta kobieta mieszkała w Ryd i wracała do domu.

Staje się coraz bystrzejsza, myśli Malin, a tymczasem Karin Johannison wyjmuje telefon i dzwoni do jednego ze swoich asystentów, który ma akurat dyżur.

To tak umarłem? Pamiętam, co zobaczyłem, i jak uciekałem. Jak się bałem.

Teraz dużo o mnie wiecie.

O mojej mamie.

Babci.

Jak było w szkole.

Czasem byłem z innymi. Byli dobrze wychowani, jak to mówicie wy, dorośli. Musiałem brać udział w ich głupich zabawach.

Ale właściwie wcale nie chcieli się ze mną zadawać.

Kiedyś poszedłem do jednego chłopca z klasy. Kiedy jego mama zobaczyła mnie i moje ubranie i zrozumiała, kim jestem, powiedziała, że właśnie wychodzą, że wybierają się do Ikei. I że muszę iść do domu.

Chłopiec zapytał, czy chcę pojechać z nimi, ale jego mama powiedziała, że to wykluczone. Więc wsiedli do samochodu i odjechali.

Zostałem tam. Schowałem się za drzewem.

Po jakiejś minucie wrócili. Zaparkowali. Wyszli z samochodu.

– Nie mieliśmy jechać do Ikei?

– Już nigdy nie przyprowadzaj do domu tego chłopca.

Tamtej nocy się schowałem. W lesie. Bawiłem się w to, że mnie nie ma.

Teraz już nigdy nie będę musiał się w to bawić.

Wołam cię, tato, wołam i wołam. Proszę, przyjdź szybko.

Pałałam się w lesie, ale wtedy o tym nie wiedziałam. Nie rozumiałam, że to był ogień.

Czułam, jak płonę. I jęczałam, krzyczałam.

Nie wiem, dlaczego ktoś uderzył mnie w głowę.

Oblał benzyną.

Podpalił.

Wy będziecie musiały mi to powiedzieć.

Ktoś się teraz zbliża.

Jest gorąco, ale nie czujecie woni dymu w nozdrzach, bo przyzwyczaiłyście się do tego, że świat płonie.

Nie powinno tak być.

Elin Sand podaje dwieście koron Piotrowi Werkowskiemu, swojemu trenerowi biegania. Ledwie zdążyła z lasku Ryd na trening. Nie chciała go przegapić. Uzależniła się od potu, endorfin.

Połowę płaci mu normalnie, a drugą połowę na czarno. Inaczej nie byłoby jej na niego stać. Jest drogi, ale biegał na tysiąc pięćset metrów w polskiej reprezentacji lekkoatletycznej.

Na Vasavägen samochody przetaczają się w ciemności jak rzeka. Reflektory jak płomienie.

Elin opiera się o drzwi na klatkę schodową, chce wziąć prysznic, pozbyć się potu, którym przesiąkł jej strój do biegania.

Na szczupłej twarzy Piotra pojawia się uśmiech.

– To był dobry trening.

Elin kiwa głową.

– Staję się silniejsza.

– Zgadza się. Ale powinnaś chyba zacząć uważać na to, co jesz.

Elin ma ochotę na niego wrzasnąć, żeby pilnował swojego nosa, ale wie, że musi zmienić dietę, jeśli ma sobie poradzić z tym biegiem na Majorce. Musi jeść tylko to, co pomoże jej rozbudować mięśnie. Do tej pory nie miała na to siły. Ale teraz przyszła pora, by zacząć się żywić koktajlami białkowymi i tylko przy starannie wybranych okazjach pozwalać sobie na węglowodany.

Piotr widzi jej złość.

– Chcę tylko, żebyś poradziła sobie w tym biegu – mówi. – Nic poza tym.

Elin kiwa głową.

On ma rację. Po co mam się w to angażować, jeśli nie będę tego robić na całość. I co będę robić, jeśli nie to?

Nie może się doczekać tego, że będzie „właściwie” jeść, pakować w siebie tylko to, co służy jakiemuś celowi, a nie to, co sprawia jej przyjemność. Nie może się doczekać wyrazistości w swoim życiu, prostoty, jaką daje plan, który można realizować.

– Mogę ci dać rozpiskę diety – mówi Piotr. – Możesz spróbować i zobaczysz, czy ci pasuje. Ale zapewniam cię, że szybko zauważysz różnicę. Poczujesz się silniejsza, jakby silnik mógł pracować dłużej i na wyższych obrotach.

– Nie zapłacę ci za to nic ekstra – mówi Elin.

Ulicą przejeżdża żółty ford fiesta.

– To będzie gratis – mówi były reprezentant, bez cienia uśmiechu.

Elin wychodzi spod prysznic. Wyciera się dokładnie podniszczonym szorstkim ręcznikiem. Czuje, że nie może sobie znaleźć miejsca. Trening nie jest w stanie stłumić tego niepokoju. Nie jest głodna, chociaż powinna.

Owinięta ręcznikiem siada przy małym biurku w przedpokoju. Włącza komputer, już wie, czym się zajmie.

Hitta.se.

Siv Eriksson, Linköping. Nie może ich być aż tak wiele.

Są cztery. Która z nich to ta kłamliwa baba z socjalu?

Zapomnieli o niej w zamieszaniu, gdy znaleźli te zwęglone zwłoki w lesie. Malin chyba próbowała się z nią skontaktować, ale Elin nie chce jej teraz przeszkadzać i prosić o adres.

Wyszukuje w Google. I babsko się pojawia. Na zdjęciu z wystawy psów w Valli, a podpis pod zdjęciem informuje, że mieszka w Vidingsjö, musi to zatem być Siv Eriksson z Vidingsjögatan 236.

Elin się ubiera. Dżinsy i czerwony T-shirt. Tenisówki.

Potem wsiada na rower i jedzie przez Linköping. Gdy przejeżdża obok restauracji z kebabem przy Ågatan, czuje głód.

Kiedy Malin wraca, Daniel jest w domu. Stoi w kuchni i miesza coś w garnku.

Malin go obejmuje.

– Moglibyśmy dziś gdzieś wyjść? Czy ugotowałeś coś specjalnego?

– To jambalaya z mrożonki.

– No to wychodzimy.

On ją całuje, chce zatrzymać, ciągnie w stronę sypialni, ale Malin się upiera.

– Nie teraz, później.

Daniel ustępuje. Zawsze jest taki wrażliwy i Malin przez chwilę pragnie, by nie był tak uległy wobec niej i jej zachcianek.

– Dokąd pójdziemy? – pyta Daniel.

Kwadrans później siedzą w Ming Palace, chińskiej restauracji zaledwie sto metrów od domu.

Lista dań wygląda, jakby nie miała końca.

– Weźmiemy menu dla dwojga? – pyta Daniel.

– Mam ochotę na coś pikantnego.

– Syczuan.

Zamawiają, jedzenie pali ich w usta i Daniel popija piwem. Przedtem spytał, czy to jej nie będzie przeszkadzać, ale jego pytania doprowadzają ją do szaleństwa, przecież Daniel wie, że może pić. To, że pyta, niczego jej nie ułatwia.

Malin patrzy na niego, na piwo, które trzyma w ręce.

Dlaczego nigdy nie potrafisz być z niczego zadowolona? – myśli.

Daniel dopija w dwóch dużych łykach i zamawia kolejne piwo.

Zaczął za dużo pić? Przeoczyłam coś?

– Jeszcze jedno piwo? – pyta Malin.

– Muszę się wyluzować. Mówiłaś, że ci to nie przeszkadza.

Malin kiwa głową. Zagryza wargę.

– Jak idzie śledztwo? – pyta po chwili Daniel.

– Jeśli ci opowiem, to musi zostać między nami.

– Wiesz, że tak będzie.

Malin wie, że może mu ufać, więc opowiada mu o chłopcu, który być może był świadkiem morderstwa i dlatego żył tylko dziewięć lat. O bystrym, nieskończenie samotnym chłopcu. I ma ochotę płakać, kiedy o tym mówi, ale co by to, kurwa, pomogło?

Płacą i gdy wracają do mieszkania, to Malin ciągnie Daniela do sypialni, a on chętnie

idzie za nią.

Rozpina mu koszulę, całuje blizny na jego piersi, miejsce, gdzie kiedyś miał sutki, a potem rozpina mu spodnie. Daniel już ma wzwód i czeka na nią. Malin chwyta jego plecy, a on się rozluźnia.

Jest tutaj.

Dobrze się czuje.

Nic mu się nie stanie.

Malin czuje, jak cały strach, wątpliwości i samotność opuszczają jego ciało, i kocha tę zadyszkę, jaką daje jej ta chwila, to cudowne uczucie, że wszystko wreszcie się kończy.

Elin Sand dzwoni do drzwi szeregowca przy Vidingsjögatan. Patrzy na pomalowane na brązowo drzwi i elewację z białych desek, na tajemniczą poświatę rzucaną przez latarnię w małym ogródku.

Plecy ma spocone od jazdy na rowerze, żołądek wypchany kebabem.

Właściwie pora jest na to za późna. Sporo za późna.

Ale ta baba nas okłamała.

Słyszy kroki w głębi domu. Drzwi się otwierają i Elin widzi okrągłą twarz opiekunki społecznej Siv Eriksson, w pierwszej chwili zdumienie, potem strach. Ma na sobie różową nocną koszulę. Najwyraźniej zamierzała się już położyć.

Elin wciąga powietrze do płuc, chce się wydawać ogromna, mówi: – Mogę wejść? Mam kilka pytań uzupełniających w sprawie Lukasa Klaséna. To pilne.

– Jest już późno.

– Nie aż tak późno.

Elin wpycha się do przedpokoju.

Buty rzucone na stertę, bałagan w szafie bez drzwi.

– Możemy przejść do kuchni.

I Elin zauważa, że Siv Eriksson już wie, że jej kłamstwa wyszły na jaw.

– Nie ma potrzeby – mówi. – Możemy załatwić to tutaj.

Jak mam do tego podejść, myśli. Groźbą, przemocą? Babsko źle zrobiło, wie o tym i pewnie chce ratować własną skórę.

– Dlaczego nas okłamałaś w sprawie Lukasa? I jego babci? Nie powiedziałaś, że rozmawiała z tobą o tym, przez co chłopiec przechodził.

Kobieta zamyka oczy. Kręci głową.

– Nie kłamałam. Myślałam, że to nieważne.

Idiotka.

– Przestań pieprzyć bzdury – mówi Elin i postępuje o krok w jej stronę.

– Zostały mi trzy lata do emerytury. Mieszkam sama. Jeśli wyjdzie na jaw, że zignorowałam sprawę Lukasa, mogę stracić pracę. A wtedy stracę wszystko. – Siv Eriksson przerywa na chwilę. A potem krzyczy: – Mam tylko ten dom i jest zadłużony aż po dach. Nie mogę stracić pracy, rozumiesz?

Elin Sand chwyta ją za ramiona. Mocno ściska.

– A co z Lukaszem? Dlaczego o niego nie dbałaś?

– Są tacy, którzy mają gorzej.

– Gorzej? Gorzej?

Elin ją puszcza. Cofa się, potem bierze zamach i z całych sił uderza Siv Eriksson w policzek.

Kobieta się osuwa na nakrapiany dywan.

Mówi:

– Nie daję rady przejmować się wszystkimi. Mną nikt się nie przejmuje. Nikt. Tacy

jak oni są tylko ciężarem. Tylko kosztują. – Spogląda w górę na Elin. Łzy na policzkach, nienawiść w wilgotnych oczach. – Wynoś się stąd.

Elin zaciska pięść, unosi ją nad głowę Siv Eriksson. Chce tłuc, tłuc i tłuc, ale zamiast tego wychodzi.

Wsiada na rower. Serce pracuje, w mózgu i w duszy pustka.

ŚRODA, PIĘTNASTY WRZEŚNIA Pakistański zmywacz w kuchni nigdy nie przestaje zadziwiać swoim zapalem i pracowitością pięćdziesięcioletniej kierowniczkii hotelu Ekoxen, Johanny Törnblad. Często przychodzi pół godziny przed rozpoczęciem zmiany i zmywa wszystko ze śniadania w takim tempie, w jakim pojawiają się brudne naczynia. Jeśli nie ma nic do roboty, zawsze coś sobie znajdzie.

Ale jak ma na imię? Johanna nie potrafi tego zapamiętać.

Mustafa? Muhammed?

Nie ma szans.

W hotelu jest sto pokoi i na co dzień ma pięć osób do ich sprzątania. To najmniej o trzy za mało, ale Best Western chce, żeby hotel był opłacalny, a to znaczy, że personel musi harować. Żadna z jej sprzątaczek, bo wszystkie są kobietami, nie jest szwedzkiego pochodzenia. Bóg raczy wiedzieć, skąd oni wszyscy się biorą. Jedna jest tajska żoną z importu, która odeszła od męża Szweda, tyle Johanna Törnblad o niej wie.

A Michelle Persson jest z Filipin.

Jest solidna i wesoła, ale Johanna słyszała, że Filipińczycy lubią kraść, więc miała na oku tę Michelle. Dziś trzeci dzień z rzędu nie pojawia się w pracy.

Nie wzięła chorobowego.

Nie odbiera komórki.

Nie ma telefonu stacjonarnego.

Johanna Törnblad spogląda na niemal pustą salę śniadaniową i zastanawia się, czy nie powinna pojechać do Michelle do domu, gdziekolwiek to jest.

W klitce, która służy jej za gabinet, tuż za kuchnią restauracji, sprawdza adres Michelle. Mieszkanie na parterze w Ryd. Nie jest to bynajmniej miejsce, w którym miałyby się ochotę mieszkać, ale po lasku Ryd miło się spaceruje.

Nagle Johanna coś sobie przypomina. Michelle kiedyś jej mówiła, że chodzi przez lasek do pracy i wraca tą samą drogą. I serce Johanny przeskakuje jedno uderzenie, tak jej się przynajmniej wydaje.

Czy to przypadkiem nie w lasku Ryd policja znalazła tę spaloną kobietę? I czy w gazecie nie było napisane, że miała tylko metr pięćdziesiąt? Mniej więcej tak jak Michelle?

Zabity chłopiec w Gärstad.

Pożar, który pustoszy Tornby.

Całe miasto oszalało.

Johanna nie chce o tym myśleć. Potrzebuje wszystkich sprzątaczek, bo w przeciwnym razie będzie miała na głowie niezadowolonych gości.

Jeszcze raz dzwoni na numer Michelle.

Odbierz, odbierz, odbierz.

Postanawia, że pojedzie pod ten adres w Ryd, już się szykuje, żeby wsiąść na rower, ale nagle ogarnia ją strach.

A co, jeśli naprawdę to Michelle została zamordowana? Co może zastać w jej mieszkaniu?

Johanna Törnblad z powrotem przypina rower. Potem sięga po telefon i dzwoni na policję. Poprosi, żeby ją połączyli z tą całą Marią Fors, o której pisali w „Corren”.

Spotkanie, które właśnie się zakończyło, było bez sensu. Obie sprawy są ze sobą powiązane. Chłopiec prawdopodobnie stał się świadkiem morderstwa i sam zginął.

Ale co potem?

Malin siada na krześle biurowym, odchyła się do tyłu i przeciąga, czuje się obolała po wczorajszym treningu.

Przesłuchania i poszukiwania jak dotąd nie dały żadnego rezultatu. Johan znalazł konto Lukasa na Instagramie. Obserwowało go pięć osób, wszystko ewidentnie profile reklamowe.

Nie mają zupełnie żadnego punktu zaczepienia. A w mieście wrze z niepokoju, Malin to wyczuwała, kiedy szła do pracy. Rytm miasta, zgiełk. Co się dzieje? Otworzyły się bramy piekieł?

A teraz dzwoni Ebba z recepcji. Malin odbiera.

– Mam na linii kobietę, która jest kierowniczką w Ekoxen. Jedna z jej sprzątaczek ponoć od poniedziałku nie przychodzi do pracy. I codziennie chodziła przez lasek Ryd. Ta kierowniczka chce pilnie z tobą rozmawiać. I z nikim innym. – Ebba się śmieje. – Mówiła, że czytała o tobie w „Corren” i że wydajesz się solidna.

– Fajnie.

– Mam ją z tobą połączyć?

– Tak, proszę.

Na kilka sekund na linii zapada cisza, a potem słychać szorstki głos: – Dodzwoniłam się do Marii Fors?

– Mam na imię Malin, ale chyba rozmawia pani z właściwą osobą.

– No tak. Mówi Johanna Törnblad, kierowniczka Ekoxen.

Potem opowiada to samo co przed chwilą Ebbie i dodaje, że sprzątaczką nazywa się Michelle Persson i ma trzydzieści osiem lat. Metr pięćdziesiąt wzrostu.

To może być ona, myśli Malin i widzi, że uruchamia jej się wygaszacz ekranu. Plaża w Tajlandii, chce się tam wybrać na święta. Pieprzyć Paryż, witaj, Tajlandio. Może Tove będzie mogła tam przylecieć z Katmandu?

– I Michelle nie zjawiała się w pracy od poniedziałku?

– Przecież mówiłam.

– Ma pani jej adres? – Malin go zapisuje. – Wie pani, czy miała dentystę?

– Cóż to znowu za pytanie?

Malin wie, że nie powinna tego mówić, a jednak wyjaśnia: – Gdyby się okazało, że to Michelle znaleziono zamordowaną w lasku Ryd, moglibyśmy ją zidentyfikować po zębach.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Zrobiło mi się słabo – mówi w końcu Johanna Törnblad.

– Spokojnie. Nie ma pośpiechu.

Po długiej chwili kobieta dodaje:

– Bardzo mało o niej wiem, ale może inne sprzątaczkę lepiej ją znają.

– Dobrze, proszę je zebrać, zaraz przyjedziemy do hotelu.

Po zakończeniu rozmowy Malin przywołuje do siebie pozostałych. Wszystkich oprócz Johana, który pojechał z córką do reumatologa dziecięcego.

Opowiada, czego się właśnie dowiedziała. Że wiele informacji pasuje do kobiety z lasu, ale oczywiście może być tak, że Michelle Persson po prostu znudziła się ta praca albo leży chora w domu z zepsutą lub wyłączoną komórką. Albo coś w tym stylu.

– Ja i Börje pojedziemy do mieszkania – mówi Elin. – Ty i Zeke możecie załatwić hotel. Czy wolisz na odwrót?

– My załatwimy hotel – decyduje Malin i grupka śledczych się rozchodzi.

Rydsvägen 42 b.

Dwupiętrowy budynek z żółtej cegły w dzielnicy zapomnianej przez Boga.

Rabatki przy wejściu są wyschnięte i pełne niedopałków. Dolna część metalowych drzwi na klatkę schodową się oberwała i ktoś niechlujnie załatał je sklejką.

Kawałek dalej na placu zabaw siedzi kilkoro dzieciaków. Kołyszają się powoli na huśtawce. Gdy Elin i Börje się zbliżają, zaczynają gwizdać i chrząkać, a potem się ulatniają.

Dajmy im spokój, myśli Börje, który nie zna żadnego z nich. Czuje pot pod koszulą, swędzą go blizny. Kiedy wreszcie zrobi się chłodniej?

On i Elin wchodzą na klatkę schodową, wstukując do domofonu kod pocztowy. Potem podchodzą do drzwi, na których wisi tabliczka Persson. Elin Sand dzwoni. Nikt nie otwiera i Börje się zastanawia, czy mają prawo tam wejść, czy sytuacja tego wymaga. To śledztwo w sprawie morderstwa, a Michelle Persson mogło spotkać coś złego.

– Nie ma jej w domu – mówi Elin Sand.

– Najwyraźniej – odpowiada Börje. – Myślę, że wchodzimy.

Elin kiwa głową. Potem wyjmuje pęk kluczy, wyciąga wytrych i po czterdziestu sekundach majstrowania drzwi się otwierają.

Przekraczają próg.

– Michelle! Michelle! Jesteś w domu? – woła Elin.

Wchodzą do jedyne go pokoju w mieszkaniu.

Niepoślane łóżko. Komputer na biurku. Telewizor. To wszystko. Na niebiesko-czerwonych tapetach wiszą zdjęcia z Filipin, plaże, dżungla i jakieś miasto, zapewne Manila.

– Na sto procent jej tu nie ma – stwierdza Börje.

Na biurku stoi zdjęcie oprawione w ramkę. Kobieta, być może Michelle Persson, obok drugiej, starszej, o złym spojrzeniu, w jakimś miejscu, które przypomina dzielnicę nędzy.

Ładna, myśli Börje, ale nie piękna. Ma prześliczne włosy, długie, opadające falami na okrągłe policzki. I ciemne oczy pełne radości.

Inne zdjęcie ukazuje jakąś samotną kobietę na tle ceglanej ściany. Jest w tym samym wieku co Michelle, jej spojrzenie jest poważne, i choć jest chudsza, wygląda na przekorną. Na kolejnym zdjęciu widać jakiegoś młodego mężczyznę w kasku budowlanym.

Może w Dubaju, domyśla się Börje. To chyba właśnie Filipińczycy i Pakistańczycy zbudowali całe to miejsce.

W mieszkaniu nie widać żadnych śladów walki i gdy Elin Sand zaczyna grzebać w szufladach, ma ochotę ją poprosić, żeby przestała. Nic tutaj nie świadczy o tym, że Michelle Persson spotkało coś złego. Ale nic też nie wskazuje na to, że spakowała walizkę i wyjechała.

Musiała wyjść za mąż za Szweda. Ale tutaj mieszka sama, myśli Börje.

– Znalazłaś coś? – pyta. Przez opuszczone żaluzje na białą pościel pada delikatne światło.

– Nie. Ale lodówka jest pełna.

– Chcesz sprawdzić komputer?

– To by było nie na miejscu.

Börje kiwa głową na znak, że się z nią zgadza.

– No to myślę, że stąd spadamy.

Johanna Törnblad prowadzi Malin i Zekego do hotelowej kuchni. Jakiś młody mężczyzna smaży befsztyki na dużej płycie, a tęga kobieta w wieku Malin obiera jajka.

– Teraz jest spokój, ale w porze lunchu robi się niezłe zamieszanie.

– Wyobrażam sobie – mówi Malin i idą za kierowniczką do pomieszczenia, które musi być jadalnią dla personelu. Dziesięć żółtych drewnianych stolików stoi w pięciu rzędach przy wielkich oknach.

Siadają przy jednym ze stolików.

– Tak jak mówiłam, niewiele wiem o Michelle – wyjaśnia Johanna – ale jest dobrą pracownicą. Jest rozwiedziona. Albo może zmarł jej mąż. W każdym razie wyszła za mąż za jakiegoś Szweda i w ten sposób tu trafiła.

– I nie wie pani, gdzie może być? – pyta Zeke.

Przed chwilą dzwonił Börje. W mieszkaniu było pusto.

– Nie mam pojęcia, ale może Chai będzie wiedziała. To Tajka. Zaraz przyjdzie z wami porozmawiać. Ponoć były bliskimi przyjaciółkami.

– Kiedy przyjdzie?

Johanna Törnblad bierze jakieś urządzenie przypominające walkie-talkie i wciska numer.

– Chai? Do jadalni. Natychmiast. – Potem odkłada urządzenie na stół. – Będzie tu za dwie minuty.

Miły ton, myśli Malin. Ale ja czasem wcale nie jestem lepsza wobec Elin.

Z kuchni dochodzi skwierczenie befsztyków na płycie, ale Malin nie czuje zapachu. Wszystko musi pochłaniać wentylacja.

– Czy w ostatnim czasie coś się działo wokół Michelle?

Johanna Törnblad się śmieje.

– Ludzie, którzy sprzątają w takim hotelu, nie są nikim wyjątkowym.

Malin posyła jej pełne złości spojrzenie.

– Kierowniczkę też nie są wyjątkowe – dodaje Johanna. – Ale proszę, Chai już tu jest.

Malin się odwraca.

Za nimi stoi kobieta o czystych rysach, wesołych oczach i kruczoczarnych włosach związanych w kucyk. Ma na sobie uniform sprzątaczkę: granatowe bawełniane spodnie i T-shirt z długim rękawem w takim samym kolorze.

– Policja chce z tobą porozmawiać o Michelle. Tylko o to chodzi. – Johanna znów patrzy na Malin. – Nie chcę jej nastraszyć. Mogłaby pomyśleć, że chodzi wam o nią. Tajowie zajmują się przecież przemytem narkotyków i Bóg wie czym jeszcze.

Chai dalej się uśmiecha.

– Chcemy porozmawiać z Chai sam na sam.

– Czy to konieczne...

– Proszę nas zostawić – mówi Malin.

Johanna niechętnie wstaje.

– Nie palnij nic głupiego – mówi i wychodzi z pokoju.

Kobieta o imieniu Chai siada na miejscu, które się zwolniło.

– Wiemy, że masz na imię Chai, ale jak się nazywasz?

– Jestem Chaila Parnatrep, ale możecie się do mnie zwracać po prostu Chai.

Napijecie się kawy?

– Chętnie – odpowiada Malin. – Oboje poprosimy czarną.

Minutę później Malin bierze łyk kawy; jest gorąca i dobra.

– Niepokoję się o Michelle – mówi Chai i Malin wychwytuje tylko bardzo słaby akcent. – Nigdy jej się nie zdarzyło nie przyjść do pracy i codziennie ze sobą rozmawiamy. A teraz nie mogę się z nią skontaktować.

– Wiesz, gdzie może być? – pyta Zeke.

– Nie mam pojęcia.

– Jest rozwiedziona czy... – Malin pozwala, by to pytanie zawisło w powietrzu.

– Tak, od wielu lat. Nigdy nie mówi o swoim mężu.

– Spotyka się z kimś innym?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może to trochę dziwne pytanie – mówi Malin – ale wiesz może, czy Michelle ma jakiegoś konkretnego dentystę, do którego zwykle chodzi?

Chai się rozpromienia. Na szczęście wydaje się nie rozumieć, co oznacza to pytanie.

– Chodzimy do tego samego. Do Krondahla przy Hamngatan.

Malin i Zeke spoglądają po sobie. Krok naprzód. Być może.

– Czy w ostatnim czasie Michelle zachowywała się inaczej? Wydawała się wystraszona, skryta?

Chai kręci głową.

– Kiedy ostatni raz się z nią widziałaś? – pyta Zeke.

– W pracy. W niedzielę. – Chai milknie na chwilę, a potem ciągnie: – Niepokoję się o nią. Czyli myślicie, że to ona mogła być tą kobietą, którą spalono w lesie?

– Nic nie myślimy. Chcemy się tylko z nią skontaktować. Żeby się upewnić – odpowiada Malin.

– Ale to może być Michelle?

– Tak – potwierdza Malin. – To może być ona.

Wychodząc z hotelu, Malin wysyła do Karin esemesa z nazwiskiem dentysty. Jeszcze zanim odjeżdżają, przychodzi odpowiedź: nie figuruje w jej rejestrze dentystów, ale Karin wysłała mu e-mailem zdjęcie odcisku szczęki. Natychmiast je porówna z uzębieniem Michelle.

Malin pokazuje esemesa Zekemu, gdy ten wsuwa kluczyk do stacyjki.

– Odpowiedź może przyjść dopiero za parę minut – stwierdza Zeke.

Jadą Djurgårdsgatan w stronę szpitala, mijają domy z lat siedemdziesiątych, i gdy są na wysokości kantyny, przychodzi esemes od Karin.

Mają potwierdzenie.

Spalona kobieta to Michelle Persson.

Teraz wiecie, kim byłam.

Człowiekiem, który przybył tu z dalekiego kraju, tak odmiennego w porównaniu z waszym.

Ja i chłopiec dzielimy teraz wspólną przestrzeń. On wie, że tu jestem, blisko niego. Woła swojego tatę.

Rodzimy się do życia, potem unosimy się jak drobiny kurzu, spalamy się w jednej chwili i to już koniec.

Śmierć może przyjść do nas kiedykolwiek, jakkolwiek, wszystko się ze sobą łączy i czasem to dostrzegamy.

Karin Johannison ostrożnie przeszukuje mieszkanie przy Rydsvägen 42 b. Znalazła komórkę w torebce w przedpokoju. Telefon jest zabezpieczony kodem i technicy będą musieli go złamać. Michelle musiała tego dnia wyjść do pracy bez torebki. Może była spóźniona, zapomniała jej i nie zdążyła po nią wrócić.

Nigdy się tego nie dowiemy, myśli Karin.

Komputer wysłała już do Johana Jakobssona. On znajdzie to, co warto znaleźć.

Karin uderza bylejąkość wszystkiego, co jest w tym mieszkaniu. Sama zaczęła prościej żyć, gdy rozwiodła się z Kallem, i na początku nie brakowało jej luksusu, dzieł sztuki, eleganckich strojów i podróży. Powoli jednak ta marność ją dopadła.

Miłość do Tess, do Zekego. Na jak długo to wystarczy?

Pieniądze, które teraz zarabia, pozwalają na niewielkie ekstrawagancje. Może urlop w Tajlandii, ale nie w Australii. Nie aż tak daleko.

Michelle przybyła z daleka, z Filipin. Wyszła za męża za Szweda. Rozwiodła się. Będą musieli go sprawdzić. Poinformować go, że jego była żona nie żyje.

Oprawione w ramki zdjęcia na biurku. Mężczyzna w kasku budowlanym. Ma wyraźnie filipińskie rysy, jeżeli coś takiego istnieje. Czy to jej brat? Filipiński mąż? Przyjaciół? I kim jest ta kobieta na drugim zdjęciu?

Karin starannie przeczesuje mieszkanie w poszukiwaniu odcisków palców.

Nie znajduje aż tak wielu różnych.

Ale może któreś należą do mordercy?

Göran Möller ma na sobie wymięty beżowy płócienny garnitur, jak żywcem wzięty z jakiegoś obrazu Malarzy ze Skagen. Malin myśli, że ten kolor sprawia, że jego twarz wydaje się szara, jakby tego lata przegapił słońce i przydałaby mu się porządna dawka.

Robi notatki na suchościeralnej tablicy w sali konferencyjnej. Wypisuje nazwiska, całe zadania obok zdjęć Lukasa Klaséna, jego twarzy, jego roztrzaskanej czaszki.

Lukas Klasén.

Michelle Persson. Ustalić kolejność wydarzeń.

Zamordowana w lasku Ryd. Ten sam sprawca.

Dzieli śledztwo na poszczególne tropy:

Krewni? Były mąż? Przyjaciele?

Lukas świadek, Michelle planowana ofiara. Na odwrót?

Debiut seryjnego mordercy?

Spalenie? Motyw kulturowy? Morderstwo honorowe?

Kiedy Malin czyta te słowa na tablicy, ogarnia ją strach. Boi się, że nigdy nie uda im się tego rozwiązać. Dostrzega ten sam niepokój w oczach Zekego, Elin, Börjego, Görana i Johana.

Co to jest?

Brutalność.

Skrajna przemoc.

Wszyscy zdają się myśleć o tym samym: dotąd, ale ani kroku dalej.

Żadne odciski kół z parkingu przy klubie nie pasowały do tych przy kontenerze. Technicy zaczęli rozpracowywać komórkę Michelle, Johan po spotkaniu zabierze się do komputera.

A my, pozostali? – myśli Malin, gdy Göran rozdziela zadania.

Odnaleźć byłego męża Michelle. Rozwiedli się wiele lat temu, więc jego nazwisko nie pojawia się w rejestrach publicznych, w których figuruje Michelle. Będzie trzeba poprosić urząd skarbowy, żeby dokopali się do starszych papierów.

Przesłuchać wszystkich, z którymi pracowała Michelle, jej przyjaciół, znajomych. Musiała przecież mieć jakichś przyjaciół oprócz Chai. Miałaś więcej przyjaciół, prawda? Wszyscy ich przecież mają.

Z wyjątkiem Lukasa. I mnie.

Jestem w tym beznadziejna.

Może jednak miałaś jakiegoś faceta?

Matka Lukasa, jego babcia i wszyscy w jego otoczeniu zostali sprawdzeni. Nic nie wskazuje na to, by mieli coś wspólnego z tym morderstwem.

Malin zamyka oczy.

Czuje, że ta sprawa sięga daleko, za lasek Ryd, za Filipiny. Coś jej to mówi. Ale Michelle nie była niechętną panną młodą, którą niedoszły mąż spalił, żeby zachować honor. Ten motyw porzuca. Była Filipinką, a tam nie pali się panien młodych.

Nie znaleźli narzędzia zbrodni. Przeczesałi las i sąsiednie tereny w poszukiwaniu metalowej rurki albo innego podobnego przedmiotu, ale bez skutku.

Malin wygląda na wewnętrzne podwórze. Za oknami kanceliści siedzą w krawatach i koszulach albo bluzkach; wyglądają na bardzo zajętych.

Zalany słońcem plac zabaw wydaje się opuszczony. Na jego widok prawnicy z pewnością zaczynają tęsknić do tego, żeby się rozmnożyć.

Żywiołowość dzieci ucichła. Przeniosła się gdzieś dalej, w inne miejsce.

Johan Jakobsson pochyla się na biurowym krześle w stronę monitora komputera Michelle Persson. Na pulpicie neutralne zdjęcie – rozgwieżdżone nocne niebo.

Wcześniejsza wizyta w szpitalu była koszmarem. Lekarz miał tylko sprawdzić, w jakim stopniu Stella jest w stanie zginać kolano, to w którym rozwinął się najgorszy stan zapalny. Przestał dopiero, kiedy rozplakała się z bólu. Johan miał ochotę spuścić mu lanie i kiedyś pewnie przekroczy tę granicę.

Mam już dość panowania nad sobą.

Otwiera Skype'a.

Jej konto.

Miała dziesięć kontaktów. Żaden z nich nie jest w tej chwili aktywny.

Wchodzi w ostatnie połączenie.

Mama.

Poprzednie dziesięć rozmów było z nią, ostatnia tydzień temu.

Zdjęcie starszej kobiety o azjatyckich rysach. Jej profil, Roberta García, Manila. Adres.

A więc możemy powiadomić jej matkę, zadać jej pytania, myśli Johan. Musimy się skontaktować z policją w Manili i mieć nadzieję, że będą skłonni pomóc.

Inne profile to imiona, tylko w jednym jest zdjęcie. Ciemnowłosa kobieta o wysokich

kościach policzkowych i wąskich oczach. Niejaka Rosita. Trochę podobna do Michelle. Może Skype mi pomoże zdobyć więcej informacji o profilach, ale nie wiadomo, czy w ogóle coś mają, a jeśli tak, to na pewno niechętnie to ujawnią.

Johan uważa, że to dobrze, że chroni się prywatność ludzi. Ale nie, gdy chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa.

Któż to może wiedzieć, co mieli z tym wspólnego? Jeśli to jakiś szaleniec, wkrótce może znów uderzyć.

Może Skype będzie mógł im podać adresy IP kryjące się za nazwami użytkowników. Ale to będzie długo trwało, może nawet kilka miesięcy i będą potrzebować decyzji prokuratora.

Przeszukuje resztę komputera.

Nie ma żadnych zachowanych zdjęć.

Program e-mailowy jest nieużywany, ale w przeglądarce znajduje konto gmail z zapisanym hasłem.

Wchodzi do skrzynki mailowej.

Wiadomości od kierowniczkii Ekoxen na temat godzin pracy. Najwyraźniej nic od rodziny. Nic godnego uwagi.

Anders Andersson siedzi przy swoim stole roboczym w dziale technicznym, właśnie udało mu się obejść kod do komórki Michelle. Lubi mieć porządek w sprzęcie, więc wszystko, od lutownicy, aż po jego własny zewnętrzny dysk ma stałe, dobrze przemyślane miejsce.

Po piętnastu latach pracy Anders wie, że w ten sposób jest skuteczniejszy. Zawsze stara się zachować neutralne nastawienie do przestępstw, z jakimi styka się w swojej pracy, ale czasem to bywa trudne. Tak jak teraz.

Mały chłopiec.

Kobieta.

Do diabła, gdzie muszą być jakieś granice.

Ostatnie połączenia Michelle Persson wyglądają na rozmowy z przyjaciółmi i kolegami z pracy. W esemesie do kontaktu zapisanego jako CHAI umawiają się na spotkanie w ogródku jednego z lokali na Stora Torget.

Dwa tygodnie temu. Nieznany numer. Może jakiś sprzedawca.

Wszystko wskazuje na to, że Michelle nie używała telefonu do rozmów z zagranicą.

W porównaniu z większością ludzi w ogóle niewiele go używała.

Tego dnia Malin, Zeke, Börje i Elin rozmawiają z wieloma osobami. Są wierni mantrze Svena Sjömana, według której należy wsłuchać się w głosy śledztwa. Wsłuchać się w to, czego ludzie nie mówią, równie uważnie jak w słowa, które wypowiadają. I w chór ludzkich istnień, jakim jest miasto.

Rozmawiają ze sprzątaczkami w pomalowanych na niebiesko korytarzach Ekoxen, wypytują przyjaciółkę Michelle w pomieszczeniu socjalnym na oddziale Szpitala Uniwersyteckiego. Słuchają pewnego żonatego mężczyzny w biurze na trzecim piętrze budynku Swedbank naprzeciw Åhléns. Ponoć kilka lat temu miał romans z Michelle.

– Niewiele mówiła o sobie. Była miła. Pracowałyśmy razem tamtego wieczoru, mniej więcej do północy, wysprzątałyśmy wszystkie pokoje przed dużą konferencją. Pożegnałyśmy się tu przed hotelem, a potem sobie poszła. Zawsze wracała do domu tą samą drogą, przez las. Lubiła to. Wiem o tym. Czy miała faceta? W każdym razie nic mi o

tym nie mówiła.

– Wydaje mi się, że tęskniła za matką, która została na Filipinach. Ale niewiele opowiadała o tym, jak tam wyglądało jej życie. Właściwie to nic. Zaraz się rozkaszę, to przez dymy z tego pieprzonego pożaru, którego nie potrafią ugasić. Nie czujecie tego?

– Nic nie wiem o jej byłym mężu. Albo nie, poczekajcie, mówiła, że on teraz mieszka gdzieś w Norrland i że to dobrze, że jest tak daleko stąd. Wydaje mi się, że tak mniej więcej kiedyś powiedziała, gdy wypiliśmy trochę wina. Lubiła pić wino. I ja też lubię. No wiecie, po...

– Lubiła tańczyć. Czasem wychodziłyśmy razem. Chyba spotkała kogoś, mniej więcej trzy lata temu.

– Zgadza się, miałem z nią krótki romans. Chętnie częściej bym się z nią spotykał. Wiem, czasem jestem świnią, ale staram się być wierny żonie najlepiej jak umiem. Co robiłem tamtego wieczoru? Byłem w podróży służbowej w Sztokholmie, łatwo możecie to sprawdzić. Czy kogoś poznała po mnie? Nie mam pojęcia.

Malin siedzi na miejscu pasażera. Jest głodna. Widzi miasto za szybą.

Dość monotonne życie, myśli. Życie Michelle takie było. Wydawała się odrobinę nieśmiała, jakby nie chciała, żeby świat za wiele o niej wiedział, albo jakby ona nie chciała za wiele dowiedzieć się o nim.

Burger King przy budynku Ikano jest otwarty mimo pożaru, choć dym i drażniący pył sprawiają, że powietrzem na parkingu nieprzyjemnie się oddycha.

Restauracja jest prawie pełna, powietrze w jej wnętrzu jest czyste.

Mieszkańcy Skäggetorp. Ciekawscy ludzie z równiny, którzy przyjechali popatrzeć na pożar i zgłodnieli.

Malin i Zeke przed chwilą przesłuchiwali w Burger Kingu jedną z przyjaciółek Michelle. Dwudziestopięcioletnią Filipinkę, która dopiero co odeszła od męża; byli małżeństwem przez dwa lata wymagane, by mogła dostać pozwolenie na pobyt stały.

– Był stary, łysy i wydawało mu się, że go kocham. Czy ludzka głupota ma granice? Odeszłam od niego po dwóch latach, co do dnia, i wreszcie skończyło się to piekło.

Beznadziejnie zakochani samotni mężczyźni. Kobiety, które dostają nowe życie, myśli Malin. Czy dla takiej możliwości warto się podkładać pod brzuch spoconego pięćdziesięciolatka wiedzą tylko same kobiety. I ta decyzja należy wyłącznie do nich. Ale jeśli mężczyźni je biją i wykorzystują, co czasem się zdarza, to chyba cena jest zbyt wysoka?

Przyjaciółka Michelle знаła nazwisko jej byłego męża. Niejaki Jimmy Persson, który „mieszka chyba teraz w Piteå, albo może to było Timrå”.

Malin od razu zadzwoniła do Johana. Poprosiła, żeby sprawdził, czy w którymś z tych miast mieszka pięćdziesięcioletni Jimmy Persson. Urząd skarbowy nie odpowiedział jeszcze na ich prośbę o wgląd w starsze dokumenty, nie znaleźli też żadnego świadectwa ślubu.

Malin i Zeke wychodzą z restauracji.

Na parkingu jest pełno samochodów. Dym gryzie w nos, ale według służb ratowniczych nie jest już niebezpieczny dla zdrowia. Malin spogląda w stronę Tornby, nabrzniata chmura dymu unosi się ku niebieskiemu niebu, jest czarnoszara, a u dołu widać pomarańczową poświatę płomieni.

Pożar jest już podobno opanowany. Nie będzie się rozprzestrzeniał, ale chemikalia muszą się wypalić do końca; ryzyko eksplozji jest oceniane jako minimalne, skoro do tej pory nie doszło do wybuchu.

Strażacy i wozy operują jakieś sto metrów za barierkami na gigantycznym parkingu przy Ikana.

Niedługo ten rozdział w historii miasta zostanie zamknięty, myśli Malin, a równocześnie jakiś helikopter, pewnie telewizyjny, podlatuje blisko do chmury dymu, żeby zrobić dobre zdjęcia.

I nagle powietrze rozszczepia się na dwoje. Wrażenie jest takie, jakby potężny rozbłysk prawie przebijał źrenice, fala uderzeniowa odrzuca Malin do tyłu, a dalej, przy budynku fabryki, wysoka na sto metrów kula ognia wystrzeliwuje w niebo i pochłania helikopter.

Strażnicy na parkingu przewracają się na ziemię, w samochodach włączają się alarmy,

świat zmienia się w jeden wielki chaos.

Dalej, przy salonie samochodowym, ogromne szyby pękają na tysiące kawałków, ich brzęk słychać aż w miejscu, gdzie stoją Malin i Zeke.

Ludzie wybiegają z restauracji.

Zdumione, przerażone spojrzenia.

Jednak wybuchło.

Przecież niebezpieczeństwo miało być zażegnane?

Strażacy wstają, otrzepują się, wsiadają do wozów i odjeżdżają w stronę płomieni.

– Niech mnie diabli – mówi Zeke, i Malin przez zatkane uszy ledwo go słyszy w tym hałasie.

Nagle z dymu i płomieni wynurza się helikopter, jego lot jest niepewny, próbuje utrzymać się w powietrzu, ale zaczyna obracać się wokół własnej osi. Spada bezradnie na dach Ica Maxi, ludzie w środku się poruszają, wiedzą, że teraz wszystko trafi szlag.

Następuje kolejna eksplozja, gdy helikopter uderza o dach marketu i przełamuje się na pół w ognistym inferno.

Ludzie krzyczą.

W Malin uderza fala gorąca, a obok niej jakaś mała dziewczynka zasłania uszy rączkami i woła:

– Mamo, mamo!

Malin chce ją przytulić i pocieszyć, ale zanim ma czas to zrobić, nadbiega matka dziewczynki i chwytą córkę w ramiona.

W powietrzu opadają czarne płatki. Chmura dymu zbliża się do parkingu, ludzie pośpiesznie się cofają, ale wtedy chmura traci impet, skręca w bok i pozostaje tylko gorąco bijące od marketu, który płonie po tym, jak uderzył w niego helikopter.

– Matko i córko – szepcze Malin, zastanawia się, skąd jej się wzięło to powiedzenie, i wtedy sobie przypomina, że jej matka tak mówiła. I Malin nienawidzi ognia, nienawidzi wybuchu, nienawidzi ich.

– Spróbujemy pomóc? – pyta Zeke.

– Tak. Może na coś się przydamy.

I wtedy widzi nagiego, poparzonego i osmalonego sadzą mężczyznę, który wydobywa się z piekła na parkingu przy Ikano. Idzie z rękami wyciągniętymi przed siebie, jakby poruszał się po omacku.

Na miejsce dotarła karetka. Podjeżdża do mężczyzny i zatrzymuje się przed nim. Wyskakują dwaj ratownicy i łapią mężczyznę w ramiona dokładnie w chwili, gdy zaczyna się osuwać na ziemię.

Malin i Zeke postanawiają zostać na parkingu. Próbują uspokajać ludzi, przekonują ich, żeby odjechali w jakieś bezpieczne miejsce.

Malin widzi, jak mama z córeczką wsiadają do czerwonego samochodu i odjeżdżają.

W końcu na parkingu przed Burger Kingiem robi się pusto.

– Jedźmy już – mówi Malin. – Jesteśmy potrzebni gdzie indziej.

Jadą pod górę w stronę w stronę ronda Berg i Malin odwraca się na przednim siedzeniu. Obłok dymu musi mieć w tej chwili co najmniej pięćset metrów wysokości; mijają radiowóz pędzący w stronę pożaru. Za kierownicą siedzi mundurowy, którego Malin nigdy dotąd nie widziała.

Dzwoni telefon.

Numer Johana.

– Znalazłem niejakiego Jimmy’ego Perssona w Piteå. To może być ten właściwy. Urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, rozwiedziony. Udało mi się zdobyć numer. Ten sam co nieznany numer, który Anders znalazł w jej komórce. Możesz zadzwonić i sprawdzić, czy to on.

– Dzięki – mówi Malin i kończy rozmowę. Minutę później, gdy przejeżdżają przez rondo Abisko i mijają mieszkanie Lindy Klasén, rozbrzmiewają kolejne sygnały, gdy Malin próbuje się połączyć z byłym mężem Michelle.

Malin wie, że mężczyzna widzi na wyświetlaczu nieznany numer i że niektórzy wtedy nie odbierają. To pewnie jakiś sprzedawca albo urząd, a taka rozmowa nie prowadzi do niczego dobrego. Więc jeśli Jimmy Persson ma coś do ukrycia, pewnie nie odbierze.

Jednak po pięciu sygnałach w słuchawce rozlega się zaspany głos z bardzo silny akcentem z Östergötland.

– Tu Jimmy.

Śpi po południu, myśli Malin i pozwala, by najwyraźniej dopiero co obudzony, być może skacowany mężczyzna trochę oprzytomniał, zanim mu się przedstawia i wyjaśnia, z czym dzwoni.

– Jimmy Persson? Były mąż Michelle Persson?

Milczenie.

Potem chrząknięcie.

– Widziałem w wiadomościach, co jej się stało. To straszne. Ale rozwiedliśmy się wiele lat temu i od dawna nie miałem z nią kontaktu. W sumie to od tamtego czasu.

Malin wsłuchuje się w jego głos, próbuje wychwycić oznaki kłamstwa, coś, co odbiega od normy, ale niczego takiego nie słyszy.

– Jak przebiegł rozwód?

– Rozstaliśmy się w przyjaźni – mówi Jimmy Persson. – Zatrzymała moje nazwisko, to chyba coś znaczy?

– Od jak dawna była w Szwecji w chwili rozwodu?

Znowu milczenie.

Jimmy Persson wydaje się zastanawiać i w tej ciszy Malin wyczuwa kłamstwa, kalkulację: co mogą sprawdzić, a czego nie?

– Dwa lata.

– Czyli odeszła, kiedy dostała pozwolenie na pobyt stały?

– Wcale nie o to chodziło.

– Czuł się pan wykorzystany? – pyta Malin i niemal czuje złość bijącą z telefonu.

– Nie.

– Ale zostawiła pana, kiedy tylko mogła?

Jimmy Persson nie odpowiada na pytanie.

– Czego ode mnie chcecie? – mówi. – Myślicie, że mam coś wspólnego z jej śmiercią? Nawet jeśli wtedy, prawie dziesięć lat temu, byłem zły i rozczarowany, to chyba zdążyłem już o tym zapomnieć, prawda?

Przejeżdżają obok starego cmentarza. Idealnie zadbane rabatki i rzędy nagrobków. W tym mieście zmarli mają lepiej niż niektórzy żywi, myśli Malin.

– Ma pan jakąś nową kobietę? – pyta.

– Dostyc już tych pytań. Ale nie, w tej chwili jestem sam.

– Zna pan niejaką Rositę?

– Znam takie wino.

– No dobrze – mówi Malin. – Gdzie pan przebywał w nocy z niedzieli na poniedziałek?

– Mieszkam w Piteå. Byłem tutaj.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Byłem sam w mieszkaniu i spałem. Możecie tu przyjechać i spytać pieprzone łóżko.

Johan Jakobsson odbiera rozmowę od Malin, gdy ma już wyjść z posterunku. Malin go prosi, by sprawdził, co policja z Piteå ma na Jimmy'ego Perssona. I żeby Johan też dokładniej mu się przyjrzał.

– Na pewno się coś na niego znajdzie, czuję to.

– Zajmę się tym – mówi Johan. Znow włącza komputer. Pisze e-mail do policji w Piteå. Zastanawia się, po jakim czasie przyjdzie odpowiedź, ale na pewno powinna być na jutro.

Potem dogrzebuje się do informacji o Perssonie. Trwa to jakąś godzinę i Johan czuje się zmęczony. Ale właściwie nie chce jechać do domu. Nie chce patrzeć, jak Stella cierpi.

Lukas. Jego dusza musiała cierpieć w każdej sekundzie.

Szlag by trafił ten świat za to, co robi swoim dzieciom.

Nagle coś mu przychodzi do głowy. Peggy Dunsell.

Czy jej syn nie zmarł na raka, gdy był mniej więcej w tym samym wieku co Lukas? Może warto to dokładniej sprawdzić, dwóch martwych chłopców, jedna kobieta, którą status społeczny wynosi ponad wszelkie podejrzenia. Może nie przez przypadek Lukasa znaleziono właśnie pod domem Peggy? Może to nie był zbieg okoliczności?

Naciągane.

Ale właściwie wcale jej nie sprawdzali. Co ma do stracenia, jeśli poświęci na to kilka minut? Ten pomysł przyszedł mu do głowy i ma ochotę za nim podążyć.

Johan wyszukuje w rejestrze jej nazwisko. Niczego nie znajduje. Szuka w Archiwum Cyfrowym. Znajduje artykuł.

Chłopiec ginie w niejasnych okolicznościach.

Artykuł z „Corren”, sprzed wielu lat. Z jakiegoś powodu zarówno Peggy Dunsell, jak i jej syn Victor zostali w nim wymienieni z nazwiska.

Utonięcie na szkieletach. W okolicy Källvik. W jednym z tych miejsc, gdzie wypoczywają ważniacy.

Victor Dunsell, który według matki umarł na raka, zginął, gdy się pośliznął na łodzi i uderzył w głowę. Na pokładzie był tylko on i jego matka.

Dlaczego Peggy Dunsell okłamała Malin i Zekego? Czy to znaczy, że ukrywa coś jeszcze?

Johan trze oczy.

W tej sprawie musiało zostać wszczęte śledztwo. Pewnie zajmowała się tym policja z Valdemarsvik. Będą to mieli w swoich archiwach. Do Valdemarsvik jest trochę ponad godzinę jazdy. Johan zerka na zegarek.

Mogę się tam teraz przejechać.

Stella.

Chce wracać do domu, ale zarazem wcale nie chce.

Tego wieczoru Malin biegnie wzdłuż brzegu Stångån. W gorącym powietrzu pot

spływa z niej jak wodospad. Biegnie tak szybko i tak długo, że niemal ciemnieje jej przed oczami i ma wrażenie, że jej serce za chwilę się podda. Mknie wzdłuż ciemnej wody, mija eleganckie wille i próbuje oczyścić umysł, głowę, odsunąć od siebie obraz poparzonego mężczyzny i helikoptera, myśli o tym, co się musiało stać z ludźmi, którzy w nim byli. Zamiast tego próbuje skupić się na śledztwie.

Ale jej myśli uciekają do Zekego.

Te wille. Wiedział, ile taka kosztuje. Nie może przyjąć tej pracy w Saabie. Nie wolno mu.

Zmusza się, żeby skupić się na sprawie. Tym razem jej się udaje.

Odezwał się Johan Jakobsson. Jimmy Persson nie figuruje w rejestrze karnym. Wyglądał na porządnego człowieka, operatora koparki z rocznym dochodem w wysokości trzysta dwadzieścia trzy tysiące koron. Ale wciąż czekają na odpowiedź z Piteå.

Pewnie samotny facet, który najlepiej czuje się w lesie.

Wysłali zapytanie do policji z Manili i niemal natychmiast otrzymali odpowiedź. Tamtejsza policja poinformuje matkę Michelle Persson, że jej córka została zamordowana w lesie w Linköpingu, na drugim końcu świata. Nakłonią ją, żeby przysłała na posterunek i zorganizują przesłuchanie przez Skype'a. Mają to zrobić jak najszybciej.

– *But our resources are limited.*

Przyśpiesz, Malin.

Czego nie dostrzegasz?

Czy coś mi umyka? Jakie błędy popełniliśmy i jak mamy pchnąć to dalej?

Serce bije. Żyję.

Szybciej.

Jedna stopa przed drugą.

Daniel przyrządził na kolację smaczny makaron z kurczakiem i popija do tego kieliszek czerwonego wina.

Zaczął za dużo pić?

Nie.

Ale powinien dbać o siebie.

Malin się nie odzywa. Wie, jak absurdalne są jej uczucia. Jakie są dziecinne, a ona jest za stara na to, żeby być dziecinna.

Podczas kolacji Daniel ją pyta, kiedy odwiedzi Stefana, a Malin mu odpowiada, że jakoś na jesień. Wstydzi się, że nie ma siły bardziej się tym przejmować. Tym, że matka zdradziła Stefana, a teraz ona robi to samo.

Daniel nalewa sobie drugi kieliszek wina.

– Oszczędzaj wątrobę – próbuje żartować Malin.

– Odczep się, Malin. To tylko kieliszek wina, dobrze mi robi.

Kiedy sprzątają ze stołu, Daniel mówi:

– Poprosiłem w redakcji, żebym nie musiał pisać o podwójnym morderstwie, nad którym teraz pracujesz. Nie chcę nawet redagować tekstów, które mają z tym jakiś związek.

– Dlaczego?

– Czuję, że to zbyt blisko. Nie daję rady.

Po tym, co się wydarzyło w Tjällmo, zaproponowano mu pomoc psychologa. Odmówił jednak, zachował się jak macho, a to dla niego dość nietypowe. Twierdził, że nie chce, żeby ktoś otwierał mu mózg, tak jak utworzono mu klatkę piersiową, że wszystko z

nim w porządku, mimo tego, co go spotkało.

Gdy Daniel stoi przy kuchennej wyspie, Malin podkrada się do niego od tyłu.

– Może jednak powinieneś się spotkać z psychologiem? Trochę z nim porozmawiać, bez żadnych uprzedzeń. Lepiej stłumić niepokój w ten sposób, niż pijąc.

Daniel odwraca się do niej.

– Pod jednym warunkiem – mówi. – Że ty też pójdziesz do psychologa. Za bardzo się o mnie martwisz. I wcale ci nie jest od tego lepiej. Mnie też nie. Nie wspominając nawet o nas.

Malin ma ochotę wyjść z pokoju, powiedzieć mu, żeby poszedł do diabła. Do psychologa? Ja? Dlatego, że czasem dzwonię do człowieka, z którym żyję?

Daniel na pewno widzi jej złość.

– To była tylko taka myśl – mówi. – Zastanów się nad tym. Ja w każdym razie jutro zadzwonię i się z nim umówię.

Johan Jakobsson spokojnie trzyma kierownicę, jadąc przez ciemne lasy Östergötland.

W Falerum w żadnym oknie nie pali się światło. Jakby nikt nie mieszkał w tej dziurze, gdzie żyją tylko łosie i trolle.

Kiedy zbliża się do Bałtyku, do wysepek i szkierów, wydaje mu się, że czuje w nozdrzach morską sól. Wie jednak, że to tylko złudzenie.

Jest jedenasta, gdy zajeżdża na posterunek policji w Valdemarsvik. Słyszy żwir chrzęszczący pod oponami samochodu.

W oknach nowo zbudowanego dwupiętrowego budynku pali się światło. W recepcji z lśniącej stali siedzi policjant w mundurze.

Johann wyjaśnia, z jaką sprawą przyjechał, bez problemu dostaje klucz do archiwum i wskazówki, że ma zjechać windą do piwnicy, a potem pójść pięćdziesiąt metrów w lewo. Znajduje się tam duża sala z półkami magazynowymi. Kartony oznaczone rocznikami i literami.

Znajduje właściwy rocznik. Trzy kartony na samej górze. Rozgląda się po sali za drabinką, znajduje ją przy regale z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym.

Zdejmuje trzy pudła i stawia je na podłodze. Grzebie w pierwszym i niczego nie znajduje, ale w drugim jest to, czego szukał.

Victor Dunszell.

Czarny tekst na jasnoniebieskiej teczce.

Zdjęcie roztrzaskanej czaszki.

Najwyraźniej Peggy Dunszell twierdziła, że jej syn się pośliznął i uderzył głową o reling. Śledczy prowadzący sprawę podejrzewał, że chłopca uderzono w głowę wiosłem, ale technikom nie udało się potwierdzić tej tezy. W związku z tym prokurator zamknął śledztwo.

Johan czyta materiały. Przesłuchania Peggy Dunszell.

Kobieta wydaje się zimna jak lód w obliczu śmierci syna.

Poczucie winy? Mechanizm obronny? Może jedno i drugie.

Bierze teczkę i wychodzi z archiwum. W recepcji pyta, czy może użyć kserokopiarki. Kseruje materiał. Pokaże go pozostałym. Właściwie ma ochotę od razu wybrać się do Peggy Dunszell, ale to by było lekkomyślne.

Bo co, jeśli naprawdę miałyby coś wspólnego z tym morderstwem? W takim wypadku lepiej zachować ostrożność.

Dziękuję mundurowemu i wychodzi z posterunku. Przystaje na wysypanym żwirem parkingu, próbuje poczuć w nozdrzach zapach morskiej soli, ale nic takiego tu nie ma, jedynie świeżość i samotność.

Jedzie do domu.

W Falerum wciąż jest ciemno i Johan wyobraża sobie, że jest ostatnim człowiekiem na świecie. Że szuka jakiejś przyszłości, sposobu na życie w świecie, na którym nikt już nie ocalał.

CZWARTEK, SZESNASTY WRZEŚNIA

Noc jest pełna snów. Malin śni o Tsingtsenie, proste czarno-białe obrazy, powolne ruchy. Dłoń Tove na włosach chłopca, jego wychudzona pierś, która unosi się i opada. Potem charakter snu się zmienia i przed Malin leży mózg chłopca, mieni się kolorami od błękitu do żółci, przez czerwień i pomarańcz, a potem zmienia się w czarną, zwartą masę, a szepczące głosy wspominają obcą kobietę, która czuła, jak ogień pożera jej duszę.

Börje Svärd przyciąga do siebie Kristinę. Czuje, jak napina mu się skóra na piersi, tam, gdzie gorący podmuch eksplozji najbardziej go poparzył.

Przez dwa tygodnie czuwała przy jego łóżku. Była w szpitalu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Słyszał jej głos, kiedy do niego mówiła, jakby dobiegał z drugiego świata albo drugiego brzegu, do którego ma się dostęp dopiero po śmierci.

Łóżko jest miękkie i ciepłe. Bezpieczne.

Umeblowanie w willi się nie zmieniło. Kristina nie chciała niczego zmieniać: „Anna miała lepszy gust niż ja”.

Tylko kilometr stąd spalono kobietę, zatłuczono na śmierć małego chłopca.

Porąbany świat, myśli Börje. Porąbany.

Elin Sand nie śpi. Siedzi w kuchni i wygląda przez okno na opustoszałą Vasavägen.

Myśli o swoim dzieciństwie.

O mamie, która samotnie walczyła. O tacie, który pił. Nigdy nie było go pod ręką.

Żadne dziecko nie powinno mieć tak jak Lukas. Ani musieć zadowalać się takimi ludźmi, jak ta opiekunka społeczna Siv Eriksson.

Elin pociera oczy.

Jeśli przez te wszystkie lata, gdy będę policjantką, uda mi się uratować choć jednego takiego Lukasa, to znaczy, że było warto.

Wstaje.

Chce wyjść pobiegać. Poczuc pot parujący z ciała. Ale wie, że powinna spać. Muszą złapać mordercę.

Karim Akbar czuje dotyk ciała swojego synka. Zapach jego włosów. Czysty i niewinny, tak jak potrafi być tylko zapach dziecka. To w nim budzi coś w rodzaju czystej miłości.

Vivianne wyjechała. Ma spędzić dwa dni w Sztokholmie. Karim myśli o tej spalonej kobiecie. Co by zrobił, gdyby coś takiego spotkało Vivianne?

Zemściłby się. Dokonałby zemsty, złamałby prawo.

Ciągle prawimy kazania, żeby nie brać sprawiedliwości we własne ręce. Że w nowoczesnym społeczeństwie nie ma miejsca dla samowolnej straży obywatelskiej.

Ale potem coś się staje zbyt osobiste. I wtedy ta moralność już nie obowiązuje.

Ostrożnie sięga po komórkę, która leży na stoliku przy łóżku. Chce zadzwonić do Vivianne. Zatrzymała się w hotelu Amaranten na Kungsholmen, niedaleko ratusza, i na

pewno teraz śpi.

Karim odkłada telefon. Układa się wygodniej na łóżku, a synek przez sen obejmuje go za szyję i mocno się przytula.

Stångån płynie cicho obok siedmiopiętrowego bloku mieszkalnego. W nocy wylęgają się tajemnice następnego dnia.

Göran Möller zasnął. Tak jak to często bywa, śni mu się sztuka. Obrazy przychodzą do niego jak niekończąca się rzeka. Jeden z nich jest zdjęciem, płonący mężczyzna spadający w powietrzu. Następny obraz przedstawia diabła, który rozchyła płaszczyk jak ekshibicjonista i pokazuje talię kart. Potem jakaś pastelowa abstrakcja, a po niej dziecko, które mierzy z pistoletu prosto w obiektyw.

Oczy pełne złości, goryczy.

Jakby chłopiec na zdjęciu chciał sam siebie zabić.

Choć to nieruchome ujęcie, ręce chłopca zdają się trząść ze złości. Spojrzenie staje się pełne nienawiści, coraz bardziej wściekłe.

Jakby jedyną rzeczą, która powstrzymuje chłopca przed naciśnięciem spustu było to, że w magazynku pistoletu mieści się tylko sześć naboji, a to o wiele za mało, by nagiąć świat do swojej woli.

Johan Jakobsson wstał i teraz czeka, aż świt jeszcze bardziej rozjaśni niebo, pokaże, że następny dzień jest możliwy.

Czuje się zmęczony po wczorajszej wycieczce.

Ale zadowolony.

Znalazł coś.

Wygląda do ogrodu. Świeżo posadzone wierzby stoją na bacność, doskonale czarne sylwetki, niemal jak rzeźby odlane z jakiegoś drogocennego stopu.

Grill na tarasie.

Ostatnio rzadko go używa. Nie ma siły, nie chce patrzeć, jak Stella cierpi, gdy ze względu na niego siedzi przy stole, choć najchętniej poszłaby się położyć.

Zamordowany chłopiec.

Musimy znaleźć jego mordercę, jesteśmy mu to winni. Ja jestem mu to winny.

Johan widzi pliszkę, która przysiadła na balustradzie tarasu. Dziobie drewno i Johan się zastanawia, co ptaszek chce tam znaleźć.

Ale może widzi coś, czego ja nie widzę, słyszy coś, czego ja nie słyszę.

Palilam się, teraz to wiem, ale tutaj jestem cała. Słyszę głos mojego brata, opowiada mi o śmierci, która przyszła na pustyni.

Mówi:

Zabili nas od tyłu, tak jak ciebie. I wielu innych. Te tchórzliwe skurwysyny nie miały nawet odwagi spojrzeć nam w oczy.

Nie zrobiliśmy nic złego.

Ale nie ma sensu narzekać ani tego kwestionować. Wszystko popychają do przodu siły o wiele potężniejsze niż my, niż którykolwiek żyjący człowiek, kierujące żądzami, nad którymi nie można zapanować.

Wciąż popełniane są błędy. Reguły to reguły i wszyscy rozkładają ręce, mówią: To nie nasz problem. Nie możemy nic zrobić. To za dużo kosztuje.

Myślę: Powinniście byli wcześniej się nad tym zastanowić.

Tak mówisz, a ja poznaję twój głos. Nie chcę go słyszeć, bo to znaczy, że jesteś tutaj.

To ja, siostró.

Nie chciałem cię tu znaleźć, podobnie jak ty nie chciałaś tu znaleźć mnie.

Ale teraz tu jesteśmy.

I wreszcie możemy być razem.

Tuż pod łukowymi oknami w dachu fruują gołębie. Rosita Sánchez leży na twardej drewnianej ławce na dworcu Kopenhaga Centralna od strony Vesterbro, tam, gdzie policja zostawia alkoholików i ćpunów w spokoju, póki nie zaczynają hałasować albo robić awantur.

Przyjechała tu wczoraj wieczorem. Najpierw jechała z Hamburga do Lubeki, potem z Lubeki do Kopenhagi, była na miejscu o drugiej w nocy i znalazła tę ławkę. Hotele ani schroniska nie wchodzi w rachubę. Musi oszczędzać pieniądze na inne rzeczy.

Istnieje pewna granica, myśli, i w tej samej chwili jej lekki sen przechodzi w całkowitą czujność.

Ta granica została przekroczona.

Żałoba nie ma sensu, teraz pozostaje tylko działanie. A rodzinie w willi na północnym brzegu Łaby będzie jej brakowało jedynie jako żywej maszyny.

Przyszedł drugi e-mail. W poczekalni mogła spędzić za darmo trzydzieści minut przy komputerze.

Kto przysłał ten e-mail? Ten sam mężczyzna, który przysłał pierwszy.

Czy to ważne, kim jest?

Napisał:

Poznałem twojego brata Alberta w Dosze, gdzie razem budowaliśmy stadion piłkarski. Oto co mu się stało...

Rosita nie chce myśleć o dalszej treści e-maila. Patrzy przez okno w dachu, wysoko nad jej głową.

Niebo jest tak błękitne, że aż białe, a cegły w kolorze rdzy otaczające okno przywodzą jej na myśl dom babci na wyspie Luzon. Ten, który zniszczył orkan. Gлина, z której zbudowany był dom, miała taką samą barwę.

Ktoś puka ją w ramię. Pewnie policjant, który ją poprosi, żeby stąd odeszła. Rosita siada, sprawdza, czy walizka wciąż przy niej stoi; zanim zasnęła, przywiązała ją sobie do ręki długim paskiem.

– *Kaffe?*

To jakiś młody mężczyzna w takim stroju, jaki zwykle nosi personel małych sklepików spożywczych.

Czego ode mnie chce?

– *Un café?*

Uśmiecha się do niej życzliwie, podsuwa jej parujący papierowy kubek z kawą zabieloną mlekiem. Mówi po angielsku.

– Zobaczyłem, że się pani budzi. Pomyślałem, że przyda się pani kawa.

Zanim Rosita Sánchez ma czas mu odpowiedzieć, mężczyzna stawia kubek na podłodze obok niej i odchodzi w stronę sklepiku, w którym pracuje.

E-mail.

Rosita się pochyła i sięga po kawę.

Wie, że to prawda, że jej bratu przytrafiło się to, co napisał ten mężczyzna. Wywieźli go na pustynię i tam zabili.

Potem spalili moją siostrę.

Bo chyba tak było?

Dlaczego?

To nieważne. Bo już się stało. Mogła w prosty sposób sprawdzić tę historię, wpisując do wyszukiwarki nazwę miasta, gdzie mieszkała Michelle i szwedzkie słowo na „spalona”. Wtedy pojawiły się artykuły. Michelle znaleziono spaloną.

Powinnyśmy były częściej się kontaktować. Ale prawie nigdy nic z tego nie wychodziło. Co można powiedzieć o takim życiu jak nasze?

Kochana Michelle.

Kochana mała Michelle.

Odległość, poczucie niemożności, twarz na monitorze, głos przez telefon. W końcu to się staje bez sensu i bardziej boli niż cieszy, a wtedy lepsze są milczenie i samotność.

I wtedy człowiek nie chce słyszeć głosu.

Pragnie tylko ciszy i żyje dalej. Życie jest, jakie jest, i nic się nie zmienia.

Dlaczego? Na to muszą odpowiedzieć inni.

Ale Rosita się domyśla, jak to się stało, że jej brat został zabity. Nigdy nie potrafił siedzieć cicho, musiał się stawiać władzom, a Doha to niewłaściwe miejsce, żeby robić coś takiego, zwłaszcza dla takich jak my.

Kawa jest mocna i dobra, Rosita czuje głód. Ma w plecaku kilka ciasteczek, które kupiła w pociągu po strasznie wygórowanej cenie, ale trzyma je na później.

To dziwne nazwisko na końcu e-maila. Skandynawskie nazwisko i adres w pobliżu miasta, w którym mieszkała Michelle. Gdzieś nad jeziorem, które nazywa się Roxen.

Nie chcę dzwonić do mamy i jej o tym mówić. Nie mogę. Nie daję już rady słuchać jej marudzenia o więcej pieniędzy. I za to właśnie nienawidzę bogatych, bo życie biednych jest zredukowane do pieniędzy, tylko i wyłącznie do pieniędzy. Jeśli w ogóle ich nie masz, wszystko kręci się wokół nich, jeśli je masz, znaczą wszystko i nic.

Michelle.

Wbiegłaś w uliczkę. Szczury obgryzały ci pięty, ale mimo to wciąż byłaś piękna. Nic nie mogło tego zmienić: ani brud, ani bieda, ani plamy na ubraniu.

Zawsze będę cię pamiętać jako małą dziewczynkę.

Nie jako pochodnię płonąca w ciemności.

A teraz pozostaje mi tylko zemsta.

Zemszczę się, nawet jeśli to ma być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

To jedyne prawo, którego nikt nie może mi odebrać.

Chmura dymu zmniejszyła się w ciągu nocy, jest teraz węższa, nie sięga tak wysoko. Po drugiej stronie jeziora Roxen wciąż trwa pożar, ale wiatr wieje z innego kierunku, więc Fredrik Sörblom nie czuje zapachu dymu, gdy wychodzi z przyczepy kempingowej ustawionej na działce pięćdziesiąt metrów od brzegu jeziora.

Za nim las jest nieruchomy. Zieleń powoli ustępuje jesiennym barwom, choć temperatura daje przyrodzie znak, że wciąż jest lato. Pięćdziesięciolatek przeciąga się, myśli, że jak na swój wiek wciąż jest w dobrej formie, a w jego jasnej czuprynie nie da się znaleźć ani jednego siwego włosa.

No cóż.

Może kilka.

Kupił tę działkę w 2007 roku, kiedy było tu najdrożej, ale się nie wahał. Bo w przeciwnym razie kto miałby najlepiej umiejscowioną działkę nad Roxen? Do tego czasu robił co mógł, żeby wyrwać się z Linköpingu. Latem chciał tutaj wracać z uczuciem, że postąpił słusznie, że coś osiągnął. Choć nie pozostał mu w mieście ani jeden krewny.

Teraz trzeba skończyć dom, jak najszybciej go sprzedać i zniknąć stąd na zawsze.

Grunt pali mu się pod stopami.

Nepalczyzy dalej objają się w szopie. Cieszyli się, że wyrwali się ze skwaru w Dosze, ale teraz nie chcą pracować, bo im nie płaci.

Fredrik Sörblom uważa, że dobrze pracują. Szanuje ich jako rzemieślników. To dobrzy cieśle, hydraulicy, murarze, malarze, idealnie nadają się do pracy w jego willi o powierzchni czterystu metrów kwadratowych.

A jaka jest prawda?

Nie ma pieniędzy, żeby im zapłacić. Ostatnie grosze wydał na ich bilety i mnóstwo materiałów.

Ale te górskie czarnuchy o tym nie wiedzą.

Kiedyś szanował Nepalczyków jako ludzi, ale stracił ten szacunek. Gdzieś po drodze stali się dla niego uciążliwym towarem, ale tak to już pewnie w życiu bywa, myśli.

Właściwie zmieniło się to w 2008.

To było, zanim odeszła Tina. Spakowała walizki i pewnego dnia, kiedy wrócił do mieszkania w Dosze po wyjeździe do Katmandu, już jej nie było. Zostało zadłużenie na karcie kredytowej na jego nazwisko, o którym nie miał pojęcia.

Wiele milionów, a teraz Tina jest w Meksyku z innym facetem i nie można jej nic zrobić.

Szaleństwo Chińczyków.

Wszystkich tych, którzy próbują oszukać jego i Nilsa w Katmandu, Manili, Karaczi.

I niebotyczna cena, jaką musieli zapłacić, żeby wykupić sponsora. Zmusił ich, żeby zadłużyli wszystko, absolutnie wszystko.

I te pustynne czarnuchy. Nierzetelne sukinsyny, które w każdej chwili mogą zmienić prawo tak, żeby im to pasowało.

Ale Chińczycy są najgorsi. Zdolni do wszystkiego.

Fredrik Sörblom rusza przez działkę w stronę szopy, w której mieszka jego czterech Nepalczyków. Przypomina sobie, czego zapomniał. Odwraca się i znów wchodzi do przyczepy. Tam, na zawalonym naczyniami blacie przy zlewie leży jego śrutówka. Dobrze będzie mieć ją przy sobie, jeśli mimo wszystko coś im strzeli do głowy.

Zatrzymuje się w pół ruchu.

Przez okno widzi kruka skaczącego po ziemi.

Lśniaca czerń. Cisza.

Fredrik Sörblom pragnie złapać tego ptaka. Przytulić go ostrożnie. Szeptać o wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich dniach. Mówić, póki nie poczuje się czysty, ale wie, że to niemożliwe.

Sięga więc po broń i szykuje się, by im pokazać, kto tu rządzi.

Czterej mężczyźni siedzą przy stoliku w szopie bez okien. Są zmęczeni, bolą ich mięśnie. Tutaj też bywa gorąco, ale to w żadnym wypadku nie może się równać z upałem na pustyni, i mogą spać w porządnym łóżkach, materace są wygodne, choć nie ma pościeli.

Piją herbatę, jedzą herbatniki, rozmawiają. Zwracają się do siebie po imieniu. Ten Szwed się nawet nie pofatygował, żeby nauczyć się ich imion. Często ich ze sobą myli. Używa innych imion niż ich własne.

Suthep Khanal.

Bishal Gurung.

Manish Dahal.

Nabin Rasali.

Obiecał im wyższe wynagrodzenie, jeśli pojadą do Szwecji i wybudują mu dom, ale w ogóle im nie płaci, a rodziny, które zostały w kraju, muszą dostać przelewy, bo inaczej wkrótce nie starczy im na jedzenie.

Miał lepszą opinię niż inni pośrednicy, ale to oczywiście niewiele mówi.

– Zmusimy go – proponuje Bishal i upija duży łyk gorącej herbaty. – Zagrozimy, że się stąd zwiniemy, jeśli nam nie zapłaci. Że spalimy mu dom.

– A gdzie byśmy się mieli podziać? – mówi Manish. – Spokojnie, zapłaci nam.

– Nigdy nam nie zapłaci. Spuścimy mu lanie. Jest nas czterech na jednego.

– Wiecie równie dobrze jak ja, że jeśli spróbujemy, to się odbije na naszych rodzinach w kraju.

Mężczyźni milkną. Wiedzą, że Suthep ma rację.

– Nie. Przyciśnijmy go – upiera się Bishal.

Suthep spogląda na przyjaciela.

Jest zbyt wojowniczy, skłonny do przemocy.

Chyba wychodził nocą kilka dni temu? A może to był tylko sen, że Bishal wyszedł z szopy i zniknął w mroku jak cień. Suthep nie chce go o to pytać, nie ma odwagi.

Manish i Nabin milczą, chcą uniknąć kłótni, chcą tylko, żeby ten Szwed im zapłacił za pracę, tak jak obiecał. Ale jak go do tego zmusić? Schował gdzieś ich paszporty i bez niego nie stać ich na bilety lotnicze do domu. Przylecieli tu z biletami w jedną stronę.

– Powinniśmy byli zostać w Dosze – mówi Nabin.

– Jeśli dostaniemy pieniądze, to tu jest lepiej – mówi Manish.

– POKAŻEMY MU! – krzyczy Bishal i cały trzęsie się ze złości. Wstaje, bierze roboczy pas z wielkim młotkiem i rusza do drzwi.

Zanim dotyka klamki, drzwi się otwierają. Widzi uśmiechniętą twarz. I śrutówkę wycelowaną w swój brzuch.

– Znam wasz język – mówi spokojnie Fredrik Sörblom. – Nigdy o tym nie zapominajcie. Słyszałem, co mówiłeś, Bishal.

Wyprowadził ich wszystkich na działkę, kazał im się ustawić przed niedokończoną budową i widzi strach w ich oczach. Wiedzą, co może spotkać wichrzycieli w Dosze, w Arabii Saudyjskiej czy w Dubaju.

No man, no problem.

W tym akurat towarzysz Stalin miał rację.

– Zapłacę wam – mówi Fredrik – ale najpierw musicie skończyć dach. Może już nie pamiętacie, ale mówiłem wam to już w Dosze. Dostaniecie pierwszą wypłatę, kiedy dach będzie gotowy.

– Budowaliśmy przecież inne rzeczy.

Fredrik Sörblom przekrzywia głowę. Odpowiada na zarzut Suthepa, odwołując kurek. Uśmiecha się.

– A teraz do roboty. I nie zapominajcie, że to ja mam te pieniądze, których tak bardzo chcecie. Nie trzymam ich tutaj, więc jeśli strzeli wam coś do głowy, nigdy ich nie zobaczycie.

– Ale my przecież...

Huk jest ogłuszający i przez chwilę Suthep myśli, że został postrzelony, ale wtedy widzi dziurę dwa metry przed sobą, śrut poszarpał trawę, ziemia zdaje się krwawić, tak jak on by krwawił, gdyby został trafiony.

Bishal ma zawziętą minę, zaciska pięści. Ale nawet nie drgnie.

– Teraz będziecie budować dom. Do roboty.

Szwed gwałtownie unosi broń i czterej mężczyźni się odwracają, człapią w stronę budowy. Po chwili nad wielką działką na północnym brzegu Roxen niesie się stukot młotków.

Fredrik Sörblom wraca do przyczepy. Odkłada śrutówkę obok zlewu.

Trzęsą mu się ręce, gdy opada na sofę, jest zlany potem i ogarniają go mdłości, musi bieć do niewielkiej toalety i tam zwraca całe śniadanie.

Rozgląda się po przyczepie.

Zastanawia się.

Jak, u diabła, tu trafiłem?

Przez okna przyczepy widzi, że pracują. Nie lubi siebie za to, że nazywa ich górskimi czarnuchami. Kiedy zaczął to robić? I dlaczego? Jak to się dzieje, że pogląd się zmienia, że z jasnego staje się mroczny?

Podchwycił to określenie od amerykańskich żołnierzy, których spotkał w Bangkoku. Służyli w Iraku i byli na urlopie. Nazywali Arabów pustynnymi czarnuchami. A Tajów ryżowymi czarnuchami. Potem sam zaczął myśleć o Nepalczykach jak o górskich czarnuchach. To samo zło konieczne.

Bishal. Tak ma na imię ten, który sprawia najwięcej kłopotów. Fredrikowi wydawało się, że czasem Bishal zapuszcza się nocą do lasu, ale po co miałby to robić?

Z komputera stojącego w głębi przyczepy rozlega się sygnał.

E-mail od podwykonawcy z Katmandu, który pyta, czy Fredrik wciąż jest *in business*, a jeśli tak, to czy mógłby rozlokować *some new meat*.

Potem przychodzi drugi e-mail. Od Nilsa.

Czego on chce?

Fredrik Sörblom nie ma siły czytać e-maila, wyłącza komputer i wychodzi z przyczepy. Tym razem nie bierze broni. Dał im już nauzkę, zrozumieli, co im powiedział o pieniądzach, i mają do tego szacunek.

Zamyka oczy. Widzi swoją mamę w mieszkaniu na Gottfridsberg. Małe, dwupokojowe mieszkanie, gdzie dostał własny pokój, a ona spała na sofie w dużym pokoju. Myśli o tym, że pragnął się stamtąd wyrwać, że widział to również u Nilsa. Może właśnie to uczyniło z nich przyjaciół, towarzyszy.

Mama.

O wiele za szybko odeszła. Zdążył ją zabrać do Dohy. Pokazać jej dom. Nie ma nawet siły wyobrazić sobie, co by pomyślała, gdyby go teraz widziała.

Ale ona mnie już nie widzi, myśli. Co właściwie wiedziała o tym, jak działa wielki świat? Co trzeba robić, żeby w nim przetrwać?

Idzie przez działkę. Chmura dymu na drugim brzegu jeziora znów zmieniła kształt, rozrosła się wszcz i zdaje się niemal zasłaniać Sättunę, te kilka domów na krzyż pięć kilometrów stąd; blask słońca sprawia, że wydaje się jaśniejsza.

Wygląda zupełnie jak obcięty szczyt góry, myśli Fredrik Sörblom.

Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz się wspinałem?

Wiele lat. Brakuje mu oniemiałych z wysiłku mięśni, wyraźnej linii horyzontu, tego uczucia, że znajduje się na skraju atmosfery, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby sięgnąć w kosmos. Tęskni za tym, żeby piąć się w górę krok po kroku, razem z najlepszym przyjacielem, i czuć, że tutaj jest tylko piękno i dzikość, której nigdy nie uda nam się ujarzmić, skorumpować ani sprzedać.

Suthep Khanal mocno wali młotkiem.

Trzema uderzeniami wbija gwoździe w płyty tworzące ścianę przyszłej kuchni.

Uderza coraz mocniej, coraz szybciej. Czuje pot na czole i na plecach. Ścisną rękę. Zwykle zostawia młotek na noc na budowie. Nie chce, żeby był za blisko, gdyby Bishal się obudził i wpadł na jakiś głupi pomysł.

Jest zbyt agresywny.

Kto może wiedzieć, do czego jest zdolny Mister Fredrik?

Może użyć tej śrutówki.

Dzień po tym, jak tu przyjechaliśmy, zabrał nam komórki, więc nie mamy z nikim kontaktu. Ale przedtem zdążyłem zobaczyć adres na liście przewozowym i wysłałem go do przyjaciela.

Ból w nadgarstku.

Dudnienie w uszach.

Ale pracuję. Co innego mam robić? – myśli Suthep. Odgłosy i siła uderzeń sprawiają, że mam pustkę w głowie. Odpędzają myśli o Heenie i Purze.

Suthep nie chce myśleć o synku, którego on i Heena zostawili w Katmandu. Chłopiec miał wtedy siedem miesięcy, dopiero co przyjechali do miasta i chcieli ruszać dalej.

Do pracy.

Po pieniądze.

Heena.

Słyszał, że ostatnio była w Hongkongu.

Zostawili chłopca rano, gdy nikt nie widział. Włożyli Purę do małej torby i podzucili pod drzwi domu dziecka. Suthep wie, że teraz spotyka go za to kara.

Ale nie mieliśmy się gdzie podziąć. Nie mieliśmy nic. Ani dla nas, ani dla ciebie.

Pura.

Nie chcę pamiętać twojego imienia.

Ale jeśli dostanę pieniądze, pojedę po ciebie. Pojadę po twoją mamę.

Będę twoim tatą.

Obiecuję.

Zegar widoczny w górnym rogu ekranu wskazuje kwadrans po czternastej.

Malin mruży oczy, by ostrzej widzieć obraz.

Komisarz w okienku Skype'a wygląda na zaspanego. Ciemne oczy są mocno podkrążone. Transmisja się rwie, grzecznościowe formułki docierają do Malin powoli i nie są zsynchronizowane z obrazem.

Marlon Rodriguez ma na sobie szary mundur ze złotymi naramiennikami, na piersi widać kilka rzędów odznaczeń w różnych kolorach. Malin się domyśla, że mężczyzna ma około pięćdziesięciu pięciu lat; z tego, co widać, jest dość niski, ale szczupły i wysportowany. Czarne włosy uczesane są z przedziałkiem na boku.

W tle Malin dostrzega plan Manili.

Rozmawiają po angielsku i komisarz Rodriguez spuszcza lekko głowę, gdy mówi: – Dziś rano poinformowaliśmy señorę Garcíę o śmierci córki. Oczywiście chce sprowadzić tutaj ciało. Ale Michelle Persson była szwedzką obywatelką, więc pewnie to będzie niewykonalne.

Malin kiwa głową.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Zegar systemowy wskazuje kwadrans po ósmej i Malin jako jedyna z wydziału zabójstw jest już w pracy. Ale gdy Manila już się odezwała – szybciej niż się spodziewali – trzeba było zerwać się z łóżka i tu przyjechać.

– To dobrze.

– Przesłuchaliście ją? Możecie ją sprowadzić na posterunek, żebym ja też mogła to zrobić?

Marlon Rodriguez kiwa głową, uśmiecha się. To uśmiech człowieka, który sądzi, że widział już wszystko.

– Nie chciała przyjść. Absolutnie nie. Ale zadałem jej pytania, które nam przekazaliście. – Unosi brwi. – Matka Michelle, señora Garcíá, była oczywiście skonsternowana, gdy dowiedziała się o śmierci córki. Wyglądało jednak na to, że największym jej problemem było to, że nie dostanie kolejnych przelewów z Western Union.

– Czyli Michelle wysyłała jej pieniądze?

– Co miesiąc, ale poza tym señora Garcíá wydawała się niezbyt zainteresowana córką, najwyraźniej poczuła się zawiedziona, kiedy Michelle wyszła za Szweda.

– Nie utrzymywały ze sobą kontaktu?

– Odniosłem wrażenie, że w bardzo niewielkim stopniu.

– Wcale jej nie opłakiwała?

– Tego nie chcę powiedzieć. Osobiście byłem u niej w domu i kiedy wychodziliśmy powiedziała: „Nie mam czasu na żałobę. Na to stać tylko bogaczy”.

Rozlega się pukanie do drzwi, gdzieś spoza kadru dobiegają słowa w obcym języku – Rodriguez przeprosza i wstaje. Znika na ponad dwadzieścia minut i w tym czasie na posterunek przychodzą Johan i Zeke.

Zwłaszcza Johan wydaje się podekscytowany. Jakby czekał na jakieś ważne informacje.

Czekając, aż filipiński komisarz wróci, Malin przygląda się planowi Manili. Mieszka tam ponoć dwanaście milionów ludzi, w slumsach i w fantastycznych luksusach; to jedno z miast z najwyższym wskaźnikiem przestępczości na świecie – w niektórych jego dzielnicach średnia długość życia mężczyzn jest mniejsza niż czterdzieści lat.

Niesamowicie ciężko.

Bezwzględnie.

Ale tam też istnieje miłość, tyle Malin rozumie i zastanawia się, czy Marlon Rodriguez ma wnuki. Dzieci na pewno ma kilkoro.

Komisarz wraca. Przeprasza, ale nie wyjaśnia, z czego wynikła przerwa.

– Na czym stanęliśmy?

Wydaje się trochę bardziej ożywiony, połączenie na Skypie też się poprawiło. Obraz jest wyraźny i przestał się zacinać.

– Mama Michelle powiedziała, że tylko bogaczy stać na żałobę.

– To prawda, nie sądzi pani?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Malin.

Komisarz się śmieje.

– Pewnie nie.

Malin odpowiada mu uśmiechem.

– Señora García skarżyła się też, że nie przyszedł przelew z Dohy od jej syna. Twierdziła, że zawsze robił to punktualnie. Córka z Hamburga przysłała jej jednak pieniądze tak jak zwykle.

– Wie pan coś więcej o tej siostrze?

– Niestety nie.

– Nie wie, kto mógł chcieć skrzywdzić jej córkę?

– Nie.

– A ten Szwed, jej były mąż?

– Nie wspominała o nim w takim kontekście.

– Ktoś inny w życiu Michelle Persson?

– Nic nie wiedziała o prywatnym życiu córki. W ich kontaktach chodziło wyłącznie o pieniądze.

Marlon Rodriguez odchrząkuje i upija łyk ze szklanki. Napój wygląda na whisky.

– Nie za bardzo chciała z nami rozmawiać – mówi. – Ale tutaj większość ludzi taka jest. Unikają policji jak tylko mogą.

– Mogę pana pocieszyć, że w moim kraju jest podobnie.

– Nie jest, zapewniam panią.

Malin znów się uśmiecha; kątem oka widzi Elin, która wchodzi na posterunek z dużym papierowym kubkiem w ręce.

– Tu, w Szwecji, żyjemy w najlepszym ze światów.

– A mimo to ktoś podpala u was kobietę. I to w dodatku kobietę stąd. Co z tym zrobimy?

– Znajdziemy tego, kto to zrobił.

– Jestem do pani dyspozycji, inspektor Fors. O każdej porze.

Potem Marlon Rodriguez sięga w stronę ekranu i znika.

– Skończyłaś?! – woła Johan ze swojego miejsca, po jego głosie słysząc, że ma jakąś pilną sprawę.

– Tak.

– To chodź tutaj.

Johan się uśmiecha, gdy Malin do niego podchodzi; ten uśmiech zwykle oznacza coś dobrego. Ostatnio nie za często gości na jego twarzy, jakby Johan próbował wziąć na siebie ból córki, chociaż zdaje sobie sprawę, że to z gruntu niemożliwe. W bólu wszyscy ludzie są samotni i ból zawsze jest nowy.

– Poprosiłem kolegów z Piteå, żeby sprawdzili byłego męża Michelle, tak jak chciałaś – mówi. – I wiesz co?

– Nie, co takiego?

Malin się nie irytuje, chce dać Johanowi tę chwilę triumfu, pozwala mu bawić się w tę gierkę, choć to, co robią, nie jest dziecięcą igraszka.

– Ponoć Jimmy Persson pobił swoją byłą partnerkę. Niejaką Pię Skave. Chciała wycofać zgłoszenie, ale oczywiście było w ich kartotece.

Malin widzi po minie Johana, że to nie wszystko.

– Masz coś jeszcze?

– Tak, to co najlepsze. A właściwie najgorsze... Dwa lata temu Michelle zgłosiła Jimmy'ego za stalking, zwróciła się z tym do policji w Umeå, bo tam wtedy mieszkał. Ponoć wydzwaniał do niej po nocach i sapał, no wiesz...

Malin czuje, że teraz śledztwo się przed nimi otwiera.

– Prokurator coś z tym zrobił?

– Według kolegi z Umeå przeprowadzili nawet niewielkie śledztwo, ale Jimmy Persson kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył. Mieli tylko billingi, a to przecież samo w sobie niczego nie dowodzi. Nawet jeśli dzwonił do niej po nocach.

A ona była tylko imigrantką, którą nie warto się było przejmować, myśli Malin.

– Muszę jeszcze raz zadzwonić do Jimmy'ego Perssona – mówi. – Pora postawić sukinsyna pod ścianą.

– Poprosiłem znajomego z Telenoru, żeby sprawdził jego komórkę. Może wcale nie był w Piteå, tak jak twierdzi? Jeśli miał włączoną lokalizację urzędnika, pewnie uda nam się dowiedzieć, gdzie przebywał tej nocy, kiedy popełniono morderstwa.

– Chcesz powiedzieć, że mógł być tutaj?

– Mógł przecież dalej prześladować Michelle, a ona tego nie zgłosiła. Jej pierwsze zgłoszenie zostało ewidentnie zignorowane, więc po co miałyby robić to jeszcze raz?

– Możesz zdobyć billingi?

– Według mojego znajomego to może trochę potrwać. Sprawa jest bardzo poufna, właściwie to takie rzeczy wymagają formalnej decyzji prokuratora, ale w tej chwili nie mamy na to czasu. Chcę zobaczyć mordercę Lukasa i Michelle za kratkami.

Johan Jakobsson nigdy się tak ostro nie wypowiadał i może coś w nim naprawdę pękło, jego pozytywne nastawienie do życia zastąpił cynizm godny Malin.

– Göran o tym wie?

Johan kiwa głową.

– Uznał, że to dobry pomysł.

Malin się uśmiecha, cieszy się, że mają szefa, który nie boi się dostosowywać metod do okoliczności.

Odwraca się, żeby odejść.

– Znalazłem coś jeszcze – mówi Johan.

I opowiada o Peggy Dunsell. O wycieczce do Valdemarsvik. O jej synku, który wcale nie zmarł na raka, tylko zginął w niejasnych okolicznościach. Wskutek uderzenia w tył głowy. Tak jak Lukas.

Gdy Johan o tym opowiada, Malin czuje, że dostaje gęziej skórki.

– Musimy ją przesłuchać – stwierdza. – Nie miała przecież żadnego alibi.

Johan kiwa głową.

– I dlaczego was okłamała?

– Pewnie nie chciała, żebyśmy zaczęli w tym grzebać – mówi Malin.

– To też omówiłem z Göranem. Spróbujemy się z nią skontaktować w ciągu dnia. Bądź co bądź od śmierci jej syna upłynęło dużo czasu, a kiedy chodzi o dzieci, każdemu potrafi odbić.

Malin kiwa głową.

– Ale jaki to może mieć związek z Michelle? Dlaczego Peggy Dunsell miałyby ją zamordować?

Johan nie odpowiada. Najwyraźniej nie ma pojęcia.

– Spróbuj znaleźć jakiś związek między nimi – mówi Malin. – Ja się zajmę Jimmym Perssonem.

Göran Möller stoi przy oknie w swoim pokoju i wygląda na parking przy szpitalu, na podniszczoną elewację budynku. Ma dość tego widoku, każdy widok się w końcu nudzi, i ma też dość ducha Svena Sjömana, który nie chce opuścić tego pokoju. Często, gdy spotyka się tutaj z kimś ze starej ekipy, odnosi wrażenie, jakby rozmawiali ze Svenem, a nie z nim, jakby tak naprawdę nie słuchali, tylko próbowali sobie wyobrazić, co by powiedział Sven.

Postanowił, że zmieni pokój. Przeniesie się piętro niżej i przerobi małą salę konferencyjną na swój gabinet. Każe wstawić szklaną ścianę od strony otwartego pomieszczenia biurowego, żeby być bliżej ich codziennej pracy.

W szpitalnych salach ludzie z dalekich krajów wykonują najcięższą codzienną robotę, myśli Göran.

Sprzątają.

Zmieniają opatrunki.

Podcierają tyłki.

Ten kraj stałby w miejscu bez imigrantów. W hotelach nikt by nie sprzątał, gdyby nie tacy ludzie jak Michelle, którzy zostawili wszystko w nadziei jeśli nie na lepsze, to przynajmniej na bezpieczniejsze życie.

Ona zasługuje na najwyższy szacunek i naszym obowiązkiem jest znaleźć mordercę. A jeśli mamy to zrobić, musimy zdobywać informacje nie tylko utartymi sposobami. Jeśli to się okaże problemem w przypadku ewentualnego procesu, to wtedy jakoś sobie z tym poradzimy.

Nie brakuje mu w grupie Waldemara, a jednak chciałby, żeby Ekenberg wrócił. Ale śledztwo w sprawie tego, co ponoć zrobił, i co zrobił na pewno, musi się toczyć swoim torem.

Göran nie chce nawet myśleć o tym, jak to musi wyglądać w Manili, jaka brutalność

jest tam usprawiedliwiona w imię dobra. Ale w odróżnieniu od nas, ich policja jest strasznie skorumpowana. Zwyczajny obywatel nigdy nie doczeka się śledztwa w sprawie swojego zgłoszenia, jeśli nie wetknie policjantom pesos do kieszeni.

W dole, na parkingu, mały chłopczyk wysiada z czerwonego saaba. Bierze mamę za rękę i idą powoli w stronę szpitala. Matka go nie pogania. Pozwala mu się wahać i bać.

Lukas Klasén.

To wstyd, że społeczeństwo takie jak nasze nie potrafiło lepiej zadbać o takiego chłopca jak ty.

Kilka godzin później dzwoni telefon Johana Jakobssona. Sygnał brzmi wściekle i Johan wstaje i grzebie w tylnej kieszeni, żeby wydobyć komórkę.

Żeby tylko nie chodziło o Stellę. Że jej się pogorszyło, że musi ją odebrać ze szkoły i jechać na pogotowie.

Już w tej chwili Stella ledwie sobie radzi w szkole, nie może jej się jeszcze bardziej pogorszyć.

Johan wyciąga telefon. To nie ze szkoły, na wyświetlaczu widnieje nazwisko jego kontaktu z Telenoru.

– Już coś masz?

– Cała reszta musiała poczekać.

Johan wie, że jego przyjaciel z dzieciństwa, Torsten Frank, ryzykuje w tej chwili utratę pracy; firmy telekomunikacyjne bardzo poważnie traktują kwestie prywatności.

– Dzięki.

– Tej nocy, gdy popełniono morderstwa, Jimmy Persson był w Linköpingu. Maszt ustawiony kilometr na północ od Ryd zarejestrował jego komórkę.

– O cholera.

– Tak, można tak to ująć.

Torsten wydaje się dumny, że mógł pomóc w śledztwie w sprawie morderstwa i Johan uświadamia sobie, że w oczach jego dawnego przyjaciela to wszystko musi być niesamowicie ekscytujące.

– A w Sättunie? Tam też był?

– Nie.

– To znaczy, że nie mógł tam być? Ten system jest niezawodny?

– Bardzo możliwe, że tam był. Maszty nie rejestrują urządzeń z całkowitą konsekwencją i czasem w ogóle nic się nie zarejestruje. Takie systemy nie są aż tak pewne, jak się ludziom wydaje.

– A gdzie teraz jest? Widzisz to?

Johan słyszy stukanie w klawiaturę, wydaje mu się, że trwa to całą wieczność, choć w rzeczywistości to tylko jakieś dwie minuty.

– Jest w Mjölby, w każdym razie jest tam jego komórka.

– Możesz namierzyć dokładny adres?

– Nie ma szans, ale mogę ci podać numer IMEI, wtedy będziecie mogli sami go namierzać za pomocą zwykłego GPS-u. Ale nie dostałeś tego ode mnie, dobra?

Johan rozgląda się po swoich kolegach, jakby właśnie miał zrobić coś głupiego i chciał się upewnić, że nikt go nie obserwuje.

– Będę milczał jak grób.

Dziesięciocyfrowy numer.

Johan zapisuje go na kartce.

– Dzięki.

– *Anytime* – mówi Torsten Frank i się rozłącza.

Malin widzi, że Johan Jakobsson z zapałem do niej macha i uśmiecha się jeszcze szerzej niż wtedy, gdy poprzednio ją do siebie przywołał. Jej próby skontaktowania się z Jimmym Perssonem nic nie dały, ale może Johan coś ma?

Malin pośpiesznie do niego podchodzi, Zeke rusza za nią.

– Nie uwierzycie – mówi Johan. – Jimmy Persson był w Linköpingu tej nocy, kiedy popełniono morderstwa.

– Sukinsyn! Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbiera.

– Wiemy, gdzie teraz jest?

Johan kręci głową.

– Nic prócz tego, że jest w Mjölby. Ale możemy go znaleźć za pomocą zwykłego GPS-u.

Malin się uśmiecha. Kładzie mu rękę na ramieniu.

– Jak my byśmy sobie bez ciebie poradzili?

Johan się śmieje.

– Tyle że jak dotąd nie udało mi się znaleźć żadnego związku między Peggy Dunzell i Michelle. Peggy wyjechała. Jest w Danii. Odpisała na esemesa, którego jej wysłałem. Wraca jutro wieczorem. Dość późno.

Malin pozwala Zekemu prowadzić. Lubi pogrążyć się w myślach przy medytacyjnym, monotonnym szumie silnika. Z pól, które mijają, zebrano plony, zostały tylko ścierniska i cały krajobraz równiny wydaje się zdziwiony. Te upały nigdy nie miną? Chyba miała być jesień?

Przejeżdżają obok centrum handlowego Depot Mantorp. W popołudniowym słońcu biało-żółty budynek wygląda, jakby był z innego wieku, i faktycznie tak jest, zbudowano go w 1974; wówczas był cudem nowoczesności. Kiedy Tove była nastolatką, uwielbiała tu przyjeżdżać na zakupy.

Czy aby na pewno? Może to tylko ja przywiązałam się do wspomnień o naszych wycieczkach do tego centrum?

Na niebie kilka rozciągniętych chmur, ale żadnych burzowych nie widać. Pożar już osłabł, jakby drugi wybuch był jego ostatnim podrygiem i według „Corren” prowadzący operację ma nadzieję, że za kilka dni uda się całkowicie ugasić ogień. O wybuchu w fabryce farb rozpisywały się gazety. Żadnym cywilom nic się nie stało. Dwóch strażaków ma poważne poparzenia. W helikopterze zginęli pilot i członek załogi i Malin widzi teraz w wyobraźni spadającą maszynę, jakby to była scena z filmu, coś zainscenizowanego, co się nie dzieje naprawdę. Życie straciło jednak dwóch ludzi. Malin widzi poparzonego człowieka i rodziny tych, którzy zginęli. Dzieci, żony, zapłakane twarze, nieznane jej, a jednak znajome.

Zmusza się, by odsunąć od siebie wszystkie obrazy.

Do czego się teraz zbliżamy? – myśli. Do rozwiązania sprawy? Czy to Jimmy Persson przyjechał tu i zatłukł swoją partnerkę? Zaczekał na nią w lasku Ryd, a potem zabił świadka? Ale dlaczego miałby ją podpalać? Był aż tak wściekły? I po co wywiózł zwłoki chłopca?

I jeszcze Peggy Dunsell, która znów pojawia się w śledztwie.

Czy jest kimś zupełnie innym, niż się wydaje? Istnieje jakiś związek, którego nie widzimy?

Wciąż nie znaleziono narzędzia zbrodni.

Jeśli je znajdziemy, tę metalową rurkę czy cokolwiek to jest, może będą na tym jakieś odciski palców. Technika poszła naprzód. Karin może zebrać odciski niemal ze wszystkiego. Wtedy moglibyśmy powiązać Jimmy’ego Perssona z tym morderstwem albo go wykluczyć. Ale najpierw go złapiemy i dowiemy się, dlaczego kłamie.

GPS na desce rozdzielczej pokazuje, że Jimmy Persson, albo przynajmniej jego komórka, nadal znajduje się w Mjölby. Zjeżdżają z E4 do małego, sennego miasteczka. Stacja kolejowa, czynszowe domy z żółtej cegły, nieskończone szkaradne centrum handlowe z plastikowym dachem, i gdy zbliżają się do punktu, z którego mniej więcej dochodzi sygnał, rozumieją, co to takiego.

Hotel w Mjölby.

Pomalowany na biało drewniany budynek stoi przy torach kolejowych, zanurzony w

spłowiełej roślinności. Zostawiają samochód na parkingu przed hotelem, wchodzą do pustego holu.

O ile hotel z zewnątrz prezentuje się malowniczo, o tyle wewnątrz jest estetyczną katastrofą, myśli Malin. Nawet ja to widzę. Mieszanina stylowych mebli i takich z Ikei. Różowa tapeta, zegar z logo Coca-Coli i recepcja ze szkła lustrzanego, jak w kiepskim burdelu.

Za ladą nikogo nie ma i nikt nie odpowiada, gdy wołają i dzwonią.

Idą do jadalni. Na sali pachnie zsiadłym mlekiem i mąką, jest urządzona jak saloon na Dzikim Zachodzie. Kelner w białej koszuli i z czarną muszką nakrywa do stołów. Przedstawia się jako Niklas.

Gdy Malin pokazuje mu w komórce zdjęcie paszportowe Jimmy'ego Perssona, kiwa głową na znak, że go poznaje.

– Poszedł przed chwilą na górę do swojego pokoju. Mieszka pod sto dwa. Paskudny sukinsyn.

– Jak to? – pyta Zeke.

– Dzisiaj, kiedy zszedł na dół, skończył się chleb przy śniadaniu, a wtedy zwymyślał mnie od niedorozwoja. „Jakim trzeba być pieprzonym niedorozwojem, żeby nie umieć napełnić koszyka z chlebem?” Tak dokładnie powiedział.

Malin i Zeke opuszczają jadalnię, idą piętro wyżej. Na korytarzu leży niebieska wykładzina, a na zielonych ścianach wiszą czarno-białe zdjęcia przedstawiające Mjölby z dawnych lat.

Spoglądają po sobie.

Nasłuchują przy drzwiach pokoju sto dwa.

Ktoś jest w środku.

Jimmy Persson jest w swoim pokoju, słyszą to i Malin, i Zeke.

Ale kiedy pukają, nie otwiera drzwi. Malin przysuwa ucho do pomalowanej na biało okleiny. Drewno jest zimne w dotyku i to miłe uczucie w wilgotnym zaduchu, który, jak się wydaje, stanowi mikroklimat hotelowego korytarza.

W pokoju ktoś chodzi w tę i z powrotem.

– Jesteśmy z policji – mówi Malin. – Chcemy z tobą porozmawiać, Jimmy.

– Moment. Muszę się ubrać.

Mija minuta i Malin spogląda na korytarz, na podnieszczoną wykładzinę. Beznadzieja miasteczka położonego z dala od centrum wydarzeń.

– Proszę otworzyć drzwi! – krzyczy Zeke.

Malin kładzie rękę na klamce, naciska ją.

Zamknięte.

Znów przysuwa ucho do drzwi i ma wrażenie, że ktoś w pokoju otwiera okno.

– Zwiewa! – krzyczy Malin, a w korytarzu rozlega się opryskliwy męski głos.

– Coście za jedni?

Malin się odwraca.

Mężczyzna w granatowym garniturze i krawacie. Pewnie właściciel albo szef hotelu. Nie ma teraz dla niego czasu. Słyszy słowa Zekego:

– Odsuń się, wykopię je.

Zeke z pełną siłą trafia drzwi, które odskakują do wewnątrz, w drewnie powstaje wielka dziura, odłamki lecą na wszystkie strony. Mężczyzna w garniturze zbliża się do

nich, a Malin widzi, jak Jimmy Persson wyskakuje z okna.

– Do diabła, co wy wyprawiacie?

– Policja! – krzyczy Zeke. – Jesteśmy z policji!

Malin dopadła już do okna i dwa metry niżej na trawniku przy parkingu widzi Perssona, który zrywa się na nogi i rzuca się biegiem w stronę centrum Mjölby.

Ma pistolet? Co trzyma w ręce?

– Zniszczyliście drzwi! Wiecie, ile takie kosztują?

Malin słyszy ten wzbudzony głos, gdy sama wyskakuje przez okno i podejmuje pościg za uciekającym mężczyzną.

Ma nad nią przewagę ponad trzydziestu metrów, ale jest wysoki i ciężki i Malin jest pewna, że dogoni go, zanim dotrą do deptaka w centrum, który będą mijać, jeśli Jimmy będzie nadal uciekał w tym samym kierunku.

Biegnie zdumiewająco szybko.

Malin pędzi za nim.

Serce łomocze w piersi, tysiąc uderzeń na minutę, adrenalina sprawia, że strach kompletnie znika i Malin może się skupić tylko na jednym.

Naprzód.

Naprzód, kurwa. Powal skurwysyna.

Morderca dzieci.

Podpalacz kobiet.

Dopadnę cię.

Przedmiot, który Jimmy trzyma w ręce, jest czarny, o nieregularnym kształcie. Jeśli się zatrzyma i go uniesie, Malin jest gotowa rzucić się na bok. Sama nie wyciągnęła broni, nie chce doprowadzić do strzelaniny w miejscu, gdzie są ludzie.

Nadrobiła już dziesięć metrów, zostało dwadzieścia, a Jimmy zbiega po nasypie prowadzącym do tunelu pod torami kolejowymi, przyśpiesza, kierując się dalej w stronę centrum.

Kurwa.

Ale ja jestem szybsza.

Jimmy Persson zatrzymuje się na środku tunelu. Odwraca się, unosi ręce. Mierzy do mnie?

Unosi obie ręce?

Czy tylko tę, w której trzyma przedmiot?

Pistolet?

Do Malin dociera, że jest w betonowym tunelu, a tutaj nie ma gdzie się ukryć, może tylko przyłgnąć do ziemi i mieć nadzieję, że Jimmy nie trafi.

Zeke chce biec za Malin, ona go teraz potrzebuje, nie powinna być sama w takiej sytuacji, ale rozjuszony kierownik hotelu zagroził mu drogę do okna i mówi podniesionym głosem:

– Przyślę wam na to rachunek. Możecie być tego pewni. Pieprzony, słony rachunek!

– Przysyłaj, kurwa, co sobie chcesz – mówi Zeke, robi krok do przodu i popycha mężczyznę na łóżko. Potem wspina się na parapet i zeskakuje na ziemię.

– Nieuzasadniona przemoc! Brutalność policji! Zamierzam to zgłosić! – To ostatnie słowa, jakie słyszy, zanim przeskakuje przez niski płotek na tylnym podwórzu i rusza w stronę, w którą, jak mu się wydaje, pobieгла Malin.

To nie pistolet. Teraz Malin to widzi. To jakaś torba o dziwnym kształcie, która zwisa z nadgarstka Jimmy'ego Perssona, gdy ten unosi obie ręce nad głowę.

Nie zatrzymał się, żeby strzelić, tylko żeby się poddać.

Ma na sobie kraciatą koszulę i niebieskie dżinsy. Malin zwraca na to uwagę dopiero teraz. Jest raczej gruby niż dobrze zbudowany i ma włosy związane w kucyk.

Malin wstaje.

– Połóż się! – krzyczy. – Twarzą do ziemi!

Mężczyzna posłusznie, choć z wysiłkiem opuszcza wielkie cielsko na asfalt.

Jakaś starsza para zbliża się do tunelu od strony Jimmy'ego. Zatrzymują się i patrzą.

Malin woła:

– Proszę przejść dalej na prawo!

Ale para tylko się na nich gapi.

Dobra, zostańcie sobie, myśli Malin i wtedy słyszy za plecami głos Zekego:

– Czyli zatrzymał się dobrowolnie?

Trzydzieści sekund później Malin zakłada kajdanki Perssonowi, mocno wciska mu kolano w kręgosłup i słyszy jego jęk.

Staruszkowie mają aparaty słuchowe w uszach, ale ich spojrzenia są całkiem bystre, stwierdza Malin, kiedy już wstaje. Na szczęście dla Perssona. Bo inaczej skopałaby go po ryju, wybiła mu wszystkie zęby.

– I po co uciekałeś? – pyta.

Jimmy Persson patrzy na nią, ale się nie odzywa.

Jenny Gustafsson siedzi w autobusie numer 522, jedzie do Ljungsbro spod biura podróży w Linköpingu i bębni palcami o kolano. Jest pielęgniarką na oddziale onkologii w Szpitalu Uniwersyteckim, dziś ma wolne i była u dentysty.

Wygląda przez okno.

Najpierw na stację benzynową sieci OK przy rondzie Berg, potem na lasek Ryd. Nie chce myśleć o zamordowanej kobiecie, którą tam znaleziono. O tym, że w Linköpingu dzieją się takie rzeczy.

Zanim wsiadła do autobusu, zjadła hot doga w Seven-Eleven i teraz jest jej niedobrze. Ale nie jakoś strasznie.

Mam dobre życie, myśli.

W wieku trzydziestu pięciu lat mam szeregowiec, męża i dwoje wspaniałych dzieci, wszystko, o czym marzyłam. Dzisiejszy świat mnie przeraża, wojny, chaos, to wszystko, co się dzieje. Nie, lepiej zajmować się swoimi sprawami, myśli.

Autobus przejeżdża obok płonącej fabryki w Tornby, wjeżdża na E4 i uderza ją, jak pięknie o tej porze roku wygląda równina opadająca w stronę Roxen. Zieleń, żółć i ochra stapiają się ze sobą. Na drugim brzegu jeziora Jenny widzi domy przy klasztorze Vreta, a dalej na zachód plac budowy. Wie, że to będzie naprawdę imponująca chata. Jej mąż, który pracuje w Bergs Trä opowiadał jej o tym domu i o facecie, który kupił działkę.

Ponoć dom budują jacyś Rumuni, czy skąd tam przyjechali.

Zaniżacze płac.

I nagle czuje, że zaraz będzie wymiotować, musi wysiąść z autobusu, nie za minutę, natychmiast. Inaczej porzyga się na oczach wszystkich, a nie ma nawet torebki.

Do następnego przystanku jest za daleko. Będzie dopiero przy zjeździe do Sättuny. Nie wytrzymam tyle, nie ma szans.

Jenny Gustafsson wstaje z miejsca.

– Muszę wysiąść! – woła. – Muszę wysiąść!

W autobusie zapada cisza.

– Proszę zatrzymać autobus!

Kierowca się zatrzymuje i otwiera drzwi pośrodku.

– Niech pani wysiada – mówi.

Ale Jenny Gustafsson zdążyła już wybiec, wyrzuca z siebie śniadanie i hot doga z Seven-Eleven, wymiotuje do wyschniętego rowu przy drodze i nie widzi, że pasażerowie z autobusu przyglądają jej się z zaciekawieniem.

Kierowca wysiadł.

– Źle się pani czuje?

Jenny Gustafsson się prostuje. Ociera usta przedramieniem.

– Zjadłam hot doga i musiałam się czymś struć.

– Niestety, muszę jechać dalej.

– Poradzę sobie. Przejdę się do Sättuny i tam wsiądę w następny autobus. Wciąż jest

mi niedobrze.

Jenny patrzy, jak autobus odjeżdża, lekki wietrzyk chłodzi jej policzki. Rusza przez równinę w prażącym słońcu. Idzie powoli i z każdym krokiem coraz lepiej się czuje.

Nagle dostrzega coś w rowie.

Zatrzymuje się.

Co to takiego?

Dość się napatrzyła w szpitalu na zaschniętą krew, rozpozna ją wszędzie.

Jenny Gustafsson zbliża się ostrożnie do przedmiotu leżącego w głębokim rowie. To zwyczajna metalowa rurka, ale widać na niej włosy i zaschniętą, zakrzepłą krew.

Jeszcze nigdy równina nie wydawała jej się tak odludna.

Tak rozległa.

Wydaje jej się, że ze wszystkich stron jest wiele horyzontów. Ale horyzont wcale nie jest daleko, jest blisko, niemal na nią napiera.

Ta kobieta w lesie.

Chłopiec.

Czytała w gazecie o tych morderstwach. Że ofiary zginęły wskutek uderzenia w tył głowy jakimś długim, cylindrycznym przedmiotem. To by mogła być właśnie ta rurka. Policja znalazła jedne zwłoki w kontenerze w Sättunie.

Jenny Gustafsson rozumie, że nie powinna dotykać tego przedmiotu, tylko zadzwonić na policję. Poprosić, żeby przyjechali.

Schodzi do rowu, przygląda się dokładnie.

Czy to na pewno krew?

Tak. Ten sam kolor co na opatrunkach, kiedy krew zaschnie.

Jenny poznaje też tkankę mózgową. Wcześniej pracowała w karetce i kiedyś wyjechali po motocyklistę, który przez wiele dni leżał martwy na skraju lasu i nikt nie zauważył jego nieobecności.

Nie czuje już mdłości. Ludzkie szczątki na rurce nie działają na nią w ten sposób, jest przecież pielęgniarką.

Obok przejeżdża zielone volvo. Potem biały golf. Jenny patrzy na ludzi w samochodach. Żadnego z nich nie zna. I żaden nie wygląda, jakby się zastanawiał, co robi tutaj ta kobieta stojąca przy rowie, zupełnie sama na równinie.

Z czarnego podwieszanego sufitu pokoju przesłuchań zimne halogenowe światło pada na przefuszone włosy Jimmy'ego Perssona, odbija się w oczach Malin, tak że musi mrużyć powieki.

Podziemia posterunku policji w Linköpingu.

Uprzątnięto je, gdy przebudowywano stare koszary. Tam, gdzie były magazyny, mieszczą się teraz pokoje przesłuchań.

Zeke siedzi obok niej. Zanim weszli, Malin zadzwoniła do Daniela. Chciała zapytać, czy umówił się z psychologiem. Ale nie odebrał. W samochodzie, gdy wracali z Mjölby, myślała o tym, co jej powiedział, że sama powinna pójść do psychologa; jakie to było nedorzeczne, ale potem uderzyła ją pewna myśl: A może jest aż tak źle? Może jestem nadopiekuńcza?

Göran Möller jak zwykle protestował, nie chciał, żeby Malin i Zeke sami zajęli się przesłuchaniem tak szybko po dramatycznym pościgu, lecz Malin jak zwykle postawiła na swoim. Göran poprosił ich jednak, by odczekali kilka godzin i się trochę uspokoiłi, więc zdążyło się zrobić wpół do ósmej, gdy Malin uruchamia stojący na stole magnetofon.

Niedawno pobrali Jimmy'emu Perssonowi odciski palców.

Na jego twarzy widać zmęczenie. Jest opuchnięta, zmarszczki są głębokie.

Spojrzenie jego zielonych oczu wydaje się autentycznie przyjazne. Sprawia wrażenie nieśmiałego, stroniącego od ludzi faceta, tak jak to czasem bywa z samotnymi ludźmi. Ale może jest zdolny do przemocy.

Malin i Zeke uzgodnili, że ona poprowadzi przesłuchanie, a on będzie się wtrącał, ostro, agresywnie i bezlitośnie.

– Dlaczego przed nami uciekałeś, Jimmy? – pyta Malin.

Mężczyzna mruga.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z policją.

– Przecież i tak prędzej czy później byśmy cię złapali – odzywa się Zeke. – Chyba nie wyskoczyłeś przez okno, bo nie przepadasz za policją?

– Spanikowałem. Pomyślałem, że na pewno znaleźliście zgłoszenie stalkingu, złożone przez Michelle. I przecież was okłamałem. Pewnie pomyśleliście, że ją zamordowałem.

Kiedy wypowiada te ostatnie słowa, jego oczy zasnuwają się mroczną mgłą rozpacz.

To prawdziwa żaloba? – zastanawia się Malin. Czy tylko udawana? Jeśli grasz, to mógłbyś występować w Królewskim Teatrze Dramatycznym.

– Nadal ją kochałeś, prawda? – mówi i pochyla się nad szarym stołem.

Szpule magnetofonu się obracają.

Jimmy patrzy na nią z kamienną twarzą, odpowiada:

– A nawet jeśli, to jakie to ma teraz znaczenie?

– To może wyjaśniać, dlaczego nas okłamałeś i powiedziałeś, że byłeś w Piteå.

Na twarzy mężczyzny pojawia się niemal pobłażliwy uśmiech.

– To nie jakaś pieprzona gra – mówi Zeke. – Biłeś ją? Tak jak Pię Skavę? Biłeś

Michelle? A może zrobiłeś jej coś gorszego?

– Nie, nie biłem jej. Ale gdybyście się dowiedzieli, że byłem w pobliżu Linköpingu, rzucilibyście się na mnie jak wariaci, więc to przemilczałem.

Zeke bierze głęboki oddech.

– Przemilczałeś prawdę, bo to ty ją zamordowałeś. Jak wyjaśnisz, że twoja komórka pokazuje, że w czasie, kiedy popełniono przestępstwo, znajdowałeś się niedaleko miejsca zbrodni?

Jimmy Persson wpatruje się prosto przed siebie w lustro weneckie, za którym znajduje się drugi pokój, ale Malin jest pewna, że nie przygląda się własnemu odbiciu.

Pewnie za tym nie przepada.

Zupełnie tak jak ja.

– ODPOWIADAJ, DO DIABŁA! – krzyczy Zeke.

Jimmy Persson chowa twarz w dłoniach i zaczyna szlochać. Gdy wyrzuca z siebie słowa, bardziej przypominają jęk.

– Była jedyną kobietą, którą kochałem. Zawiodła mnie, ale nie przestałem jej kochać. Nie zabiłem jej i chłopca też nie.

– To wyjaśnij, dlaczego twoja komórka się tam znajdowała.

– Spałem w samochodzie. Przy Snoddas, takiej budce z hot dogami.

To niedaleko od miejsca zbrodni, myśli Malin. To się może zgadzać.

– Nieprawda – mówi Zeke. – Byłeś w lasku Ryd. Zatłukłeś ją metalową rurką. A potem zabiłeś chłopca.

– Nie. Spałem w samochodzie, rano miałem do niej jechać. Przyjechałem z Piteå i byłem na miejscu za późno, żeby do niej dzwonić.

Malin myśli, że to nie trzyma się kupy. Dlaczego Jimmy Persson miałby ją spalić? Kobietę, którą, jak twierdzi, kochał. I dlaczego miałby wywieźć chłopca?

– Poczujesz się o wiele lepiej, jeśli nam o tym opowiesz – odzywa się Zeke. – Czy przypadkiem nie było tak, że spaliłeś ciało, żeby zatrzeć ślady? Potem zobaczyłeś chłopca i spanikowałeś. Wrzuciłeś go do pierwszego lepszego kontenera.

– Nie – jęczy Jimmy Persson. – I może tak wam się wydaje, ale nie znajdziecie w moim samochodzie żadnej krwi.

Skonfiskowali jego chevroleta impale. W tej chwili badają go technicy.

– Ale parę lat temu wydzwaniałeś do niej po nocach – zauważa Malin.

– Byłem tak samotny, że zaczęło mi odbijać.

Czekają, aż Jimmy przestanie szlochać. Kiedy się uspokaja, Malin pyta: – To dlaczego tutaj przyjechałeś?

– Michelle zadzwoniła do mnie z pracy. Opowiadała mi o swoim nowym facecie. To niebezpieczny sukinsyn. Bała się go i chciała, żebym przyjechał i z nim pogadał.

Malin robi minę, która ma wyrażać zdumienie.

– Najpierw ją nękaś, a potem ona prosi cię o pomoc. Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– To było dawno temu, przecież sami wiecie. Później tego żałowałem. To, że po rozwodzie wciąż się do niej kleiłem, to była najgłupsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Ale przestałem ją niepokoić, zrozumiałem, że to szaleństwo, i myślę, że była skłonna mi wybaczyć. Michelle wie, to znaczy wiedziała, że kiedy trzeba, potrafię być twardy. Kiedy poprosiła mnie o pomoc, dostrzegłem w tym swoją szansę. Ale nie zdążyliśmy się spotkać, bo została zamordowana.

– Jak się nazywa ten jej facet? – pyta Malin.

– Arvid Stenstål.

– Naprawdę ktoś taki istnieje? Żadna z jej przyjaciółek nie wspominała o tym facecie.

– Michelle ceniła swoją prywatność. Nie lubiła, żeby inni wszystko o niej wiedzieli.

Muszą sprawdzić to nazwisko. Może Persson mówi prawdę.

– Co wiesz o jej rodzinie?

– Jej matka mieszka w Manili. Poznałem ją, kiedy tam pojechałem po Michelle. Nie lubiła mnie, nazywała mnie kurwiarzem. Ale Michelle się tym nie przejmowała, wydaje mi się, że nie przepadała za matką. W dzieciństwie spotkało ją wiele rzeczy, o których nie chciała mówić.

– Coś jeszcze? – pyta Zeke. – Chcemy wiedzieć o wszystkim, co sobie tylko przypomnisz.

– Kiedy dzwoniła w sprawie tego swojego faceta, powiedziała mi, że jej brat pracuje na budowie w Arabii Saudyjskiej albo jakoś tak i że jej siostra jest pomocą domową w Hamburgu. Mówiła, że nie chce utrzymywać z nimi kontaktu, że to dla niej zbyt trudne i próbuje patrzeć w przyszłość. Niepokoiła się o swojego brata. Ci cholerni Arabowie traktują przecież filipińskich robotników jak niewolników.

Malin myśli, że Marlon Rodriguez wspominał o bracie i o siostrze. Powinniśmy spróbować do nich dotrzeć. Ale w tej chwili najważniejszy jest ten Arvid.

– Dlaczego ten Stenstål jest niby niebezpieczny?

– Bił kobiety.

– Michelle też? – pyta Malin.

– Nie, ale bała się, że to zrobi. Jestem pewny, że znajdziecie go w swojej kartotece. Mówię prawdę.

– Dlaczego Michelle z nim była, jeśli się go bała? – dziwi się Malin.

– Może ją to podniecało.

On ma rację, myśli Malin. Pociąg może być o wiele potężniejszą siłą niż strach.

– A ty nie bałeś się mu postawić?

Jimmy Persson kiwa głową.

– O tak. Wystraszyłem się, kiedy usłyszałem o tym morderstwie. Jeżeli to on to zrobił. Gdyby tak było, dałbym sobie spokój. Żadna kobieta nie jest warta takiego ryzyka. Postanowiłem, że jutro wrócę na północ, uznam Michelle za skończony rozdział. Ona nie żyje i już nigdy jej nie odzyskam.

I ty twierdzisz, że ją kochałeś, myśli Malin. A potem mówi na głos: – Nie wiesz, czym jest miłość.

Kiedy przesłuchanie dobiega końca, Malin idzie do domu cichymi ulicami Linköpingu.

W Trädgårdsföreningen w słabym świetle latarni rodziny i grupki nastolatków siedzą na kocach pod pożółkłymi koronami drzew. Urządzili sobie piknik.

Lukas.

Ciebie mama na pewno nigdy nie zabrała na piknik. Ale ja też nie zabrałam Tove.

Co ja wiem o miłości? – myśli Malin. Jak mogłam oceniać tego człowieka, powiedzieć mu coś takiego? Im bardziej się starzeję, tym mniej wiem o czymkolwiek. Życie w trzeźwości jest nudne. Wszystko jest nudne. Ja jestem nudna. Niespokojna jędza, sama bym takiej nienawidziła.

Z naprzeciwka zbliża się jakiś staruszek z laską. Chwiejnym krokiem idzie

Drottningatan i Malin ma ochotę wziąć go pod rękę, podpierać go, dopóki nie dotrze tam, dokąd zmierza.

Ale mężczyzna patrzy na nią gniewnie. To zgorzkniałe, pełne złości spojrzenie, które wydaje się podsumowywać całe jego życie.

Niepowodzenie.

Niewykorzystane okazje.

Miłość jako marzenie, którego nigdy nie uda się zrozumieć.

Obym się nigdy taka nie stała, myśli Malin.

Krew, tkanka mózgowa.

Czarne i jasne włosy.

W klinicznie czystym laboratorium Karin Johannison stoi pochylona nad metalową rurką znaną w rowie przy drodze prowadzącej do Sättuny. Za małymi okienkami pod dachem jest już ciemno.

To może być narzędzie zbrodni.

Na pewno nim jest.

Karin zdrapuje pęsetą pozostałości krwi.

Rozdziela próbki do różnych plastikowych pojemniczków. Muszą pilnie przeprowadzić testy DNA, sprawdzić, czy to krew jednej czy dwóch osób.

Potem zdejmuje odciski palców z rurki. Są odcisnięte we krwi, więc muszą należeć do mordercy. Na całe szczęście kobieta, która znalazła tę rurkę, miała dość rozumu, żeby jej nie dotykać.

Odcisków jest dużo.

To dobrze. Teraz mamy coś, co można wrzucić do rejestru.

Gdy kończy pracę przy rurce, wysyła próbki DNA do laboratorium.

Oznacza je etykietą: „Najwyższy priorytet”.

Potem idzie do swojego pokoju, skanuje odciski palców do komputera i zaczyna wyszukiwanie w rejestrze krajowym. System jest stary i działa opornie, odpowiedź pojawi się najwcześniej za dziesięć minut. W tym czasie Karin wyjmuje komórkę i ogląda zdjęcia Tess. Te najnowsze są z wakacji na Rodos. Były tam tylko we dwie, Zeke wtedy pracował.

Mogłabyś się wychowywać w blaszanej budzie, myśli Karin. Mogłaby cię zabić malaria, węże, przejeżdżający samochód albo zwykła choroba.

Na zdjęciach Tess się uśmiecha, jest szczęśliwa.

Postąpiłam słusznie.

Wszystko, co człowiek robi, żeby ratować dziecko, jest słuszne.

Komputer wydaje sygnał. Wyszukiwanie dobiegło końca.

Czy teraz poznam odpowiedź, kto jest mordercą?

Chcemy wiedzieć, chcemy poznać odpowiedź.

Chcemy, żebyście się dowiedzieli; żeby ci, którzy nas kochali, mieli prawdę, której będą mogli się uchwycić.

Myślicie, że odpowiedź może się kryć w naszych szczątkach na rurce?

Może prawda jest aż tak prosta.

Malin.

Widzimy, że machasz na taksówkę. Jedzie w stronę centrum. Dokąd się wybierasz?

Sven Sjöman.

Nie zmienił się, myśli Malin. Łysina, wąsy, tylko brzuch jest o kilka rozmiarów większy, niż kiedy widzieliśmy się ostatnio. Powinieneś bardziej o siebie dbać, myśli Malin. Sven wygląda na zaskoczonego, jakby była ostatnim człowiekiem, którego spodziewał się zobaczyć na swoim progu. Ale uśmiecha się do niej.

– Wejdz. Ulli nie ma w domu. Poszła na jakiś kurs szycia.

Siadają obok siebie na sofie w dużym pokoju. Sven robi herbatę, a Malin czuje zapach świeżo heblowanego drewna.

– Pracowałeś w drewnie? Przeszkodziłam ci?

– Nigdy mi nie przeszkadzasz.

– Jak tam życie na emeryturze?

– Spokojnie. I nudno. Może ty mnie trochę rozruszasz.

– Raczej nie sędzę – mówi Malin.

Patrzy na niego z wdzięcznością. Ileż to razy ją ratował, kiedy przychodziła pijana na służbę? Zadbał o to, żeby poszła na odwyk, zamiast wylecieć z roboty.

Ufał mi, kiedy najmniej na to zasługiwałam.

Potrafi we mnie czytać jak nikt inny.

– Nie musisz czuć, że jesteś mi coś winna, Malin – mówi cicho Sven. – Nigdy się tak nie czuj. Jesteś najlepszą policjantką, z jaką kiedykolwiek pracowałem.

Malin czuje, że jej policzki się rumienią.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Sven opada na oparcie sofy. Klepie się po brzuchu.

– Nie umiem się powstrzymać. Lekarze na mnie krzyczą, ale wolę żyć krótko i dobrze, niż długo i kiepsko.

Malin się śmieje. Upija łyk gorącej gorzkiej herbaty.

– Czytałem o sprawie, nad którą pracujesz – mówi Sven.

– Masz jakieś przemyślenia?

– Wiem tylko to, co pisali w gazecie. Chcesz mi opowiedzieć o szczegółach?

Malin mówi mu o wszystkim, co potrafi sobie przypomnieć. O Lukasiu i Michelle, o Jimmym Perssonie, a nawet o Peggy Dunsell.

Sven z wysiłkiem wstaje z sofy. Człapie w tę i z powrotem po pokoju, zastanawia się, a Malin przygląda się koronkowym firankom. Jego żona musiała je robić szydełkiem chyba przez kilka tygodni.

– Według mnie chłopiec był świadkiem czegoś, czego nie powinien był zobaczyć. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Też tak sędzę.

– A dlaczego ktoś miałby chcieć zabić Michelle? Zazdrość, zawiść, jakiś szaleniec? Jakieś sprawy rodzinne? Świat jest dzisiaj mały, Malin. To, co się dzieje w Linköpingu,

może mieć związek z czymś, co się dzieje na drugim końcu świata. Peggy Dunzell. To przecież ta od pluszowych misiów. Mogła mieć jakieś fabryki na Filipinach. O ile mnie pamięć nie myli, produkowała głównie w Chinach, ale to przecież nie znaczy, że nie robiła interesów w innych krajach. Kto może wiedzieć, co się tam wydarzyło.

Malin kiwa głową. Może to na tym polega związek?

– Michelle ma dwoje rodzeństwa. Oni też opuścili Filipiny – mówi.

– Co o nich wiecie?

– Niewiele. Pracują gdzieś na świecie. Może uda nam się nawiązać z nimi kontakt przez matkę.

Sven Sjöman wzdycha. A potem pyta:

– A co tam u pozostałych z wydziału?

– W porządku. Waldemar został zawieszony za nieuzasadnione użycie przemocy.

– Jest źle?

– Dość kiepsko.

– A Göran?

– Nie jest tobą, ale jest całkiem w porządku. Nawet lepiej.

Sven Sjöman się uśmiecha.

– Chciałem, żebyś ty dostała tę robotę.

– Ale ja jej nie chciałam.

– A co u ciebie?

Sven obdarza ją ojcowskim spojrzeniem.

– Jest nam dobrze z Danielem. Tove jest w Katmandu jako wolontariuszka.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Od dawna nie wypłam ani kropli.

Sven znów się uśmiecha.

– To dobrze. To jest najważniejsze.

– Czuję się jak najnudniejszy człowiek na świecie.

– Ale żyjesz – mówi Sven i wygląda przez okno. – Żyjesz, i to jest najważniejsze.

Może on ma rację, myśli Malin. I może w tej sprawie wcale nie chodzi o śmierć, tylko o życie.

Opowiada mu o Danielu. O swoim niepokoju. Nieustannych telefonach. Esemesach. O tym, że gdy tylko traci go z oczu, czuje się nieswojo.

– Musisz się wyluzować. Życie jest niepewne. Zwłaszcza twoje. Musisz się z tym pogodzić. A poza tym co by się miało stać Danielowi?

– Mnóstwo rzeczy. Wypadek samochodowy. Napad. Może wpaść pod autobus, zachorować na raka. Jest z tysiąc takich rzeczy.

– Tysiąc rzeczy, z których składa się życie. I nie mamy nad nimi całkowitej kontroli, wiesz o tym, Malin. Lepiej niż większość ludzi.

Sven unosi brwi, potem wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że jest, jak jest. I tyle.

– Daniel chce, żebym poszła do psychologa.

– Może to niezły pomysł – zastanawia się Sven. – A może sama już znasz odpowiedź. Nie pozwól, żeby twój strach zniszczył tę miłość.

CZWARTEK SZESNASTY WRZEŚNIA, PIĄTEK SIEDEMNAŚTY WRZEŚNIA **C**holera. Karin Johannison wpatruje się w monitor. Sprawdzanie odcisków linii papilarnych z metalowej rurki nie dało żadnego trafienia. Ani w rejestrze, ani wśród tych z mieszkania Michelle, ani tych z kontenera.

Tak łatwo się nie uda rozwiązać tej sprawy. Prawie nigdy nie bywa tak łatwo.

Słyszy pukanie za plecami. Odwraca się.

Po drugiej stronie szklanej ściany stoi policjant w mundurze, wygląda na jakieś dwadzieścia pięć lat. Karin wychodzi do niego, a on podaje jej kopertę.

– Odciski palców Jimmy’ego Perssona – mówi. – Malin Fors prosiła, żebyś porównała je z tymi, które ewentualnie znajdziesz na rurce.

– Dziękuję.

Karin wraca do komputera. Skanuje odciski i rozpoczyna wyszukiwanie. Ta chwila powinna być pełna napięcia, ale uderza ją myśl, jakie to nieskończenie beznadziejne. Próbuje wmawiać samej sobie, że to, co robi, jest ważne, że prawda jest ważna, ale w tej pracy nigdy nie chodzi o jej prawdę, zawsze o prawdę kogoś innego.

Jej prawdą są długie dni pracy i samotność w tym pokoju.

Jest już późno. Powinna być w domu, z Tess i Zekem. Powinna teraz spać. Pragnie zasnąć u boku Zekego i żeby nic jej się nie śniło.

Dzwoni komórka. To jej kolega Andersson.

– Samochód Perssona jest zupełnie czysty. Na pewno nie przewoził nim żadnego zakrwawionego ciała ani metalowej rurki. Tak dobrze nikt nie potrafi posprzątać.

Szlag by to trafił.

Na monitorze widnieje odpowiedź dotycząca odcisków palców Jimmy’ego Perssona.

Johan Jakobsson trzyma dłoń na czole Stelli.

Zasnęła.

Trwało to ponad godzinę i nawet przez sen cicho pojękuje z bólu. Jakby zabierała go nawet tam.

Ale przynajmniej śpi.

Pharell Williams spogląda na niego z plakatu na ścianie.

Happy.

Szczęśliwy.

A ci pieprzeni lekarze nie chcą jej przepisać morfiny. Powinni zobaczyć, jak cierpi.

Johan wstaje i schodzi na dół do pracowni. Włącza komputer. Wie, że praca to najlepszy sposób, żeby odsunąć myśli o cierpieniu Stelli. Stuka gorączkowo w klawiaturę.

Malin go prosiła, żeby sprawdził niejakiego Arvida Stenståla, czy w ogóle jest ktoś taki w Linköpingu. I faktycznie jest. Johan pobiera odpis z rejestru paszportów.

Arvid Stenstål dobrze się prezentuje. Wygląda na twardziela.

Ostre rysy, jasne włosy ostrzyżone na zapalę, jak u amerykańskiego żołnierza.

Johann wrzuca jego nazwisko do rejestru karnego.

Ożeż kurwa!

Niech tylko Malin i pozostali to zobaczą.

Elin Sand nie może zasnąć. Leży i wsłuchuje się w odgłosy ruchu ulicznego na Vasavägen. Przewraca się z boku na bok i czuje, jak tani materac ugina się pod jej ciężarem.

W końcu się poddaje. Idzie do kuchni i wypija dwie szklanki wody. Otwiera lodówkę, zjada dwa plasterki wędzonej szynki prosto z opakowania. Smakują samotnością.

Potem siada przy komputerze w dużym pokoju. Wchodzi na YouTube i zaczyna wyszukiwać: lasek Ryd, palić się, *burn*, Linkoping, *murder of Filipino woman*. A potem tylko *burning woman*.

Może to intuicja nie daje jej spać, zmusza ją do tego wyszukiwania? Elin myśli: w naszych chorych czasach morderca może chcieć się pochwalić tym, jak płonie jego ofiara. Nazbierać dziesięć milionów wyświetleń. Może go kręci, że cały świat zobaczy jego wielki wyczyn. Że pokaże światu swoje przesłanie.

Przy *burning woman* pojawiają się trafienia.

Ktoś wrzucił na YouTube jakiś film z Pakistanu. Kobieta, która spaliła się żywcem w szopie.

Palenie zwłok nad Gangesem.

Wiele różnych numerów kaskaderskich z filmów akcji.

Amerykańska kobieta-żołnierz po eksplozji improwizowanego urządzenia wybuchowego w Mosulu.

Elin wyszukuje filmy zamieszczone ostatnio i wtedy pojawia się ten plik.

Zamieszczono go zaledwie przed kilkoma minutami.

Na widok ikony z zatrzymaną klatką dłoń trzymająca myszkę zaczyna się trząść. Kobieta jak pochodnia, ziemia pod nią zielona, brązowa, czarna jak w szwedzkim lesie.

Sosny. Małe świerki, brzoźki. Ich kształty, zachodzące na siebie gałęzie. Elin uświadamia sobie, że to wszystko pamięta, w najdrobniejszych szczegółach, a każdy szczegół jest uczuciem, i już wie.

Wie, że te zarośla to lasek Ryd, że płonąca kobieta to Michelle Persson.

Elin nie chce kliknąć tego filmu, nie chce na to patrzeć, ale wie, że musi.

Pragnie wstać z krzesła i się położyć, zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Ale klika.

I z jej ust wyrywa się krzyk.

Krzyk nieopisanego bólu.

Ogień.

Michelle płonie.

I jej krzyk jest krzykiem Elin.

Część 3

Gniewna miłość

DOHA, 2002

Potem wszystko się zmieniło. Ostatni klient, jakiego mieliśmy w Katmandu, zadbał o to, żeby tak się stało. Był Szwedem, tak jak my, i chciał zdobyć jakiś szczyt, jakikolwiek, byle tylko był co najmniej siedmiotysięcznikiem.

Załatwiliśmy to dla niego.

Miał firmę, która gasiła pożary gazu w Katarze. Miał tam również znajomego, który dostał pozwolenie na prowadzenie biura pośrednictwa pracy. Wyszukiwanie robotników, całego tego mięsa budowlanego, którego trzeba, by zbudować drapacze chmur, szpitale, wille, obiekty sportowe, mariny i wiele innych rzeczy. A w Katmandu potrzebni byli ludzie, którzy mogli rekrutować nepalskich robotników, rzetelni, znający język i zorientowani, jak to wszystko działa.

Założyliśmy firmę, ten Szwed to sfinansował. Otworzyliśmy biuro, daliśmy ogłoszenie w lokalnej gazecie i po tygodniu mieliśmy ciągnącą się na pół kilometra kolejkę mężczyzn i kobiet, którzy chcieli pracować w Dosze.

Robotnicy budowlani.

Pomoce domowe.

Młodzi ludzie, którzy już dawno stracili nadzieję, że w Nepalu cokolwiek zdziałają.

Mówiliśmy im, że można załatwić kredyt na bilety lotnicze, na wyżywienie i lokum, póki nie dostaną pierwszej wypłaty. Wtedy będą mogli to spłacić. Oczywiście rzeczywistość często wyglądała inaczej. Płace wystarczały jedynie na odsetki od kredytu, na utrzymanie i może na to, żeby wysłać do domu kilka dolarów.

Prawo jest tak wymyślone, że w Katarze nie wolno im było zmieniać pracodawcy, w takim wypadku w najlepszym razie czekało ich wydalenie z kraju. A pracodawcy – firmy budowlane – nie przyjmowały siły roboczej od konkurencji. W okresie objętym kontraktem robotnicy nie mogli też wyjeżdżać z kraju.

Jasne, że to niewolnicza praca. Albo coś bardzo do niej zbliżonego.

Wiedzieliśmy o tym i wysyłaliśmy tam Nepalczyków, pozwalaliśmy im przedłużyć nadzieję, że przynajmniej uda im się sprawić, by ci, którzy zostawali w domu, mieli co jeść.

Bo czego można się spodziewać po tym świecie?

Zarabialiśmy pieniądze.

Mnóstwo pieniędzy.

Rozrośliśmy się na inne kraje.

A żadne nepalskie władze się w to nie wtrącały. Wiedzieli, że nie można odbierać ludziom marzeń. Człowiekowi można odebrać wiele, ale nie marzenia, bo wtedy zaczyna się buntować.

Góry wydawały się coraz bardziej odległe. W końcu stały się tylko mirażem w nas samych.

Przenieśliśmy główną siedzibę do Dohy.

Upał, w którym trudno oddychać, przypominał niedobór tlenu na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Sprowadzaliśmy ludzi z Pakistanu, z Filipin, z Nepalu, odbieraliśmy im wolność, ale czego się, kurwa, spodziewali?

Wiedzieliśmy, że pracodawcy szybko się rozprawiają z buntownikami. Że dzieje się to za przyzwoleniem katarskich władz.

Budowy mają być gotowe na czas. Wtedy płacimy ekstra, a wy dostajecie nowe zlecenia.

Nam również chodziło o pieniądze, o świat, który się przed nami otworzył. To po to opuściliśmy Szwecję.

Góry były tylko mirażem.

DOHA, TERAZ

Może powinienem był pojechać do Szwecji razem z czwórką moich przyjaciół, myśli Yash Padey, ale jestem tutaj i robię to, co muszę.

Teraz czuję na ramionach ciężar stalowej belki, staję się jednym z nerwami uciskanymi przez kręgi i wiem, że człowiek jest w stanie znieść każdy ból, jeśli nie ma wyjścia. Ja i piętnastu innych wnosimy belkę piętro po piętrze na dach stadionu.

Wiem, jak się nazywają gwiazdy, które będą tutaj grać.

Zlatan.

Messi.

Ribéry.

Neymar.

Mecze będą rozgrywane na naszym pocie, na naszych pozrywanych mięśniach i ścięgnach, na ciałach naszych zastrzelonych towarzyszy, na płonących zwłokach naszych krewnych.

Ktoś przysłał mi na komórkę film z płonącą kobietą, ci, którzy go przysłali, dobrze wiedzieli, że przyjaźniłem się z Albertem i chcieli mnie zastraszyć, zmusić do myślenia. Wychodzili z założenia, że będę się bał, że żaden z nas nic nie zrobi z tym filmem, ale miałem już tego dość.

Wiedziałem, że samo w sobie to niczego nie dowodzi, bo co to miało wspólnego z robotnikami na Qatari Stadium Four.

Napisałem po angielsku komentarz do filmu:

For us to be the slaves you need.

Wysłałem też film do jego siostry, razem z adresem i nazwiskiem Szweda, które przysłał mi esemesem mój przyjaciel z Nepalu.

Nie mam siły nawet myśleć o tym, jak się teraz wiedzie jemu i pozostałym. Albo jej.

Rosita Sánchez przepравиła się przez długi most łączący Szwecję i Danię, miała szczęście, żaden konduktor nie zapytał jej o bilet. Oczekała, aż zapadnie noc, wtedy łatwiej jeździć na gapę.

Idzie peronem, trzyma w ręce ciężką walizkę. Kieruje się w stronę głównego budynku dworca w Malmö. Stalowe belki nad jej głową zdają się pocić w upale.

Jest obolała, ma zeszywniałe plecy, a dom i pokój nad Łabą wydają jej się nieskończenie odległe, jakby czas przestał płynąć tak jak zwykle i zmienił jej organizm w jeden ruch: przed siebie.

Adres w okolicy Linköpingu.

Nazwisko w e-mailu.

Zemszczę się.

Michelle, która jęczy z bólu. Płonie.

Będę zabijać.

Jest tuż po wpół do ósmej, gdy Malin i pozostali zbierają się przy komputerze Elin Sand.

Przed chwilą dzwoniła Karin. Odciski na metalowej rurce nie należą do Jimmy'ego Perssona, a jego samochód jest czysty. Nie mają żadnego powodu, żeby go dłużej przetrzymywać.

Kilka razy oglądają film, na którym płonie Michelle Persson, a potem Börje mówi:

– Dość już tego.

Malin czuje, że cała się trzęsie. Tej nocy dobrze spała, po tym jak kochali się z Danielem. Za dobrze. Wołałaby być teraz trochę bardziej zaspana i nieprzytomna.

Daniel umówił się z psychologiem. Wytrzymała, poczekała, aż sam jej o tym opowie. Nie spytała, jak mu minął dzień. Czy dobrze się czuje. Oddychała głęboko i próbowała przezwyciężyć emocje rozsądkiem.

Płonąca Michelle.

Umysł Malin rozumiał, że Michelle spłonęła w lesie, ale nie rozumiała tego na poziomie uczuć. Fizycznie.

Ciało nie leży nieruchomo. Wstrząsają nim drgawki i kobieta cicho pojękuje, wydaje się skrecać z bólu.

Widać niewyraźnie, że ktoś polewa ją benzyną.

Wtedy zaczyna głośno jęczeć.

Ktoś rzuca zapalniczkę.

A potem płomienie.

Może czuła, jak wgrzyzają się w jej skórę milionem rozżarzonych zębów, jak nieodwracalnie niszczą wszystko, czym była.

– Kto może być zdolny do czegoś takiego?

Johanowi drży głos. Z wściekłości. Elin Sand siedzi zawzięta i milcząca i Malin wyczuwa, że koleżanka ma ochotę wyjść i już nigdy nie wracać.

Potem Malin czyta komentarz pod filmem:

For us to be the slaves you need.

Co mogą znaczyć te słowa? – zastanawia się. Kto potrzebuje niewolników? Michelle i jej rodzeństwo opuścili Filipiny, wyjechali do pracy. Czy to ma z tym coś wspólnego? Dwa morderstwa w Linköpingu. Jaki może mieć związek ta zapadła dziura z tym, co się dzieje na świecie?

Malin uważa, że muszą dowiedzieć się czegoś więcej o siostrze i bracie Michelle. Będą musieli poprosić o pomoc Marlona Rodrigueza.

Słowa Svena: świat jest dzisiaj mały, Malin. To, co się dzieje w Linköpingu, może mieć związek z czymś, co się dzieje na drugim końcu świata.

Peggy Dunzell.

Czy mogła wykorzystywać Filipińczyków do niewolniczej pracy?

Przecież nawet nie wiemy, czy ma fabryki również tam, czy tylko w Chinach. I jak by to się miało z kolei wiązać ze śmiercią Lukasa? Jej syna Victora?

Peggy dziś wieczorem wraca do domu. Musimy się wybrać do Sättuny i ją przesłuchać.

Tekst nic nie zdradza o osobie, która zamieściła film. Nazwa użytkownika to szereg cyfr i liter, które nie tworzą żadnej sensownej całości.

– Możesz się dowiedzieć czegoś o pochodzeniu tego filmu, Johan? – pyta Malin.

– Mogę się zwrócić do YouTube. Ale za bardzo nie liczcie na pomoc. Skype nie odpowiedział na nasze zapytanie o kontakty Michelle.

– Do diabła, chodzi o podwójne morderstwo – mówi Zeke.

– Zrobię, co będę mógł.

– To na pewno morderca go zamieścił w Internecie – mówi Börje.

– Niekoniecznie – odzywa się Elin. – Morderca na pewno filmował to, co robił, ale przecież nic nie wiemy o tym, jak ten film trafił na YouTube.

Potem wszyscy stoją w milczeniu. Chcą jeszcze raz obejrzeć film, przyjrzeć mu się dokładnie, sprawdzić, czy dostarczy im jakichś nowych tropów, ale jednocześnie nie chcą. Dają sobie z tym spokój.

– Nie ogarniam tego – stwierdza Börje. – To kurewstwo kompletnie mi umyka.

– No to posłuchajcie tego – mówi Johan Jakobsson. – Posiedziałem trochę w nocy i znalazłem coś, co wygląda konkretniej.

Wszyscy odwracają się do niego z pytaniem w oczach. Dokąd teraz zaprowadzi nas to śledztwo?

Arvid Stenstål.

Malin wpatruje się w monitor Johana Jakobssona. Czyta, czego udało mu się dowiedzieć o rzekomym facecie Michelle albo przynajmniej jej znajomym.

Wyciąg z rejestru karnego wygląda jak CV potencjalnego mordercy.

Wielokrotnie skazany za pobicia kobiet. Między innymi pobił swoją byłą partnerkę i potraktował ją rozgrzanym żelazkiem. Dostał za to dwa lata.

– *Nice guy* – stwierdza Zeke.

Stoi za plecami Malin, która czuje na karku jego oddech, jego ciężki zapach i myśli o jednym ze swoich nauczycieli z podstawówki. O tym rasiście, który uczył ich niemieckiego i wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie lubi „kolorowych”, którzy „przejmują miasto”.

Michelle nie wyglądała na Szwedkę.

Czy to mogło być morderstwo na tle rasistowskim?

Jednak nic na to nie wskazuje. Żadne z takich ugrupowań nie przyznało się do tego czynu, a te grupy, które akurat teraz działają w mieście, w ogóle nie są agresywne. Jak dotąd nie ujawnił się nawet jeden szaleniec.

Nie, lepiej zostawić tę myśl.

Arvid Stenstål był skazany za kilka oszustw i przedłużono mu wyrok, bo podpalił swoją celę w Österåker.

– Wygląda na to, że ogniska też lubi – stwierdza Börje.

– Musimy z nim porozmawiać, to dla nas w tej chwili priorytet – mówi Malin. I myśli: Ale jeśli to on, to dlaczego miałby zamieszczać film na YouTube? I coś takiego napisać? Żeby wprowadzić nas w błąd?

– Masz jego adres?

Johan podaje jej adres w Berga.

– Wygląda na to, że jest zatrudniony w Freys Måleri. Może tam być, jeśli nie będzie go w domu.

– Zrobimy mu niespodziankę. Nie musi wiedzieć, że się zjawimy. Mógłby wtedy zwać. Zajmiemy się tym z Zekem – mówi Malin.

Nikt z pozostałych nie protestuje. Elin Sand wciąż wydaje się przejęta filmem.

Johan drukuje zdjęcie paszportowe Stenståla. Symetryczna twarz. Wąski nos. Włosy jak ścierniska przy drodze do Mjölby.

Nieźle z ciebie ciacho, myśli Malin.

Dlaczego nienawidzisz kobiet? I to aż tak, że jedną z nich zatłukłeś na śmierć?

Malin dwa razy mocno naciska dzwonek przy drzwiach mieszkania w Berga. Drzwi są nowe, cała klatka schodowa świeżo pomalowana w pastelowych kolorach.

Piąte piętro, a winda się zepsuła.

Malin jest zdyszana, ale to nic w porównaniu z Zekem. Dziś jest chłodniej, lecz wciąż jeszcze można się łudzić, że jest lato.

Według Radia Östergötland pożar w Tornby jest już z całą pewnością pod kontrolą. Straty wynoszą ponoć kilkaset milionów koron. Wciąż nie wiadomo, jak doszło do pożaru, ale brak podejrzeń, że ktoś podłożył ogień.

Na klatce schodowej jest gorąco i wilgotno, bluzka przykleja się do pleców.

Zeke ciężko dyszy.

– Powinieneś więcej trenować – rzuca Malin.

– Mam inne priorytety, przecież wiesz.

Chodzi mu o Tess. Malin o tym wie. Przez wiele lat śpiewał w chórze, ale to rzucił i wygląda na to, że nie chce do tego wracać. Ostatnio rzadko słucha w samochodzie muzyki chóralnej.

Za nimi otwierają się drzwi. Malin i Zeke się odwracają. Przez szparę wygląda jakaś stara kobieta o sterczących siwych włosach. Nie zdjęła łańcucha.

– Kim jesteście?

Malin pokazuje legitymację.

– Szukamy Arvida Stenståla.

Kobieta kiwa głową.

– Jest teraz w pracy.

– Zna go pani? – pyta Zeke.

– Często mi pomaga z różnymi rzeczami. Arvid to dobry chłopak. Wczoraj pomógł mi powiesić obraz.

Próbuje naciągnąć cię na pieniądze, myśli Malin.

– Czy w ostatnich dniach zauważyła pani coś dziwnego w jego zachowaniu? – pyta.

Po spojrzeniu kobiety widać, że nic z tego nie rozumie.

– Zrobił coś głupiego?

Malin pośpiesznie spogląda na Zekego.

– Raczej nie – odpowiada.

– To dobrze. Bobym w to nie uwierzyła – mówi kobieta i zamyka drzwi.

W biurze Freys Måleri w Jägarvallen zostają pokierowani na budowę w Hackefors. Arvid Stenstål ponoć tam jest i pracuje nad wykończeniem ścian w dziesięciu nowych mieszkaniach studenckich zbudowanych z modułów kontenerowych produkowanych w Chinach.

Stoją w recepcji dawnego lokalu przemysłowego. Malin prosi brygadzystę, żeby nie dzwonił do Arvida i go nie uprzedzał. Mężczyzna kiwa głową, wydaje się zastanawiać, co tamtem znów nawyprawiał.

– Zdajemy sobie sprawę z przeszłości Arvida – mówi. – Ale u nas zawsze zachowywał się wzorowo.

Jadą przez miasto do Hackefors. Mijają dawną remizę strażacką i cmentarz, przejeżdżają przez Stångån. W ciągu ostatniej doby coś się stało z drzewami rosnącymi nad rzeką, liście zupełnie pożółkły i w przedpołudniowym słońcu przypominają kule ognia opuszczające się nad gładką jak tafla szkła wodą w poszukiwaniu chłodu.

Przy budowie stoi jeden samochód. Furgonetka z napisem Freys Måleri.

Może jest tu sam, myśli Malin, wysiadając z wozu.

Na dwóch pustych działkach w dawnej dzielnicy willowej ustawiono połączone kontenery z oknami i szarymi drzwiami. Działka wygląda jak błotniste pole i Malin się zastanawia, skąd ta cała wilgoć. Od wieków nie padało i wszędzie wokół jest sucho. Dwa wielkie dęby wznoszą się jak wrota na granicy działki.

Znajdują drogę przez błoto do kontenerów i Malin woła:

– Arvid Stenstål! Jesteś tu?

Nasłuchują i Malin odnosi wrażenie, że słyszy stłumione dźwięki muzyki dobiegające z jednego z mieszkań.

– Tam na górze – mówi Zeke i pokazuje ręką.

Malin spogląda na pierwsze piętro.

Wchodzą po rozklekotanych prowizorycznych schodach i kierują się do mieszkania. Obok ulicą przejeżdża jakiś mały chłopczyk na rowerku.

Muzyka jest teraz głośniejsza.

Welcome to the Hotel California.

Na pewno ich nie słyszy.

Widzą go od tyłu, mężczyzna nie ma pojęcia, że przyszli.

Malin woła, przekrzykując muzykę:

– Arvid! Arvid!

Podskakuje, odwraca się do nich.

– Cholera, aleście mnie przestraszyli!

Arvid Stenstål ma na sobie biały malarski kombinezon pokryty plamami farby. Trzyma w ręce wałek i teraz Malin widzi, że muzyka dobiega z przenośnego radiomagnetofonu, który stoi w kącie. A więc tak mają mieszkać studenci: kuchnia z kuchenką elektryczną i dwoma małymi szafkami, białe drzwi prowadzące zapewne do łazienki z plastikowym dywanikiem i wodoszczelną tapetą.

Arvid Stenstål na nich patrzy, zdaje się rozumieć, kim są. Odkłada wałek, wyłącza muzykę.

Wychodzą z mieszkania w którym śmierdzi farbą, i zatrzymują się w cieniu pod jednym z dębów. Stenstål zapala papierosa, mówi: – Wczoraj pękła rura. To dlatego na działce jest błoto. Ci od rur musieli tutaj pędzić na złamanie karku.

Malin myśli, że Arvid w rzeczywistości wygląda jeszcze lepiej niż na zdjęciu paszportowym; przypomina trochę George'a Clooneya. Malin potrafi zrozumieć, dlaczego podoba się kobietom.

Ale jest niski. Jakieś metr siedemdziesiąt, umięśniony.

Arvid domyśla się, po co do niego przyszli.

– Michelle była fajna – mówi. – Poznaliśmy się mniej więcej pół roku temu w Harrys. Parę razy się ze sobą przespaliśmy. I na tym się skończyło.

Malin unosi podbródek, uśmiecha się krzywo.

– Nie była twoją dziewczyną?

– Nie. Wydaje mi się, że Michelle nie chciała mieć partnera. Pewnie miała dość po swoim byłym mężu.

– Opowiadała ci o nim?

– Trochę. Jak się nazywał i tak dalej.

Zeke postępuje o krok w stronę mężczyzny.

– Według Jimmy’ego Perssona byłeś jej nowym facetem.

Arvid się uśmiecha.

– No to coś mu się pomyliło. Sypialiśmy ze sobą. Oboje mieliśmy z tego przyjemność. I tyle.

– Biłeś ją? Jimmy Persson twierdzi, że do niego dzwoniła i powiedziała, że się ciebie boi.

Malin widzi, jak mięśnie Stenståla się napinają. Jak walczy, żeby zapanować nad nagłym wybuchem złości. I jak mu się udaje.

– No to kłamał. Musiała mu o mnie wspomnieć, a on nawymyślał pewnie mnóstwo różnego gówna. Wydaje wam się, że wszystko o mnie wiecie. Że teraz facet, który bił kobiety, znowu to zrobił, ale tym razem przekroczył granicę i kogoś zabił. Ale to nieprawda. Skończyłem z tym. Ostatnio w zakładzie w Skänninge dostałem dobrego terapeutę i teraz potrafię panować nad złością. Chcę być czysty. Myślicie, że gdyby tak nie było, sterczałbym tu sam i malował ściany?

– Wiesz, co myślę? – mówi Zeke. – Myślę, że cię poniosło i ją zatłukłeś. Że może nie chciała się już z tobą spotykać, więc zacząłeś się na nią w lesie. Zatłukłeś ją i spaliłeś, a wtedy wszedł ci w drogę chłopiec i jego też zabiłeś.

– Zupełnie ci odbiło. Nie mam z tym nic wspólnego. Lubilem Michelle, w porządku?

– Więc musiałeś to też nagrać – mówi Zeke. – I zamieścić wszystko na YouTube.

Na twarzy Arvida Stenståla maluje się autentyczne zdumienie. Nie miał pojęcia o żadnym filmie. Widać to wyraźnie w jego oczach.

– Masz alibi? – pyta go Malin. – Na noc z niedzieli na poniedziałek?

– Byłem tutaj i przez całą noc malowałem pieprzone ściany. Z dwoma kolegami. Mogą to potwierdzić. Musieliśmy zdążyć na czas. Firma miała dostać bonus, jeśli studenci będą się mogli w terminie wprowadzić. Ale nic z tego nie wyszło, bo pękła rura. My w każdym razie dostaliśmy bonus.

Podaje im numery swoich kolegów.

– Lubisz ogień? – pyta Zeke. – Bo mamy wrażenie, że tak.

Stenstål wzdycha.

– Zrobiłem w swoim życiu mnóstwo głupich rzeczy. Pierwszy jestem gotów to przyznać. Ale jeśli wam chodzi o ten pożar w celi w Österåker, to podpalił ją klawisz, żeby mi dokopać.

Malin mu się przygląda. Chyba mówi prawdę o tym pożarze w celi.

– Nie masz pojęcia, kto mógł źle życzyć Michelle? – pyta.

Chce dostrzec jakiś smutek w jego spojrzeniu, w całej postawie, ale niczego takiego nie dostrzega. Pewnie on i Michelle uprawiali tylko seks. Coś takiego łatwo zastąpić.

A może jednak ma coś wspólnego z tym morderstwem? Powinniśmy mieć w rejestrze jego odciski palców, a w takim wypadku przy sprawdzaniu wyskoczyłoby nam trafienie.

Ale może ich nie mamy. Błędy się zdarzają.

– Nie. – Arvid Stenstål kręci głową. – Z tego, co wiem, nie miała żadnych wrogów.

– Możemy pobrać twoje odciski palców?

– Nie ma mowy. To musicie załatwić oficjalną drogą. Diabli was wiedzą, co z nimi wykombinujecie.

Malin wraca na posterunek po wczesnym lunchu w pizzerii Conya i otwiera Skype'a na komputerze. Czuje, że pizza zalega jej w żołądku.

Szlag by to trafił.

Przed paroma minutami dzwonił Marlon Rodriguez. Tak szybko odpowiedział na jej zapytanie. Może coś znalazł?

Malin oddzwania, rozbrzmiewają cztery sygnały, a potem znów widzi komisarza. Obraz jest zamazany, rwie się, ale dźwięk jest dobrej jakości.

– Ach, inspektor Fors, to pani! – mówi komisarz doskonałą angielszczyzną.

– To ja.

Banały zawsze brzmią lepiej w obcym języku.

– Miała pani pytania.

– Dostał pan mój e-mail?

Komisarz kiwa głową.

– Znalazłem dla pani kilka odpowiedzi.

– Szybko się pan uwinął.

– Gdy ostatnio rozmawialiśmy, odniosłem wrażenie, że chciałaby się pani dowiedzieć czegoś więcej o rodzeństwie Michelle Persson, więc kazałem moim ludziom je sprawdzić.

Plan Manili w tle został zdjęty. Na jego miejscu wisi dziesięć policyjnych zdjęć w dwóch rzędach, czarno-białe wydruki przedstawiające jakichś twardzieli.

– Jak już mówiłem, jej brat pracuje ponoć w Dosze – ciągnie Marlon Rodriguez. – Buduje Qatari Stadium Four przed mistrzostwami świata. Został zrekrutowany przez Garden Society Recruiting, agencję średniej wielkości, a firma, dla której pracuje w Katarze, nazywa się Hangzhou Corporation. To wielka chińska firma budowlana działająca na Bliskim Wschodzie.

– Od jak dawna to robi?

– W Katarze jest ponoć od dwóch lat. Wcześniej pracował w Singapurze, a jeszcze wcześniej w Bangkoku. Tu, w Manili, miewał do czynienia z policją. Czasami. Trzy razy wdał się w kłótnię z policjantem, ale to nie było nic poważnego.

Facet, który lubi sprawiać kłopoty, myśli Malin.

Czy to coś znaczy?

– Udało wam się z nim skontaktować?

Marlon Rodriguez wciąga powietrze, odpowiada na wydechu.

– Zdobyliśmy numer jego komórki, ale nie odbiera. Nie znaleźliśmy żadnych jego przyjaciół, a w tej firmie budowlanej można się dodzwonić tylko do centrali.

– A agencja, która go zrekrutowała?

– Powołują się na ochronę prywatności robotników.

– Jego siostra nie żyje, chyba ma prawo się o tym dowiedzieć?

Marlon Rodriguez uśmiecha się z rezerwą, jakby chciał powiedzieć: Niech ci Bóg dopomoże, naiwna kobieto z Zachodu. Zamiast tego mówi: – Proszę się postawić na

miejsca Alberta Sáncheza, bo tak się nazywa jej brat. Niech sobie pani wyobrazi, że tkwi pani jak niewolnik na jakiejś budowie na pustyni. Czy wtedy chciałaby się pani dowiedzieć, że pani siostra została zamordowana?

Malin nieruchomieje. Wpatruje się prosto w kamerę nad krawędzią monitora.

– Może i nie – mówi. – A jej siostra?

– Rosita Sánchez. Jest w Europie, pracuje jako pomoc domowa. Matka twierdzi, że przebywa w Hamburgu. Dalej nie udało nam się dotrzeć.

Czyli ta Rosita, która była wśród kontaktów na Skypie, to jej siostra, myśli Malin.

– Korzystała z usług tej samej firmy co brat? Green Sea, czy jak tam się nazywali?

– Garden Society. Nie. Nie wiemy, z jakiego pośrednika korzystała.

– A matka nic więcej nie wie?

– Wygląda na to, że zapadła się pod ziemię. Już mówiłem, że tutaj ludzie nie lubią, kiedy policja przychodzi do nich i zaczyna węszyć. Myślą, że jesteśmy skorumpowani i chcemy od nich wyciągnąć pieniądze.

Malin zagryza wargę. Zastanawia się, czy zapytać o Peggy Dunsell. Czy jej firma działała na Filipinach. Powstrzymuje się jednak. Jeszcze nic nie wiedzą i tylko wyszłaby na zagubioną.

Kiedy rozmowa dobiega końca, Malin przeciera oczy. Pieką ją od wpatrywania się w monitor, może pora sprawić sobie okulary do czytania.

To Elin jej to wytknęła.

Malin się rozzłościła, powiedziała:

– Jeszcze nie jestem taka stara.

Ale wiedziała, że Elin ma rację, jej ciało nieodwracalnie się sypie. I ciało Elin też, nawet gdyby wystartowała w tysiącu zawodów triathlonowych Iron Man. Nawet gdyby wykupiła dziesięć tysięcy godzin u trenera biegania. A okulary to jeszcze nie koniec świata.

Czy po tej rozmowie jestem mądrzejsza? – myśli Malin.

Jeszcze raz przeciera oczy. Tym razem po to, żeby przejaśniło jej się w głowie. Otwiera film na YouTube. Nadal tam jest, ale nie ma jeszcze zbyt wielu wyświetleń.

Czyta zdanie o niewolnikach.

Tak określił komisarz swoich rodaków pracujących na budowach na Bliskim Wschodzie. Brat Michelle, Alberto, pracuje na takiej budowie. Czy to się może jakoś łączyć? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Woła do siebie Johana. Krótko streszcza rozmowę z Rodriguezem. Podaje mu nazwę firmy budowlanej i agencji rekrutacyjnej. Prosi, żeby je sprawdził.

Garden Society Recruiting.

Brzmi miło i swojsko, myśli Malin i tęskni za siłownią. A jeszcze chętniej usiadłaby przy barze w pubie Hamlet z oszronionym kuflem piwa i kieliszkiem tequili.

W alkoholizmie nie ma nic nostalgicznego.

Zawsze wydarza się tu i teraz.

Tak jak ból.

Dzwoni do Karin. Prosi ją, by sprawdziła, czy odciski palców Arvida Stenståla faktycznie znajdują się w rejestrze. Równie dobrze można zacząć od tej strony, zamiast prosić Vivianne Södergran o nakaz.

Zeke idzie do sali konferencyjnej, w której się spotykają. Siada na krześle. Patrzy na zdjęcie Lukasa.

Chłopiec. Jego piękna, czysta twarz, jego roztrzaskana czaszka. Musimy rozwiązać tę sprawę.

Potem wygląda na pusty plac zabaw. Brakuje mu dzieci. Musieli zamknąć akurat to przedszkole? Sądowi kanceliści są zupełnie pozbawieni uroku, a patrzeć na nich to żadna rozrywka.

Zwykle nie potrzebuje prywatności, żeby móc myśleć, ale przed chwilą w pomieszczeniu biurowym poczuł nagłą potrzebę, żeby przez chwilę pobyć sam. Po trosze chodziło o to, że zobaczył inspektorów z Norrköpingu, którzy prowadzą śledztwo w sprawie Waldemara. Nie może znieść ich ciekawskich spojrzeń, ich węszenia. A po trosze chciał się też zastanowić nad propozycją z Saaba.

Ta praca przyniosłaby mu więcej pieniędzy, niż miał kiedykolwiek dotąd. Mogliby kupić dom, lepszy samochód, razem wyjeżdżać na urlopy.

A Malin nawet nie skomentowała, gdy powiedział jej o ofercie. Nie prosiła go, żeby został. Czy w ogóle tego chce?

Zasłużyłem sobie na parę naprawdę dobrych lat. Ale teraz mam robotę do wykonania.

Zeke dzwoni pod pierwszy z numerów, jakie podał im Arvid Stenstål, ponoć to komórka jednego z jego kolegów.

Wybrany numer nie istnieje.

Dzwoni pod drugi.

To samo.

Czyli nas okłamałeś, skurwielu. Podobnie jak tak wielu innych w tym śledztwie. Zamordowano małego chłopca i kobietę. A wszyscy lżą jak z nut. Jak to możliwe?

Dzwoni telefon Malin.

Może to Daniel?

Ale na wyświetlaczu widnieje numer Karin. Malin widzi ją w wyobraźni. Jej piękną, szlachetną twarz, uśmiech, który pokazuje, że nie tylko jest z gruntu życzliwa, lecz także stanowcza.

– Arvida Stenståla nie ma w kartotece – mówi Karin. – Zapomnieli mu pobrać odciski palców w areszcie i w zakładzie karnym albo po prostu nie trafiły do rejestru. Wszystko jest możliwe.

Cholera, myśli Malin.

– Dzięki. Musimy jak najszybciej pobrać mu odciski. To, co na niego mamy, już wystarczy – stwierdza.

Kończy rozmowę. Czuje, że ktoś ją klepie w ramię.

Odwraca się.

Widzi twarz Zekego. Determinację w jego oczach.

– Stenstål nas okłamał. Nie ma alibi.

Pięć minut później siedzą w samochodzie i jadą na budowę w Hackefors.

Arvida Stenståla nie ma na budowie, ale zabierają magnetofon, jego wałek i pędzle. Odwożą je do Karin, a potem ruszają do niego do domu. Tam też go nie ma, a późnym popołudniem na klatce schodowej jest jeszcze goręcej i schody dają im jeszcze bardziej popalić.

Staruszka z mieszkania naprzeciwko się nie pokazuje i Malin myśli, że może Arvid jest u niej. Dzwonią do drzwi, ale nikt nie otwiera.

Dlaczego miałby nas okłamywać, jeśli nie ma nic wspólnego z tymi morderstwami?

Malin przeczesuje ręką włosy.

Celowo się gdzieś ukrył? A może po prostu nie ma alibi i myśli, że go wrobimy ze względu na jego przeszłość. Po tym, co się stało w Österåker, pewnie nie ma wielkiego zaufania do władz, jeżeli mówi prawdę.

– Nie ma go tu – stwierdza Zeke.

Wychodzą z kamienicy w Berga i Malin dzwoni do Johana, który zajmuje się sprawdzaniem firm. Malin prosi go, by to na chwilę odłożył i ustalił, czy Arvid Stenstål może być pod jakimś innym adresem.

Na pięć minut w słuchawce zapada cisza.

– Jego matka figuruje jako właścicielka ogródka działkowego w Valla – mówi w końcu Johan. – Zawsze możecie tam zajrzeć.

Małe ogródki działkowe tętnią życiem. Ludzie przycinają krzewy, malują elewacje, rozpalają grille. Za starannie pomalowanym drewnianym płotem rosną pomarańczowe i czerwone kwiaty.

Wysypane żwirem ścieżki są zadbane, małe domki i same działki też. Większość z nich należy do imigrantów albo emerytów, na jednym z trawników siedzi na leżakach jakaś młodsza para i popija różowe wino.

Malin i Zeke docierają do działki należącej do matki Arvida Stenståla. Wchodzą do ogródka, któremu w odróżnieniu od innych przydałoby się, żeby zajął się nim porządnie ktoś, kto się na tym zna.

Co on by mógł tutaj robić? – zastanawia się Malin.

Nagle słyszą jakiś łoskot z domku.

Johan Jakobsson pociera dłońmi uda, żeby trochę się rozruszać. Sprawdzał Hangzhou Corporation. Jest wielka jak Skanska. Prywatna firma z Chin, nienotowana na żadnej giełdzie. Niewiele da się o niej znaleźć po angielsku. To anonimowy kolos, który najwyraźniej wyspecjalizował się w wielkich budowach na Bliskim Wschodzie.

Na forum dla ludzi z Zachodu mieszkających w Dosze znajduje wątek na temat Hangzhou. Członkowie forum piszą, że ta firma to *no-go*, za wszelką cenę należy unikać zatrudnienia u nich, chociaż bardzo dobrze płacą.

„Nie mam odwagi pisać o tym na tym forum, ale przecież wiemy, jakie krążą plotki o ich praktykach biznesowych”.

Znajduje też artykuł o firmie w „New York Timesie”. Reporter opisuje wstrzymywanie płac na budowie w Arabii Saudyjskiej. Były robotnik z Nepalu, który chce pozostać anonimowy, oskarża firmę o pozbywanie się robotników sprawiających kłopoty.

„Niektórzy znikają i już nigdy się nie odnajdują. Wmawiają nam, że pojechali do domu, ale tam też nikt o nich nie słyszał. Zupełnie jakby robotników z Hangzhou pochłaniała ziemia albo zabierało ich niebo”.

Firma nie chce odpowiedzieć na oskarżenia. A reporter stwierdza, że żadne kontrole przeprowadzone w Nepalu nie ujawniły, by robotnicy faktycznie znikali bez śladu.

Potem próbuje prześledzić firmę Peggy Dunsell – Nallen AB – poza granicami kraju. Sprzedała ją jednak wiele lat temu, więc nie udaje mu się dotrzeć do żadnych informacji o ewentualnych związkach z Filipinami. Nie znajduje też nic więcej, co by ją obciążało. Może to, co się stało na łodzi, było jednak wypadkiem, a podejrzenia były nieuzasadnione.

Dziś wieczorem wymuszę odpowiedź, myśli.

Potem znowu wchodzi na stronę Archiwów Cyfrowych.

Wyszukuje tylko Victora Dunsella.

I znajduje artykuł z „Corren” na temat przedszkola. O tym, jak próbowano przystosować dzieci z głębokim autyzmem do zwyczajnej placówki. Nie wynika z tego jasno, czy Victor był jednym z dzieci chorych na autyzm, czy był zdrowy. Jego nazwisko pojawia się tylko w podpisie pod zdjęciem. W materiałach ze śledztwa nie było nic na ten temat, więc Johan wychodzi z założenia, że Victor nie miał autyzmu.

Ze względu na Peggy Dunsell ma nadzieję, że był zdrowym dzieckiem. Nie ma nic gorszego niż to, że twoje dziecko zaczyna chorować, a ty jesteś całkiem bezradny.

Malin otwiera kopniakiem drzwi do domku na działce i widzi, że Arvid Stenstål leży na podłodze, ma obnażoną pierś, kombinezon opuścił do pasa.

Na ramieniu ma napiętą gumową opaskę, a w zgięciu łokcia tkwi strzykawka. Mężczyzna ma zamknięte oczy, oddycha i wygląda spokojnie, tak jak może wyglądać tylko ktoś, kto odleciał bardzo daleko po heroinie.

Kurwa, myśli Malin i się rozgląda. W jedynym pomieszczeniu panuje bałagan, na zielonej plastikowej wykładzinie walają się opakowania z McDonalda i puste butelki po coca-coli.

Ty też brałaś narkotyki, Michelle? – myśli Malin. Heroina. Czy twoja śmierć miała z tym coś wspólnego?

Śledztwo z tysiącami labiryntów, tysiącami rozgałęzień. Ale żadna z przyjaciółek Michelle nie wspominała nic o narkotykach, a Karin niczego takiego nie stwierdziła podczas sekcji. A więc pewnie to problem tylko Arvida Stenståla.

Kiedy nauczył się kontrolować napady wściekłości wobec kobiet, myśli Malin, cała ta energia musiała znaleźć jakieś ujście. A wtedy heroina była pod ręką. Musiał zacząć brać w więzieniu. Albo wcześniej. Nietrudno zdobyć heroinę.

Dzwoni telefon Zekego. Ten zerka na wyświetlacz i Malin wyczytuje z jego miny, że to Karin.

Zeke słucha w milczeniu.

– Świetnie, kochanie – mówi. – No to już wiemy. – Rozłącza się i odwraca do Malin.
– Odciski na narzędziu zbrodni nie należą do Arvida Stenståla.

Malin unosi brwi.

– To dlaczego, u diabła, nas okłamał?

– Myślę, że się wystraszył. Nie mógł przecież wiedzieć, że mamy odciski na narzędziu zbrodni. Wymyślił sobie alibi ze strachu.

– Jest aż tak porąbany?

Zeke wskazuje na leżącego na podłodze mężczyznę, na jego całkowicie rozluźnioną twarz. Malin słyszy ciche pochrząkiwania.

– A jak myślisz? – mówi Zeke. – Wygląda na kogoś, kto jest zdolny do wszystkiego. I

może tamtej nocy był sam?

– Musimy go o to spytać, kiedy trochę otrzeźwieje.

Malin zamyka oczy, myśli o tym, ile razy sama leżała na podłodze pijana w sztok, i czuje, jak ogarnia ją wstyd, powoli zaciska się na sercu jak niewidzialna ręka.

Na tyłach domku Malin znajduje kran. Nalewa wodę do brudnego garnka, kiwa głową parze emerytów, którzy na sąsiedniej działce wrywają marchewki.

Sprawdza palcem temperaturę wody. Powinna być naprawdę zimna.

Wraca do domku, staje nad Arvidem Stenstålem, odwraca garnek do góry dnem i na głowę mężczyzny leje się strumień wody.

Nic się nie dzieje.

Stenståł wciąż jest odurzony, wydaje się, że w ogóle nie zauważył powodzi, która na niego spadła. Malin musi uskoczyć, kiedy woda spływa po podłodze.

– Chyba wziął coś naprawdę hardcorowego – stwierdza Zeke. – Nieźle odjechał.

Malin idzie jeszcze raz napełnić garnek. Para na sąsiedniej działce zdaje się nawet nie zastanawiać, kim jest ani co tutaj robi. Może ją poznali?

Gdy druga kaskada spada na głowę Stenståla, mężczyzna się wzdryga.

Parska.

Wydaje z siebie dźwięk, który przypomina ryk, a potem otwiera oczy. Źrenice są zwężone, ale wygląda dość przytomnie. Usiłuje skupić wzrok, widzi Malin, Zekego, przypomina sobie chyba, gdzie jest, i próbuje się podźwignąć, ale to mu się nie udaje. Ciało odmawia posłuszeństwa i Arvid Stenståł wciąż leży na plecach, z kończynami rozrzuconymi jak macki.

– Arvid, jesteś tu? – pyta Malin.

– Jestem.

Wpatruje się w nią, chyba zrozumiał, że ucieczka na nic się nie zda.

– Dlaczego nas okłamałeś w sprawie alibi?

Arvid drapie paznokciami podłogę z laminatu.

– Bo inaczej wroilibyście mnie w to morderstwo – mówi. – Zawsze tak robicie. Posyłacie ludzi za kratki za coś, czego nie zrobili.

Jest wystraszony.

Przerażony. Tak jak się domyślaliśmy.

Malin się zastanawia, co takiego przeszedł podczas pobytu w więzieniu. Pewnie klawisze spuścili mu niezłe lanie. Raczej mówi prawdę o tym pożarze w celi.

– Dlaczego, kurwa, miałbym wam ufać? Jestem aresztowany?

– Dlaczego kłamałeś? Na pewno zdawałeś sobie sprawę, że przejrzymy takie głupie kłamstwo?

– Chciałem tylko o wszystkim zapomnieć.

Igła wysunęła się z ręki, pewnie facet bierze narkotyki od niedawna, bo wygląda, jakby był w niezłej formie, a może przez jakiś czas był czysty.

Zeke się pochyła. Przysuwa strzykawkę do twarzy Arvida.

– O wszystkim zapomnieć? I myślisz, że to jest rozwiązanie?

Mężczyzna wpatruje się prosto przed siebie, gdzieś między Malin a Zekego, w pustkę, którą widzi tylko on.

– Z Michelle mogło nam nawet coś wyjść. Wierzyła, że mogę się zmienić.

Teraz już na to za późno, myśli Malin. A potem myśli o Tove, że w pewnym sensie dla nich też jest za późno. I chce odsunąć od siebie obrazy Tove, która siedziała sama, gdy Malin wychodziła pić, odsunąć całą tę złość, panikę i wstyd, których świadkiem była jej córka.

Człowiek, który dorasta z kimś takim jak ja, chce zrobić coś dobrego.

Albo się stacza.

Zeke ledwie zdążył na wieczorne oglądanie willi w Ramshäll. Skonfiskowali narkotyki, a Stenståla przewieźli na posterunek, by mógł dojść do siebie pod nadzorem, w celi.

Gdy Zeke wychodzi na taras willi, spogląda w dół, na zielone boisko Folkungavallen, białe linie niemal wibrują w słońcu. Za boiskiem odkryty basen Tinnerbäcksbadet, brązowy, bo spuszczone wodę, a dzieci, które przyszły na naukę pływania, stoją gęsiego przy drugim białym, pięćdziesięciometrowym basenie.

Dalej na wszystkie strony rozciąga się miasto.

Linköping.

Kamienice czynszowe, parkingi, placówki w centrum. Na nich stoiska ze świecidełkami i ekologiczną żywnością, osłonięte markizami w czerwone i białe pasy, które wyglądają jak małe czapeczki. Sięgająca chmur strzelista wieża katedry, a dalej, w Tornby, kłęby dymu z płonącej fabryki powoli unoszą się ku niebu.

Ramshäll. Dzielnica waźniaków. Jeden z najpiękniejszych domów na sprzedaż za sześć milionów siedemset tysięcy koron. I jeśli przyjmie pracę w Saabie, będzie ich na to stać.

Zeke słyszy agentkę za swoimi plecami. Dziewczyna ubrana w źle na niej leżący szary kostium na oko ma około dwudziestu pięciu lat. Zajmuje się czymś w gigantycznym salonie. Może porządkuje książki o sztuce? Niewątpliwie jest tam dość ładnie. Wielkie białe sofy, barwne obrazy na ścianach. Grube dywany.

Elewację trzeba by przemaalować, ale co z tego? Mogę to zrobić podczas urlopu, myśli Zeke. Kiedy człowiek mieszka w takim domu, nie ma żadnego powodu, żeby wyjeżdżać.

W kuchni lśnią zielone marmurowe płyty. To co innego niż te z laminatu w mieszkaniu przy Drottninggatan.

Zeke spogląda na miasto i zdaje sobie sprawę, że ten dom i życie, jakie symbolizuje, wydarzą się teraz albo nigdy. Młodszy już nie będzie. Słyszy, jak agentka zbliża się do niego, czuje jej dłoń na ramieniu, słyszy słowa.

– I co pan sądzi?

O czym? O tobie? O tym domu? O lokalizacji? O zarośniętej działce?

– Nie da się zaprzeczyć, że jest tu ładnie.

– Prawda? Pokazywałam tę willę wielu chętnym i spodziewam się, że w ciągu tygodnia ją sprzedam. Takie domy jak ten nie rosną na drzewach w Linköpingu.

– Wiem o tym.

Dziewczyna patrzy na niego. Piegi, trochę za okrągłe policzki. Brązowe włosy związane w kucyk.

– Jestem zainteresowany – oświadcza Zeke.

Pragnie się tutaj budzić z Karin i Tess, codziennie rano patrzeć na ten widok. Wkładać

garnitur i jechać do Saaba, być szefem bezpieczeństwa, kimś, kto dostaje zaproszenia na różne imprezy, kto siedzi na trybunie dla VIP-ów podczas meczów LHC i komu wszyscy mówią dzień dobry.

– Niech się pani do mnie odezwie, kiedy zacznie się składanie ofert.

Agentka marszczy brwi.

– Czyli ta willa mieści się w pana budżecie?

– Inaczej by mnie tu nie było – odpowiada krótko Zeke i wchodzi do salonu. Dociera do niego, że dziewczyna go sprawdziła, dotarła do jego policyjnej pensji, która nie wystarczy na ten widok ani na łazienki wyłożone włoskimi kafelkami.

Zeke się odwraca.

Kobieta w szarym kostiumie stoi w drzwiach na taras, widzi ją pod światło, czarna sylwetka. Zeke domyśla się jednak wyrazu jej twarzy. Jej mina mówi: marnujesz mój czas.

– Podejmuję pracę w Saabie – mówi do tej sylwetki. – Będę ich nowym szefem bezpieczeństwa, więc pieniądze nie stanowią problemu.

Johan Jakobsson przed chwilą rozmawiał przez telefon ze swoją córką Stellą. Rozłączył się i wstał, żeby rozprostować kości.

Rozpłakała się podczas rozmowy. Powiedziała, że pali ją w kolanie, a Johann miał ochotę rozwalić monitor.

Chce, żeby dostała morfinę. Nie może dłużej znieść jej cierpienia. Jego żona jest teraz w domu ze Stellą, pociesza ją, głaszcze po plecach, próbuje sprawić, by córka zapomniała o bólu, ale ból zawsze wygrywa.

Johan nienawidzi tej choroby. Nikogo nie czyni silniejszym. Zrobiłby wszystko, żeby tylko Stella wyzdrowiała.

Nie cofnąłbym się nawet przed zamordowaniem innego człowieka, myśli i przez chwilę zaczyna się bać samego siebie, bo wie, że to prawda. Gdyby na łóżku obok jęczącej z bólu Stelli leżał jakiś staruszek i jakaś siła wyższa dałaby Johanowi możliwość wyboru, zabiłby staruszkę w zamian za to, żeby jego córka wyzdrowiała.

Bez wahania.

Ta choroba wżera się we wszystko. Niszczy stawy, myśli. Ma wpływ na młodszego braciszka Stelli.

Autyzm, myśli Johan.

Jakie to musi być straszne, nie móc nawiązać kontaktu z własnym dzieckiem. Nieopisane cierpienie.

Przychodzi mu do głowy pewna absurdalna myśl. A jeśli Victor Dunsell miał autyzm, a Peggy zabiła go na łodzi, bo nie mogła dłużej znieść własnego cierpienia i cierpienia synka?

Odsuwa tę myśl od siebie. Czy byłby w stanie zabić Stellę?

Gdyby płonęła jak żywa pochodnia?

Nie, nie, nie.

Myśl o czymś innym.

Garden Society.

Agencja rekrutacyjna, która wysłała brata Michelle Persson w świat. Johan go sprawdził i to, co znalazł, zdziwiło go i zainteresowało. Było o tym trochę artykułów w prasie. Między innymi reportaż w dodatku świątecznym „Dagens Industri”.

Firma ma związki z Linköpingiem. Ponad dziesięć lat temu założyło ją dwóch

młodych mężczyzn, kiedy ich forma wspinaczkowa w Nepalu zbankrutowała.

Fredrik Sörblom i Nils Wallinder byli dwoma pasjonatami wspinaczki, którzy nie rozumieli, jak działa skorumpowana branża w jednym z najbardziej skorumpowanych krajów na świecie.

Ale z agencją rekrutacyjną poszło im dobrze.

Nawet bardzo dobrze.

Politycy nie wtrącali się w ich działalność. Nepal znajdował się w stanie politycznego rozkładu, w kraju było ogromne bezrobocie i niemal wszyscy chcieli pracować gdzieś za granicą. Wyrwać się do Arabii Saudyjskiej, Singapuru, Dubaju, Kataru i Indii. Powstrzymywanie ludzi za pomocą biurokratycznych metod byłoby politycznym samobójstwem.

Garden Society.

Że też nikomu z nich nie przyszło to wcześniej do głowy.

Po szwedzku to przecież Trädgårdsföreningen.

Nazwali firmę od parku w Linköpingu.

Większość informacji Johan znalazł w artykule w „Veckans Affärer” sprzed pięciu lat.

Fredrik Sörblom i Nils Wallinder pozują przed domem w Dosze: oto co zbudowali „nasi” robotnicy.

Założyli firmę z pomocą innego Szweda, niejakiego Dicka Bengtssona, który miał w stolicy Kataru odpowiednie kontakty, ponieważ prowadzi tam firmę wyspecjalizowaną w zwalczaniu pożarów gazu. Najwyraźniej on również pochodzi z Linköpingu i na początku kariery pracował ponoć jako strażak.

Dziś Garden Society działa w Nepalu, Pakistanie i na Filipinach dzięki sieci własnych biur oraz podwykonawców.

Johan rozprostowuje ręce. Znów siada przy komputerze. Otwiera artykuł.

Zdjęcia sportowych samochodów, wielkiego jachtu motorowego w marinie. Reporter, który odwiedził obu Szwedów w Dosze, wybrał się z nimi oraz ich rodzinami na lunch do klubu dla ludzi z Zachodu. Rzeki szampana i kobiety, które wyglądają jak żywcem wzięte z reklamy Louisa Vuittona. Na jednym ze zdjęć widać śliczną córeczkę Nilsa Wallindera, jest niemal równie urocza jak Stella.

Johan pociera oko. Myśli o tym, jak niewiele znaczą dla niego rzeczy materialne. Że o wiele ważniejsze jest to, jak my, ludzie, traktujemy siebie nawzajem.

Reporter zadaje Nilsowi Wallinderowi pytania o niewolniczą pracę i warunki życia robotników, ale ten zbywa to machnięciem ręki. „Mają dobre płace i pracują dziesięć godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu. Krócej niż wielu ludzi tutaj. Zupełnie w normie. W ich kwaterach jest klimatyzacja. W każdej chwili mogą wjeżdżać do kraju i z niego wyjeżdżać”.

Reporter najwyraźniej w tym potem nie grzebał, ale Johan surfuje dalej i znajduje kolejne artykuły, które świadczą o tym, że jest zupełnie inaczej.

Nie dotyczą konkretnie robotników z Garden Society, lecz ogólnej sytuacji.

Robotnicy z Dohy są właściwie niewolnikami. Granica jest tak subtelna, że prawie nie istnieje.

– Ciężko pracowałem – mówi Fredrik Sörblom na zakończenie artykułu. – Nadarzyła nam się okazja i z niej skorzystaliśmy. Dzięki naszej pomocy ludzie mają lepsze życie. Nigdy się tego nie wstydziałem. Wręcz przeciwnie.

Tak naprawdę nikomu nie pomagacie, myśli Johan. Usprawiedliwienia. Naprawdę sądzicie, że to komuś pomaga?

Fredrik Sörblom wygląda przez okno przyczepy.

Górskie czarnuchy dobrze pracują. Robili to przez cały dzień i wkrótce odłożą narzędzia i trochę odpoczną. Nawet oni nie dają rady harować więcej niż dwanaście godzin dziennie.

Muszą pracować do zmroku. Może jeszcze z pół godziny.

Jeden kładzie papę na dachu, dwóch innych obija deskami fasadę, czwarty ciągnie kable. Rozmawiają ze sobą spokojnie i Fredrik nie słyszy, co mówią. Drażni go to i ma ochotę do nich wyjść, powiedzieć, że przy pracy mają być cicho, bo wtedy więcej zrobią.

Cały pieprzony świat jest przeciwko mnie, myśli.

Kiedy z firmą zrobiło się naprawdę źle?

To było wtedy, kiedy ci cholerni Katarczycy zaczęli pobierać prowizję agencyjną od każdego robotnika i margines się skurczył. Nie dość im gazu, tego obłądnego bogactwa, które tryska z ich ziemi, choć zupełnie sobie na to nie zasłużyli. Stany Zjednoczone powinny ich okupować.

Z nowym marginesem nie dało się już spłacić kredytu, który on i Nils wzięli, by móc pożyczać pieniądze robotnikom. Jasne, pobieramy lichwiarskie odsetki, ale i tak nie możemy związać końca z końcem. Politycy z Nepalu, Pakistanu i Filipin nie zostawiają nas już w spokoju, czują, że mogą na tym zarobić dużo kasy.

I jeszcze te wszystkie pieprzone rzeczy. Dom w Dosze, mieszkanie w Singapurze, samochody, jacht, podróże, działka tutaj, budowa tego cholernego domu, długi na karcie kredytowej, których narobiła ta zdradliwa suka.

Mimo że jacht jest teraz wart jedną dziesiątą sumy, jaką za niego zapłacił, i tak nie może znaleźć na niego kupca, a kryzys sprawia, że utrzymanie dwudziestosiedmiometrowej łodzi jest zbyt kosztowne. Ci, których na to stać, chcą mieć jeszcze większe jachty.

Ostatnio nie mógł sobie nawet zapłacić ubezpieczenia chorobowego, a firmy ubezpieczeniowe nie dają kredytów.

Nils nie płaci swojego od dwóch lat.

Pomyśleć tylko, jak wszystko się posypało.

Myśli o swoim synu. Upłynęło półtora roku, odkąd ostatni raz go widział, chłopiec ma teraz sześć lat. Zabrała go ze sobą do Meksyku, do swego nowego faceta. Zmieniła telefon, adres e-mailowy, ale prawda jest taka, że nie próbował się z nią skontaktować. Ani z synkiem.

Kiedy o nim myśli, czuje się tak, jakby ktoś wrywał mu wnętrzności, więc lepiej w ogóle o nim nie myśleć. Najpierw ze wszystkim zrobić porządek, a dopiero potem się do tego zabrać.

Ci mężczyźni tutaj też mają na pewno synów, córki. Nawet nie ma sensu ich o to pytać. Jeśli będziemy dla siebie ludzcy, to wszystko stanie się jeszcze bardziej skomplikowane, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Widzi, jak kończą pracę. Powoli się zbierają. Potem gromadzą się na podwórzu,

kiwiają do siebie głowami i w milczeniu ruszają w stronę przyczepy. Każdy trzymając w ręce młotek, pochyłili głowy.

Fredrik miał przy sobie broń od chwili, gdy się obudził. Nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy. A teraz ogarnia go strach. Bierze śrutówkę z blatu przy zlewie.

Idą tu.

Muszę być stanowczy, zdecydowany. Nie ustępować.

Otwiera drzwi, wychodzi, mierzy do nich i krzyczy po nepalsku:

– Wracać do pracy!

Czterej mężczyźni zatrzymują się na podwórzu jakieś pięć metrów przed nim.

– Nie.

– Nie? – Fredrik Sörblom słyszy, jak szyderczo brzmi jego głos.

– Daj nam nasze wypłaty i paszporty, daj nam bilety, żebyśmy mogli stąd wyjechać.

Mamy dość.

Fredrik Sörblom spogląda w oczy ich przywódcy.

Tego, który robił najwięcej kłopotów. I włóczył się gdzieś po nocach.

Oczy mężczyzny są czarne, pełne determinacji, a jego chude ciało trzęsie się z wściekłości. Jest o głowę niższy ode mnie, myśli Fredrik, wszyscy są ode mnie niżsi, ale są silni i umieją się bić.

Ściskają swoje młotki, a Fredrik Sörblom odwodzi kurek śrutówki.

– Nigdzie nie pojedziecie, dopóki nie skończycie budowy.

– Przynieś nasze paszporty. Daj nam wypłatę.

Fredrik Sörblom się zastanawia.

Pieniądzy nie ma. Dać im paszporty? Co może na tym zyskać?

Na drugim brzegu Roxen pożar w fabryce trochę przygasł i w lśniącej tafli jeziora odbija się mroczne wieczorne niebo.

Wszyscy czterej robotnicy równocześnie postępują o krok do przodu. I jeszcze jeden.

– Czekaście – mówi Fredrik. – Dam wam to, czego chcecie.

Wycofuje się tyłem do przyczepy, zamyka drzwi na klucz, zrzuca poduszki z sofy, podnosi płytę i dokopuje się do sejfu. Wprowadza kod, sejf się otwiera; w środku leżą ich paszporty i jego ostatnie dolary.

Bierze wszystko i wychodzi na zewnątrz, nie zamykając sejfu.

– Macie.

Jedną ręką rzuca paszporty i pieniądze pod nogi mężczyzn, drugą trzymając broń, opiera kolbę o biodro.

– Zadowoleni?

Wiatr porывa dziesięciodolarowe banknoty i mężczyźni się rozbiegają, ścigają pieniądze po podwórku, nie troszcząc się o paszporty. Fredrik Sörblom zaczyna się śmiać. Wyglądają jak kury, myśli, i wykrzykuje to słowo po nepalsku.

Ich przywódca przestaje zbierać banknoty i teraz pędzi prosto na niego, z młotkiem uniesionym nad głową biegnie wprost na lufę śrutówki, jakby jej tam w ogóle nie było, jakby Fredrik Sörblom trzymał w ręce atrapę.

Z ust górskiego czarnucha wyrywa się gardłowy dźwięk.

Młotek.

Jeśli trafi mnie w głowę, już po mnie.

Kurwa.

– Stój, stój!

Ale mężczyzna dalej na mnie naciera, więc naciskam spust i cały świat staje się dźwiękiem, szara koszula robotnika rozrywa się, zabarwia czerwienią, a mężczyznę odrzuca do tyłu. Wytrzeszcza oczy, wygląda na zdumionego, ale gdy łąduje na żwirze podwórza w jego oczach nie ma już życia. Tylko pustka, jakby coś zniknęło, żeby już nigdy nie powrócić.

W ciele Fredrika Sörbloma tętni adrenalina.

Co ja narobiłem? Co ja narobiłem?

Tyle śmierci.

Widzi, jak na odgłos huku pozostali trzej się zatrzymują, przestają się uganiać za wirującymi po podwórku pieniędzmi. Spoglądają po sobie, chwilę się wahają, potem dwóch rzuca się w jego stronę i Fredrik znów naciska spust, trafia jednego w twarz. Mężczyzna pada na ziemię, jakby był robotem, którego odłączono od prądu.

Dwaj ostatni zamierają w bezruchu.

Fredrik Sörblom grozi im bronią. Znów naciska spust, ale śrutówka tylko klika.

Lufa jest pusta i na chwilę ogarnia go strach, że mężczyźni rzucą się na niego, ale zamiast tego się odwracają i zaczynają biec w górę po zboczu.

Fredrik Sörblom wpada do przyczepy, ładuje dwa nowe naboje, resztę zgarnia do kieszeni.

Rusza za nimi. Widzi ich na zboczu, już prawie na skraju lasu. Biegnie za nimi, ale są szybsi od niego, więc zatrzymuje się, celuje w tego, który jest bliżej, i naciska spust.

Na koszuli mężczyzny rozkwita czerwony kwiat. Robotnik macha rękoma, a potem pada do tyłu, stacza się po zboczu.

Fredrik Sörblom mierzy do ostatniego Nepalczyka.

Strzela, ale chybia.

Ponownie ładuje broń, oddaje strzał, ale nie trafia i teraz Nepalczyka nie widać już między drzewami.

Może go jednak trafiłem?

Fredrik biegnie za nim po zboczu i wpada w gęsty zagajnik, który ciągnie się aż do drogi do Stjärnorp. Ale nie widzi tego, którego ściga, zupełnie jakby sukinsyna pochłoniął las.

Zatrzymuje się.

Nasłuchuje.

Słyszy gdzieś dalej przed sobą łamane gałęzie.

Biegnie w stronę drogi. Jeśli ten Nepalczyk do niej dotrze i wyjdzie na asfalt, Fredrik będzie miał przerąbane. W każdej chwili będzie mógł się zatrzymać jakiś samochód, kierowca go zobaczy i uratuje.

Fredrik Sörblom dochodzi aż do drogi.

Ani śladu Nepalczyka.

Szlag by to trafił!

Przechodzi na drugą stronę i musi się rzucić do rowu, gdy przejeżdża jakiś samochód.

Potem przez godzinę kręci się po lesie, szuka zbiega. Próbuje sobie przypomnieć, jak robotnik miał na imię, ale zupełnie mu to wyleciało z głowy.

Szuka za powalonymi drzewami, w kępach paproci, w szczelinach skał. Widzi ślady krwi na ścieżce, ale nigdzie dalej nie prowadzą.

Faceta nigdzie nie ma.

Ale może być ranny, a wtedy pewnie umrze w lesie, myśli Fredrik Sörblom.

Wraca do domu.

Zwłoki leżą nieruchomo w świetle zmierzchu. Muchy zdążyły już obsiąść rany, natrętnie brzęczą.

Wyglądacie, jakbyście spali, myśli, patrząc na ciała.

Co ja zrobiłem?

Nogi odmawiają mu posłuszeństwa i osuwa się na schodki przyczepy. Odkłada broń na ziemię.

Jak tutaj trafiłem?

Linköping, Katmandu, Filipiny, skądkolwiek by zacząć, wszystkie drogi prowadzą tutaj, do tej chwili.

Muszę się tym zająć. Taki jestem. Facet, który potrafi sobie poradzić.

Nagle słyszy cichy jęk. Widzi, że mężczyzna leżący na zboczu poruszył ręką.

Fredrik Sörblom wstaje.

Sięga po broń. Wciąż ma w lufie jeden nabój.

Strzela dokładnie w pierś mężczyzny. Ignoruje utkwione w nim błagalne spojrzenie.

Ty albo ja.

Dopiero tutaj, dopiero teraz nauczyłem się, co to naprawdę znaczy.

Nigdy nie wrócimy do domu.

Widzimy samych siebie na podwórzu nad jeziorem, widzimy, jak taszczy nasze ciała.

W domu być może będą się zastanawiać, gdzie się podzialiśmy. Ale nikt nie będzie nas szukał. Nie ma na to pieniędzy, a ci, którzy je mają, nie chcą, żeby ktoś znał nasz los.

Nie tęsknij za mną, szepczę do mojej córki.

Byłem twoim tatą.

Nie tęsknij za mną, byłem twoim mężem, twoim synem, małym chłopcem, który kiedyś się bawił i nie miał pojęcia o świecie.

Góry w oddali. Białoszare na tle błękitnego nieba.

Nigdy nie wrócimy do domu i to od was, którzy wciąż żyjecie, zależy, czy ktoś opowie o krzywdach, jakie nas spotkały.

Są nas miliony.

Budujecie kosztem naszej krwi, naszych osieroconych dzieci, łez naszych przyjaciół.

Wydaje wam się, że kim jesteście?

Suthep Khanal błądzi po lesie. Oddycha. Czuje, jak płuca napełniają się powietrzem, jak się opróżniają, i nieustannie się rozgląda, próbuje widzieć wszystko, nawet to, co jest za nim. Nasłuchuje, czy Mister Fredrik jest blisko.

Pali go w boku pod żebrami, ból pulsuje i Suthep czuje, że krew spływa mu po nogach. Ile śrutu go trafiło?

Brnie naprzód.

Chwiejnym krokiem.

Myśli o swoim synku.

Muszę sobie poradzić. Ze względu na ciebie. Wrócę po ciebie. Może wciąż jesteś w tym domu dziecka, a wtedy cię zabiorę, zaopiekuję się tobą.

Mister Fredrik zaraz mnie dogoni, zabije mnie.

Nie chcę o tobie myśleć. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Czy to moja kara za to, że cię porzuciliśmy?

Zarośla szarpia mu łydki i czuje, że traci jeszcze więcej krwi. Teraz szybko robi się ciemno, a noce są tu czarne i zimne.

Chce mi się pić, myśli Suthep, ale muszę się bardziej od niego oddalić. Muszę biec, póki nie skończy się ten las. Jeśli wystarczy mi krwi.

Ból.

Musi przystanąć. Pochyla się do przodu, maca palcami pod koszulą, wyczuwa głęboką ranę.

Wydaje mu się, że między pniami drzew dostrzega twarze pozostałych. Płaczą i ponaglają go.

Musisz dać radę, mówią. Tylko ty możesz o nas opowiedzieć.

Jestem złym człowiekiem, chce im odpowiedzieć Suthep.

Opuściłem mojego synka.

Zrobiliśmy to, bo nie mieliśmy mu co dać jeść, był chory i nie mieliśmy leków, niczego nie mieliśmy, a wtedy człowiek robi to, co możliwe.

Musieliliśmy się wyrwać.

Wyjechać.

Więc zostawiliśmy cię samego na schodach.

A teraz wlokę się przez las, śmierć depcze mi po piętach i dociera do mnie, że może już nigdy cię nie zobaczę.

Jesteś zdrowy? A może ty też nie żyjesz?

Przeżyję.

Znajdę cię.

Suthep Khanal brnie dalej, jak najdalej od lufy śrutówki, w stronę, w którą prowadzą go głosy duchów.

Głębiej, głębiej, głębiej.

Dalej, jak najdalej.

Tsingtsen. Jeszcze oddychasz.

Tove głaszcze go po piersi, chce pomóc mu unieść żebra, napełnić płuca powietrzem.

– Nie przeżyje nocy – powiedziała jedna z angielskich zakonnice. – Posiedź z nim.

Na ulicy zaparkował samochód. Z jego reflektorów sączy się do pokoju różowe światło, a szum silnika wkrada się w samotność. Gdzieś w oddali słychać uderzenia młotki, jakby ogłaszały: to nie jest jedyny pokój na świecie.

Ale teraz tak się wydaje.

Mogę tutaj siedzieć, myśli Tove, i dotrzymywać ci towarzystwa, kiedy umierasz. Potem mogę odejść, znaleźć inne pokoje, ale teraz to ty jesteś ważny, ta kamienna podłoga, ściany, twoje ciało jak siatka żył, i serce, które wciąż bije, choć nie powinno już mieć na to siły.

– Możesz na mnie polegać – mówi Tove. – Nie opuszczę cię.

Nad posterunkiem zapadł zmrok. Większość już wyszła, ale Johan Jakobsson wciąż siedzi przy komputerze i szuka. Nie ma siły wracać do domu.

Nils Wallinder nie jest zameldowany w Szwecji, Fredrik Sörblom też nie.

To wszystko może być jakoś powiązane. Śmierć Michelle, jej brat, który ponoć został zrekrutowany przez firmę przypadkiem prowadzoną przez dwóch mężczyzn pochodzących z Linköpingu.

Coś w tym może być.

A to znaczy, że Johan nie musi iść do domu.

Wpisuje nazwisko Nilsa Wallindera do rejestru nieruchomości.

Żadnego trafienia.

Ale przy Fredriku Sörblomie pojawia się trafienie, Stjärnorpsvägen 644 i Johan szuka tego adresu w Google Maps. Nie znajduje. Odszukuje go natomiast na zwyczajnej mapie i wygląda na to, że to niezabudowana działka nad samą wodą, nad brzegiem jeziora Roxen. Jest położona w ustronnym miejscu. Johan wchodzi do rejestru miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego i stwierdza, że faktycznie wydano pozwolenie na zabudowę działki.

Może trwa tam budowa domu?

Dzwoni telefon.

To jego żona.

Johan nie odbiera i minutę później odbiera esemesa.

„Wracaj do domu. Stella o ciebie pyta”.

Johan wstaje.

Może warto sprawdzić tę budowę? To strzał w ciemno, ale może Fredrik Sörblom tam będzie i będą mogli mu zadać kilka pytań.

Jedzie do domu. Na miejscu od razu siada przy komputerze. Wchodzi na pewną stronę farmaceutyczną z siedzibą w Holandii, wie, że można tam zamówić lekkie preparaty z morfiną.

Są drogie.

Pięćdziesiąt euro za tabletkę, ale co tam, kurwa. Co innego mieliby robić ze swoimi pieniędzmi? Zostało im jeszcze trochę ze spadku po teściu Johana.

To, co teraz robi, jest nielegalne, ale wie, że ryzyko, by paczkę zatrzymały służby celne, jest niewielkie. Strona jest znana z wypisywania deklaracji, które nie budzą podejrzeń.

Kilka minut później kupuje morfinę dla Stelli za piętnaście tysięcy koron.

W wyobraźni widzi, jak jej twarz się rozluźnia. Jak odpływa i przenosi się w jakieś lepsze miejsce, gdzie nie ma bólu.

Jeśli tabletki będą za słabe, będzie mogła brać ich więcej.

Spogląda na zegar.

Peggy Dunzell powinna już być w domu. Samolot linii SAS z Kopenhagi ląduje na lotnisku Saab Airport o dwudziestej pierwszej.

Po powrocie do domu Malin nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wyszła pobiegać i teraz stoi pochylona do przodu przy wejściu na klatkę schodową domu przy Ågatan. Oddycha, czuje po treningu metaliczny posmak w ustach i chętnie by zwymiotowała, gdyby mogła.

Widzi nogi gości wchodzących do pubu na parterze budynku, z ogródka przy lokalu czuje zapach piwa.

Jedno.

Jedno małe.

Nie.

Prostuje plecy, oddycha jeszcze przez chwilę, potem wyciąga telefon.

Zanim opuściła posterunek, Johan opowiedział jej, co znalazł. Wspomniał o Dicku Bengtssonie, który ponoć pracował w Linköpingu jako strażak, a potem założył własną firmę w krajach arabskich. Kiedy jej stopy rytmicznie uderzały o ziemię nad brzegiem Stångån, przysła jej do głowy pewna myśl. Może Janne wie, kto to?

Wyszukuje numer, dzwoni.

Janne odbiera po piątym sygnale i Malin słyszy, że jest zdyszany. Wydaje się zakłopotany, kiedy mówi:

– Dzwonisz trochę nie w porę. Mogę oddzwonić za pięć minut?

– Wolałabym nie. To ważne.

Słyszy kobiecy chichot w tle i przed jej oczami pojawia się obraz Jannego i młodszej kobiety, ich splecionych ciał. Malin ma ochotę rąbnąć tę sukę w pysk.

Niby dlaczego?

Paulina jest w porządku. Są ze sobą już od dawna. Fajnie, że wciąż uprawiają seks. A Janne na pewno odebrał, bo myślał, że chodzi o Tove.

– Dobra – wzdycha Janne. – Czego chcesz?

– Dick Bengtsson – mówi Malin. – Ponoć był strażakiem tu w mieście. Wiesz coś o nim?

Janne milczy, a Malin kilka razy głęboko oddycha, ociera pot z czoła.

– Wiem, kto to – mówi Janne. – W pierwszym roku w straży pracowaliśmy razem. Potem wyjechał do Dohy i założył firmę, która gasi pożary ropy i gazu. Ponoć się na tym bardzo wzbogacił. Kilka razy mnie pytał, czy chcę tam pojechać i dla niego pracować. To cholernie dobrze płatne, ale Doha? Trudno mi sobie wyobrazić gorsze miejsce na świecie.

I ty to mówisz, myśli Malin, choć byłeś w Bośni i Rwandzie, kiedy sytuacja była najtrudniejsza.

Ludzie siedzący w ogródku patrzą na nią. Wyglądają na zadowolonych, że w ciepły jesienny wieczór mogą siedzieć i popijać piwo, zamiast biegać.

Nawet nie mają pojęcia, jak bardzo mają rację, myśli Malin.

– Nic więcej o nim nie wiesz? O agencji rekrutacyjnej dla gastarbeiterów w Azji, którą mógł sfinansować?

– Skąd miałbym to wiedzieć, Malin?

– Chodź już – słyhać głos w tle.

– Może z nim rozmawiałeś?

– Nic więcej nie wiem – mówi Janne i się rozłącza.

Kiedy Malin wchodzi do mieszkania, ma ochotę porozmawiać z Tove na Skypie, ale zamiast tego masuje plecy Danielowi. Daniel ma napięte mięśnie, siada na krześle w kuchni, a Malin mocno wciska łokcie między jego łopatki, ale guzki nie dają się rozmasować.

Czy to może być rak? Powinien to sprawdzić.

– Doskonale. Naciśnij mocniej.

– Pomaga ci?

– Miejmy nadzieję.

Malin uciska jeszcze mocniej i guzki znikają.

To nie żaden rak.

Jesteś wariatką, Malin. Wariatką.

– Jutro rano idę do psychologa.

– Myślałam, że dziś tam byłeś.

– Zadzwoiła i przesunęła termin. – Daniel wzdycha. – A ty? Umówiłaś się? Zastanawiałaś się chociaż nad tym?

– Zdaję sobie sprawę, że może trochę za bardzo się o ciebie boję, ale staram się, Daniel. Dzisiaj nie dzwoniłam, prawda? Porozmawiałam o tym ze Svenem i jest mi lepiej.

– Sven nie jest psychologiem.

Malin nie odpowiada, tylko jeszcze mocniej uciska mu plecy.

– Au! Cholera, nie tak mocno!

– Pomaga tylko wtedy, kiedy boli – mówi Malin. – Oboje o tym wiemy.

Johan wyłącza komputer i zastanawia się, czy powinien od razu zadzwonić do Malin albo kogoś z pozostałych. Poprosić ich, by pojechali na działkę Fredrika Sörbloma, sprawdzili, czy go tam zastaną, czy coś z tego wyniknie.

Ale to może poczekać.

Trudno to traktować jak trop w śledztwie, to raczej ślepa uliczka, którą trzeba mimo wszystko zbadać. Nigdy nie wiadomo, kiedy i jak śledztwo postanowi się przed nimi otworzyć.

Może teraz.

Nie ma znaczenia, że nie znalazł żadnego związku między Peggy Dunzell a Michelle Persson. I tak musi z nią porozmawiać, osobiście ją o to zapytać.

Wie, że powinien zadzwonić do Malin i spytać, czy chce z nim pojechać. Ale pewnie będzie uważała, że z tym przesłuchaniem można poczekać do jutra.

Ja tak nie uważam.

Willę w Sättunie oświetlają silne lampy. Jak katedrę albo zamek.

W oknach też pali się światło, więc prawdopodobnie Peggy Dunzell jest w domu.

Słaby wiatr od strony Roxen lekko porusza koronami drzew w ogrodzie.

Johan Jakobsson wchodzi po schodach do drzwi; kolumny podtrzymujące daszek nad wejściem sprawiają, że czuje się mały.

Pod marynarką uciska go kabura z pistoletem.

Dzwoni.

Czeka.

Dzwoni ponownie.

Za drzwiami nie słyhać żadnego ruchu. Ale Peggy tam jest, Johan wie o tym.

Przechodzi na tyły domu. Na zadbanych rabatach róże przywiedły, gigantyczny trawnik jest świeżo skoszony.

Schody na werandę. Wchodzi po nich, zagląda przez okno do salonu, a tam w czerwonym fotelu siedzi Peggy Dunzell.

Śpi. Głęboko. Jej ciało wydaje się zmęczone i ciężkie. Na stoliku obok niej stoi butelka.

Johan puka w szybę, ma nadzieję, że kobieta się obudzi. Puka raz, dwa, trzy razy, ale kobieta nawet nie drgnie. Podchodzi do drzwi i sprawdza.

Otwarte.

Wejść czy poczekać do jutra? Czy to aż takie pilne?

Ale już tu jestem.

I Johan Jakobsson naciska kłamkę, wchodzi do salonu i zbliża się do Peggy Dunzell.

Jest ubrana w szary kostium. Spodnie, marynarka.

– Peggy, Peggy! PEGGY!

Kobieta podskakuje i zanim Johan zdąży zareagować, otwiera oczy, sięga pod siebie i wyjmuję pistolet.

Wpatruje się w niego.

Mierzy prosto w jego twarz i Johan się cofa.

Jeden krok, drugi, i zastanawia się, czy Peggy się obudziła, czy dopiero się budzi, czy może nadal śni.

Nie strzelaj.

Nie strzelaj.

Co mam powiedzieć?

– Peggy, jestem z policji. Chcę tylko z tobą porozmawiać. W porządku?

Peggy Dunzell milczy, wciąż do niego mierzy.

Co z nią? Johan czuje, jak w jego ciele uwalnia się adrenalina, jak przemaga strach i powoli przesuwa rękę w stronę kabury pistoletu.

Nagle kobieta mruga. Powoli, długo. Jej spojrzenie się zmienia i Johan widzi, że jest zalana. Wymęczona, jakby płakała i piła, póki nie zasnęła.

– Chcę o czymś opowiedzieć – mówi Peggy i opuszcza broń. Odkłada ją powoli na podłogę.

A może nie jest pijana. Z alkoholikami czasem trudno być pewnym.

Wpatruje się w Johana. Jakby wiedziała, dlaczego przyszedł, jakby się spodziewała, że policja wróci.

– Jestem Johan Jakobsson. Inspektor policji kryminalnej.

Peggy kiwa głową.

Johan się zastanawia, jak najlepiej do tego podejść, zaczyna daleko od sedna sprawy.

– Twoja firma – mówi. – Produkowaliście na Filipinach?

Peggy Dunzell wzdycha. Sięga po butelkę, ale zatrzymuje się w pół ruchu.

– Nie. Tylko w Chinach.

Nie dziwi się, dlaczego o to spytał.

– Znałaś Michelle Persson? Tę kobietę, którą znaleziono zamordowaną w lasku Ryd?

– To o to chodzi? Nie znałam jej. Nie wiedziałam nawet, że istnieje.

Johan ciągnie:

– Powiedziałaś nam, że twój syn zmarł na raka, ale doszliśmy do tego, że zginął w wypadku. Który może nie był wcale wypadkiem. Dlaczego nas okłamałaś?

Peggy Dunzell zamyka oczy. Kilka razy oddycha głęboko i znów je otwiera. Wygląda prawie tak, jakby miała się zsunąć z fotela, tak ciężkie i zmęczone wydaje się jej ciało.

– Wiedziałaś, że to wszystko mnie kiedyś dogoni. Kiedy znaleziono tego chłopca w kontenerze, byłam pewna, że ta chwila nadeszła.

– Dlaczego kłamałaś?

– Nie miałam siły powiedzieć prawdy. Wiele razy opowiadałam tę historię o raku.

– Zabiłaś swojego syna? – Johan wie, że to pytanie to strzał w ciemno. – Tam, na łodzi?

– Krzyczał na całe gardło przez trzy godziny. A wcześniej krzyczał przez dziewięć lat.

– Przerywa. Po chwili dodaje: – Straciłam kontrolę.

Johan patrzy w podłogę.

– Uderzyłam go wiosłem w głowę. Nie dawałam już rady. Nie mogłam patrzeć, jak cierpi, jak trudno mu się przystosować do tego świata.

– Minęło ponad trzydzieści lat. Możesz o tym powiedzieć.

– To na nic – wzdycha kobieta.

– Zabiłaś też Lukasa Klaséna, żeby jeszcze raz to przeżyć? Może polubiłaś to uczucie, że masz władzę nad czyimś życiem?

Peggy Dunzell kręci głową. Patrzy na niego z powątpiewaniem. Jak można być takim idiotą?

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tego chłopca.

I Johan jej wierzy. Kiwa głową.

– Ale zabiłam własnego syna – mówi Peggy. – Zabiłam go. I będę się za to smażyć w piekle.

Peggy Dunzell się pochyla. Sięga po pistolet.

Johan chce rzucić się w jej stronę, kopnąć broń, zanim kobieta jej dosięgnie, ale nie jest w stanie się ruszyć.

Peggy chwytą pistolet.

Siada.

Potem przysuwa go do skroni i naciska spust.

SOBOTA, OSIEMNASTY SIERPANIA

Suthep Khanal znalazł powalony świerk i ukrył się za nim. Chłód jest mu nieobcy, ale choć dni tutaj są ciepłe, w nocy jest przenikliwie wilgotno.

Nikt po niego nie przyszedł.

Słyszał hałasy w lesie, trzask łamanych gałązek, ale to nie były odgłosy człowieka. Las się porusza. Po jego ciele pełzają mrówki i pająki, a suche świerkowe gałązki dają mu ciepło.

Krew.

Wszędzie krew. Wypływa ze mnie i chce mi się pić.

Dudnienie w uszach. Mister Fredrik.

Tutaj mnie nie znajdzie.

Chociaż jeśli ma psa, może mnie wytropić, znajdzie mnie i zabije, tak jak pozostałych.

Suthep nie chce o nich myśleć. Kręci mu się w głowie z bólu i od utraty krwi i chce spać, ale sen do niego nie przychodzi, śni tylko na jawie. O górskich stokach wiosną, gdzie drobne białe i czerwone kwiatki wystrzeliwały z ziemi mimo chłodu. I widzi ją, jedyną kobietę, którą kochał.

Ich syn. Pojadę po ciebie. Obiecuję.

Teraz są tu pozostali.

Czuję ich obecność, myśli.

Są niespokojni, na zawsze utknęli w świecie, do którego nigdy nie będą przynależeć.

Szepczą:

Opowiedz o nas.

Przeżyj.

Nie mogę tak leżeć. Suthep Khanal się dźwiga, opuszcza kryjówkę, rusza dalej w las, wyciąga przed siebie ręce, żeby nie nadziać się na jakieś drzewo lub nie wpaść w gąszcz. Myśli: jeśli będę szedł przed siebie, las się kiedyś skończy. Muszę dotrzeć do jakiejś polany albo drogi. A może w tym kraju lasy nie mają końca?

Zlizuje krople wody z liścia paproci. Czuje, jak na kilka sekund wraca mu trochę sił. Naprzód.

Muszę iść dalej.

Pod osłoną ciemności Fredrik Sörblom zebrał w jednym miejscu zwłoki trzech nepalskich robotników. Zaciągnął je na stertę biało-czerwonych bel wełny izolacyjnej, przykrył kilkoma belami, a potem rozciągnął nad wszystkim niebieski brezent. Starannie pozakrywał wszystkie ślady krwi.

Teraz siedzi w przyczepie. Nie chce spać, nie może; myśli, że powinien wyjść i pogrzebać zwłoki, wykopać doły w lesie, tak żeby nigdy ich nie znaleziono. W tej chwili nie da jednak rady tego zrobić. Jego ciało jest wysrane z sił. Próbuje zjeść trochę makaronu instant, ale udaje mu się przełknąć tylko kęs.

Wyciąga się jak długi na sofie, czuje na karku szorstką zieloną tkaninę i zamyka oczy. W wyobraźni widzi ścianę lodu, hak i słyszy swój oddech w masce tlenowej.

W górę.

Dalej.

Otwiera oczy. Wstaje, bierze śrutówkę i latarkę i rusza do lasu.

Ma wiele problemów.

Jeden z nich musi rozwiązać teraz.

– SUTHEP!

Suthep Khanal słyszy, jak ten szalony głos woła go przez las. Teraz po mnie przyjdzie? Idzie po mnie i umrę tutaj, zastrzeli mnie.

Nie chcę umierać, chcę do mojego syna.

– SUTHEP!

Głos się zbliża.

– WYJDŹ, nie zrobię ci krzywdy.

Suthep widzi zbliżające się światło latarki, promień w ciemności niosący śmierć. Jakieś dziesięć metrów od niego.

– SUTHEP!

Rzuca się na ziemię, słyszy głuchy odgłos łamanych gałązek. Widzi, że snop światła się zatrzymuje, słyszy oddech Mister Fredrika, zbliżającą się śmierć.

– Jesteś tu? Wyjdź do mnie. Przyniosłem ci jedzenie. Dojdziemy z tym jakoś do ładu. Dostaniesz pieniądze pozostałych.

Suthep wciska się w poszycie. Czuje poruszające się mrówki, to że świat żyje.

I nagle stożek światła znów się przesuwa. Sunie prosto na niego.

Fredrik Sörblom idzie w stronę, z której przed chwilą słyszał podejrzanego odgłosy.

Milczy. Oświetla ziemię latarką, odbezpieczył broń, a las pachnie żywicą, wczesną jesienią i gnijącymi liśćmi.

Jest już bliżej miejsca, z którego słyszał te dźwięki.

Unosi latarkę.

Las.

Pusty las.

Nasłuchuje. Słyszy czyjś oddech? Nie, cała przyroda jest tutaj jak płuca. Idzie dalej, patrzy prosto przed siebie, na ziemię, ale jest tak kurewsko ciemno.

But Mister Fredrika wgniata mech przy uchu Suthepa Khanala.

Jak długo już wstrzymuję oddech?

Dwie minuty.

Rozsadzi mnie od środka.

Idź dalej.

Słyszy oddech mężczyzny, który go szuka. Niemal czuje jego zapach. Jeśli Mister Fredrik teraz spojrzy w dół, poświeci na ziemię, już po mnie. Mister Fredrik wypowiada mnóstwo słów w swoim języku. Odwraca się, stawia drugi but przy swoim uchu, ale nie patrzy w dół. Zawraca.

Ktoś nade mną czuwa.

Zeke skręca w lewo i zjeżdżają w stronę Roxen, kierują się pod adres, który Johan Jakobsson podał im na krótkim porannym spotkaniu.

Wykończony Johan, myśli Malin.

Spędził pół nocy w Sättunie z technikiem, Göranem Möllerem i kilkoma mundurowymi.

Roztrzęsiony Johan.

Jakby w tej willi nad brzegiem Roxen spotkał najgłębszy mrok, jaki tkwi w nim samym.

Wyjaśniła się stara sprawa. I nic poza tym. Przedawniła się w 2009, przyznanie się Peggy Dunsell zostanie zawarte w raporcie, który – jak Malin ma nadzieję – nigdy nie trafi do mediów.

Wykluczyli ją jako podejrzaną w ich sprawie. Gdyby miała cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami, najprawdopodobniej przed śmiercią przyznałaby się również do tego. Poza tym nie miała żadnego motywu, żeby zamordować Michelle.

Peggy miała dość życia.

Trawiła ją rozpacz i poczucie winy.

Teraz skupiła się na powiązaniach z Garden Society.

To naciągane, myśli Malin. Wszystkie te powiązania z Garden Society i Fredrikiem Sörblomem, który posiada tu ponoć działkę z pozwoleniem na zabudowę. Ale w tej chwili ten odległy związek z ofiarą jest naszym jedynym punktem zaczepienia.

Może znajdą tam pustą działkę.

Jedno wielkie nic.

Jest kolejne nieprawdopodobnie piękne przedpołudnie. Niebo ma jesienny, lodowato błękitny kolor, zwodzi oko. Na zewnątrz jest już dwadzieścia stopni i między pożółkłymi koronami drzew w lesie Malin dostrzega zielone migotanie Roxen.

Muliste jezioro.

Trudno się w nim kąpać, a latem jest tu pełno glonów.

Wyjeżdżają z lasu, jeszcze raz skręcają i Malin widzi budowę, dom wznoszony pięćdziesiąt metrów od brzegu, bałagan na działce, sterty materiałów budowlanych, niebieski brezent który, jak się zdaje, zakrywa bele wełny izolacyjnej, i przyczepę, w której oknie pali się słabe światło.

Zeke parkuje.

Wysiadają.

Panuje tu dziwna cisza i Malin instynktownie przesuwa rękę w stronę kabury.

Spokojnie.

Mamy po prostu pogadać z tym, kto znajduje się w tej przyczepie.

Może to Fredrik Sörblom.

Fredrika Sörbloma obudził dźwięk silnika zbliżającego się samochodu.

Gdzie ja jestem?

Nie w domu w Dosze. Jestem tu, w przyczepie.

Odgłos ucichł. Kto przyjechał? Nie spodziewam się żadnej dostawy.

Fredrik siada na sofie, widzi, że w nocy zapomniał zgasić lampę. Czyli w końcu zasnąłem, myśli.

Ogarnia go strach. Czy nocą nie zwiało brezentu?

Wstaje, sięga po broń. Czuje w dłoni zimny metal, wygląda przez okno i widzi dwoje obcych ludzi przy białym samochodzie. Blondynka około czterdziestki, dość ładna, w dżinsach, białej bluzce i cienkiej czarnej marynarce. Mężczyzna. Wygląda na groźniejszego, jest wysoki, ma ogoloną głowę i twarz przypominającą trupa czaszkę.

Policja.

Są z policji. Znaleźli Suthepa? Przyprowadził ich tutaj? Ale wtedy zjawiliby się ich więcej. A może chodzi o to drugie?

W ostatnich dniach nawet się nad tym nie zastanawiał.

Bierze śrutówkę.

Dobrze leży mu w ręce.

Kobieta idzie teraz w stronę przyczepy.

Fredrik mierzy w drzwi.

Malin ostrożnie zbliża się do przyczepy. Nie podoba jej się cisza, jaka tutaj panuje. Jest w tym coś dziwnego, jakby to miejsce było opuszczone i zamieszkane równocześnie. Jakby opuszczono je w pośpiechu w obliczu zbliżającej się katastrofy.

Równocześnie ciszę przepełniają głosy, ale Malin nie potrafi zrozumieć ich szeptów.

Zbyt wiele głosów.

Czy jednym z nich jest głos Lukasa?

Michelle?

– Halo! – woła Zeke za jej plecami. – Jest tu kto? Jesteśmy z policji, chcemy tylko zadać kilka pytań.

Malin dostrzega jakiś ruch za oknem przyczepy, znów sięga do kabury pod pachą, ale właściwie dlaczego?

Jestem za bardzo rozdygotana.

Jeśli ten Fredrik Sörblom tu jest, to przecież to człowiek sukcesu, który coś w życiu osiągnął. Założył firmę za granicą. Ilu się coś takiego udaje? Dlaczego miałby być niebezpieczny?

Wygląda na to, że trwa tu budowa. Leżą narzędzia. Ale Malin nie dostrzega żadnych robotników.

– Ktoś jest w przyczepie – mówi do Zekego.

– No to zapukajmy.

Ale zanim Malin to robi, drzwi nagle się otwierają. Malin unosi ręce w obronnym geście, odskakuje do tyłu i czuje, jak napinają jej się mięśnie brzucha.

– Przestraszyłem panią? – Uśmiecha się do niej jasnowłosa wysoki mężczyzna w drzwiach. – Nie chciałem.

Wygląda na bardzo zmęczonego. W jego oczach widać napięcie i agresję.

Musimy być ostrożni, myśli Malin i zerka na Zekego, który zdążył już podejść i stoi obok niej. Wygląda, jakby myślał o tym samym.

– Fredrik Sörblom? – pyta Malin.

Mężczyzna kiwa głową i zamyka za sobą drzwi.

– To ja.

Robi kilka kroków, staje przed nimi na szeroko rozstawionych nogach.

– Możemy panu zadać kilka pytań? – zwraca się do niego Zeke.

– Naturalnie. O co chodzi?

Zeke wyjaśnia, że brat zamordowanej Michelle Persson pracuje w Dosze i że został ponoć zrekrutowany przez agencję Sörbloma, Garden Society. Że zaciekał ich związek z Linköpingiem.

Fredrik Sörblom wydaje się szczerze zdumiony, jakby zupełnie nie miał o tym pojęcia. Kiwa głową, przestępuje z nogi na nogę, wygląda, jakby musiał się wysilać, by zrozumieć, co do niego mówią.

Wydaje się zdenerwowany, myśli Malin, ma ochotę wejść do przyczepy, zobaczyć, co jest w środku. Ale nie mają prawa tego zrobić.

Oczywiście zawsze mogą zapytać.

– Coś takiego – dziwi się Fredrik Sörblom, gdy Zeke kończy. – Co za dziwny zbieg okoliczności. Przykro mi, że muszę was rozczarować, ale nigdy o żadnym z nich nie słyszałem. Oczywiście czytałem o zamordowaniu tej kobiety i chłopca, ale nie miałem pojęcia o żadnym związku z naszą firmą.

– Czyli uważa pan, że to po prostu przypadek?

Malin stara się, by zabrzmiało to swobodnie, jak zwykłe pytanie.

– A czym innym miałyby być?

– Rozumiem, że według pana to się wydaje naciągane, ale w takim śledztwie musimy sprawdzić wszystko – wyjaśnia Malin.

– Szanuję to. Chętnie wam pomogę. – Mężczyzna zagryza wargę, zdaje się zastanawiać. – Pomogłem dziesiątkom tysięcy robotników z Nepalu, Filipin i wielu innych miejsc wyjechać w świat i podjąć pracę. Ale poznałem tylko bardzo nielicznych. Nawet nie wiem, kim jest ten człowiek.

Przez chwilę stoją w milczeniu.

– Co robił pan w nocy z niedzieli na poniedziałek? – pyta Malin.

– Byłem tutaj.

– Sam?

– Tak.

Nie ma alibi, myśli Malin i widzi stadko jaskółek odlatujących na południe. Przelatują nisko nad drzewami i dalej nad Roxen, pod światło stają się maleńkimi, roziskrzonymi punktami.

– Piękne miejsce pan tutaj znalazł – mówi.

– Długo szukałem. Chciałem jakoś wrócić w te okolice.

– Ma pan rodzinę w mieście?

– Nie. Bardziej chodziło mi o miejsce. Powrót w strony, gdzie się wychowałem.

Żeby pokazać wszystkim, jak się wzbogaciłeś, myśli Malin.

– Duży dom – stwierdza Zeke i Malin nie chce słyszeć tonu zazdrości w jego głosie.

Fredrik Sörblom się uśmiecha.

– Za duży. Zamierzam go sprzedać, kiedy będzie gotowy.

Malin myśli, że jego słowa brzmią fałszywie, jest bogaczem, który dorobił się na nieszczęściu innych. Żaden dom nigdy nie będzie dla niego za wielki.

– Będzie piękny – mówi Zeke. – Gdzie pana robotnicy?

– Część robię sam, zatrudniam też ekipę Polaków. Dzisiaj przychodzą trochę później. To oni pracują na budowie. Oczywiście całkowicie legalnie.

– Mogę zajrzeć do przyczepy, zobaczyć, jak wygląda? Zastanawiam się, czy sobie takiej nie kupić – mówi Malin.

Zauważa, że Fredrik Sörblom chce odmówić, jego ramiona się unoszą. Ale chyba rozumie, że nie może jej tego zabronić.

– Pewnie. W środku jest bałagan, ale jasne.

Pot nad jego górną wargą.

Co ukrywasz? – zastanawia się Malin, idąc w stronę przyczepy i właśnie ma otworzyć drzwi, kiedy dzwoni telefon.

Daniel.

Czego może chcieć?

Nie mogę teraz odebrać.

Ale potem przypomina sobie, że musiał dopiero co wyjść od psychologa. Zamierza odebrać. Nie chce, żeby czekał. To ważniejsze niż jakiś dziwny kaprys, oglądanie tej pieprzonej przyczepy.

Pozwala, by komórka dzwoniła, odwraca się, zastanawia się, czy widzi ulgę na twarzy mężczyzny. Ale nie. Teraz wydaje się całkiem spokojny, pewnie niczego tam w środku nie ukrywa, dlaczego miałby to robić?

– Wie pan co? Rozmyśliłam się.

– Jak pani sobie życzy – odpowiada Fredrik Sörblom.

Idąc w stronę samochodu, Malin odbiera rozmowę.

– Daniel? Jak było?

Słyszy jego spokojny oddech po drugiej stronie.

– Psycholodzy. Coś mi w tym wszystkim nie pasuje. Nie wiem, czy wierzę, że można się pozbyć problemów gadaniem.

Wydaje się zmęczony, ale nie zrezygnowany.

– Czyli było w porządku?

– Tak, w porządku.

– Będiesz tam chodził?

– Umówiłem się na przyszły tydzień o tej samej porze.

Malin się uśmiecha. Daniel tego potrzebuje, ona nie jest w stanie pomóc mu wydobyć się z tej traumy. Była jej częścią.

– To dobrze – mówi. –Widzimy się wieczorem w domu.

– Tak.

– Jedźmy – mówi Zeke.

Kiedy Malin zatrzaskuje drzwi samochodu, patrzy na stertę bali wełny izolacyjnej pod niebieskim brezentem i zastanawia się, czy nie ma pod nim czegoś jeszcze. Wydaje jej się, że dostrzega jakieś bardziej nieregularne kształty, ale może to kawałki pociętej izolacji.

Znad jeziora ciągnie słaba woń zgnilizny.

Może przez ten pożar w Tornby pozdychały ryby w Roxen, myśli.

Kiedy patrzy na przyczepę we wstecznym lusterku, żałuje swojej decyzji. Powinni byli tam zajrzeć. Ma ochotę poprosić Zekego, by zatrzymał samochód, ale daje sobie spokój.

Fredrik Sörblom nie może uwierzyć, że miał takie szczęście. Uratowała go dzwoniąca komórka.

Kiedy wychodził na spotkanie policjantom, nie schował śrutówki. Gdyby ta kobieta weszła do środka, zobaczyłaby broń. Posiadanie broni w domu samo w sobie nie jest nielegalne, ale na pewno zaczęłaby się zastanawiać, czy ma pozwolenie.

Drażyc.

Rozglądać się.

Może by podeszła do sterty wełny izolacyjnej.

Doświadczenia z wspinaczki znowu mu pomogły, wytrzymał, skupił się, zachował się racjonalnie, chociaż był zdenerwowany. Pomimo strachu.

Spogląda w stronę brezentu.

Pora się do tego zabrać.

Może Suthep nigdy nie wyjdzie z tego lasu, może utknął w jakieś szczelinie albo pod powalonym drzewem. Leży i powoli umiera z pragnienia, wykrwawia się, jeśli został postrzelony.

Fredrik Sörblom schodzi na dół, na teren budowy. Wie, w którym pomieszczeniu leży piła szablata. Zabiera ją na podwórze. Potem w skwarze coraz wyżej stojącego słońca wyciąga spod brezentu pierwsze ciało. Smród gryzie w nos, a widok martwych oczu przyprawia go o mdłości, ale trzeba to zrobić.

Jestem w stanie to zrobić.

Uruchamia piłę i gdy przysuwa ją do zwłok, waha się.

Nie dam rady.

Nie ma mowy.

Ale muszę.

A więc to robi i jest zdumiony tym, jak niewiele krwi wypływa ze sztywnego ciała.

Zabiera mu to dwie godziny, a gdy kończy, odrzuca piłę na bele wełny izolacyjnej.

Ukryje fragmenty zwłok w kilku miejscach powyżej zbocza. Wykopie parę dołów. Powinien zanieść je głębiej w las, ale jest wyczerpany, a w pobliżu domu będzie mógł mieć wszystko na oku, zadbać, żeby nikt się nie zbliżył do miejsc, w których zakopał zwłoki.

Będzie mógł ogrodzić nieruchomość, żeby nikt się tam nie szwendał, kiedy go tu nie będzie.

Pozwoli, żeby ziemia zatarła niemal wszystkie ślady tych ludzi.

Ludzi, których nigdy nie było. Pozostanie tylko niejasne wspomnienie w świadomości garstki innych.

*P*ila nie zadała nam bólu. Nie cierpieliśmy, patrząc, jak nasze ciała zostają rozcłonkowane. Ale bolało nas patrzenie na twoją podłość.

Kiedyś przyjdzie twoja kolej, Mister Fredrik. Możesz być tego pewny.

Zakopałeś nasze szczątki w lesie powyżej zbrocza. W dołach głębokich na metr, gdzie nie dosięgną ich żadne drapieżniki.

Ten, kto kupi twój dom, kupi cmentarzysko.

Suthep.

Myślisz, że już po nim. Że nie żyje. Ale nie jesteś tego pewien i teraz znów zapuszczasz się w las i wołasz go po imieniu.

On cię nie słyszy. Jest daleko.

Nie wie o tym, ale zatacza kręgi, więc zbliżacie się do siebie.

Bądź ostrożny, Suthep.

Bądź ostrożny.

Pij, mamó, pij, póki do mnie nie przyjdiesz.

Shukam taty, on do mnie przyjdzie, wiem o tym. Przyjdzie.

Widzę cię na sofie w mieszkaniu. Dużo wypiałś, ale nie śpisz. Trzymasz moje zdjęcie i pijesz.

Nigdy mnie nie odzyskasz. Ale może się dowiesz, co mi się stało w lasku Ryd.

Chcesz to wiedzieć? To okropne i może będziesz tak dużo pić, że przyjdiesz do mnie.

Chcę tego, mamó. Żebyśmy ja, ty i tata byli rodziną, żebyśmy się razem unosili w białej przestrzeni i czuli, że wszystko jest dobre i że jesteśmy ważni na swój własny sposób.

Spaliłam się w lesie. Ktoś uderzył mnie w głowę metalową rurką.

Ale kto?

Arvid? Jimmy? Nie, żaden z nich.

Widzę cię, Rosito, moja wytęskniona siostró. Siedzisz w autobusie z głową opartą o szybę. Na bilet wydałaś prawie wszystkie pieniądze, jakie ci zostały, ale musisz dotrzeć pod ten adres, który dostałaś, do człowieka, który tam mieszka.

Fredrik Sörblom.

Jedź do niego.

Wyjaśnij to.

Przywróć mi spokój.

Powtarzasz jego nazwisko jak mantrę, kiedy resory sprawiają, że autobus kołysze się na asfalcie.

Sörblom, Sörblom, Sörblom.

Znów go słyszę. Woła mnie: Suthep, Suthep.

Suthep odwraca się, znów biegnie w głąb lasu jak ścigane zwierzę. A może z niego ucieknę?

Musi być z niego jakieś wyjście. Suthep ma skurcze, dudni mu w uszach i wszystko widzi podwójnie.

Musi się napić. Coś zjeść.

Krew musi przestać płynąć. Już niewiele mi jej zostało, myśli. Ale on mnie nigdy nie złapie.

W wyobraźni Suthep widzi twarz swojego synka.

Spokojną twarz śpiącego dziecka, kiedy porzucili go nocą pod sierocińcem numer 144.

Znajdę cię, myśli.

Znów będę dla ciebie tatą.

Wciąż oddycha, przetrwał noc, ale nie zostało mu wiele godzin. Dla Tsingtsena nie ma pomocy, myśli Tove, nie ma leków, nie ma samolotu, który go stąd zabierze.

Teraz leży zupełnie nieruchomo. Jedynym ruchem jest oddech, ostatnie co opuszcza człowieka.

Chłopiec oddycha i Tove chce płakać, ale wie, że to nie ma sensu.

Za ścianami szumi miasto. Ludzie poruszają się w tę i z powrotem.

Trwa życie pośrodku śmierci. Tak jak zawsze.

Karim Akbar urządza konferencję prasową. Ubrany w ciemnoszary garnitur właściwie nic nie mówi, powołuje się na tajemnicę śledztwa. Na pytanie wprost, czy są bliscy przełomu, odpowiada:

– Tak, zdecydowanie. Wiele na to wskazuje.

Patrzy na tłum dziennikarzy w sali sądowej, z której korzystają przy takich okazjach, i myśli, że kłamie.

Śledztwo utknęło w miejscu.

Do niczego nie doszli, ale równocześnie Karin ma przeczucie, że niedługo coś eksploduje, że prawda ukaże swoją szkaradną twarz.

Więc może jednak nie kłamie?

Börje Svärd i Elin Sand przesłuchują ludzi z osiedla willowego półtora kilometra od miejsca zbrodni. Co mogło zostać przeoczone? Johan Jakobsson przesiaduje przy komputerze. Malin i Zeke jeszcze raz rozmawiają z matką Lukasa Klaséna. Ma takiego kaca, że Malin przypomina sobie swoje najgorsze chwile, ale mimo to czuje zazdrość i ma ochotę się napić.

Czy to nie porąbane? – myśli Malin w małym brudnym mieszkanku. Zastanawia się, czy skończy tak jak matka Lucasa, samotna, tylko z jednym życzeniem w oczach. Żeby zapisać się na śmierć.

Linda Klasén opowiada o pogrzebie syna. Ma się odbyć za tydzień. W Kaplicy Zmartwychwstania.

– Nie zostanie skremowany – mówi. – Nie chcę tego.

I Malin myśli, że wybierze się na pogrzeb. Chce tam być, choć nie rozumie dlaczego i nawet się nad tym nie zastanawia.

Göran Möller sporządził wielką mapę myśli na ścianie w swoim gabinecie.

Nepal.

Doha.

Manila.

Sättuna.

Gärstad.

Lasek Ryd.

Brzeg Roxen.

Budowy. Stadion piłkarski. Niewolnicza praca. Samotny chłopiec. Sprzątaczką z Filipin.

Rysuje kreski między różnymi punktami mapy, miejscami i słowami. Próbuje ujrzeć całość w szczegółach i na odwrót, usiłuje się dopatrzeć jakiegoś wzorca.

Dodaje dwie firmy.

Garden Society.

Hangzhou Corporation.

Nowe linie.

Wprowadza na mapę wszystkie nazwiska ze śledztwa.

Lukas i Linda.

Jimmy Persson.

Arvid Stenstål.

Opiekunka społeczna, babcia.

Michelle. Jej matka, rodzeństwo.

Marlon Rodriguez.

Nils Wallinder. Fredrik Sörblom.

Zaznacza Nilsa Wallindera trzema punktami: jednym przy Linköpingu, drugim w Nepalu i trzecim w Dosze i wtedy coś się wydarza. Następuje niemal nieuchwytnie zagęszczenie linii, jakby śledztwo przesunęło się w stronę Nilsa Wallindera.

Gdzie jest ten facet?

W Dosze? Musimy spróbować skontaktować się również z nim.

Göran Möller widzi, że zrobiło się już ciemno. Nawet nie zauważył, jak upłynęły te godziny. W Linköpingu znów jest wieczór, a on tęskni za domem, za swoim łóżkiem.

SOBOTA OSIEMNASTY WRZEŚNIA,

NIEDZIELA DZIEWIĘTNASTY WRZEŚNIA Rosita Sánchez zasnęła. Linköping, to miasto tak daleko na północy, jest końcowym przystankiem autobusu, więc odważyła się zdrzemnąć. Obudzi się, kiedy będą na miejscu. Noc z piątku na sobotę przespała w parku w Malmö. Wyruszyła dalej dopiero wczesnym wieczorem w sobotę. Chciała jechać od razu w piątek, ale na ten przejazd bilet był o wiele tańszy i tylko na to starczyło jej pieniędzy.

Teraz śni.

Śni o płomieniach. Są smokiem, który chce ją pożreć, ściga ją przez dżunglę. Nie może się z niej wydostać.

Chce się obudzić.

Nie chce, by smok ją schwytał, by kule ognia z jego paszczy spaliły ją tak jak Michelle.

Ale smok ją dogania i wszystko staje się zarem, a potem zapada ciemność.

Malin budzi dzwonek do drzwi. Rozlega się raz, dwa razy.

Daniel śpi głęboko, nie budzi się. Jego pierś unosi się i opada.

Malin zsuwa kołdrę, wkłada szlafrok.

Zerka na budzik.

Pierwsza czterdzieści pięć.

Kto to może być?

Idzie na palcach do przedpokoju.

Kolejny dzwonek.

Wygląda przez wizjer. Po drugiej stronie stoi Åsa Klasén. Babcia Lukasa. Wydaje się wzburzona. Czego chce? Nie otworzę. Nie ma mowy. Ale mimo to Malin otwiera i zanim ma szansę się odezwać, Åsa Klasén mówi: – Co robicie dla Lukasa? Co?! Wy też macie go gdzieś? Bo kiedy czytam gazety, odnoszę takie wrażenie.

Malin unosi rękę. To sen, czy rzeczywistość?

Ale przecież nie śpię, Åsa Klasén jest prawdziwa, tak samo jak rozpacz w jej oczach.

– Spokojnie – mówi Malin. Patrzy na babcię Lukasa, na krótkie, rozjaśnione włosy. Jest pijana? Nie, tylko smutna. – Chce pani wejść?

Åsa Klasén kiwa głową.

Minutę później siedzą przy kuchennej wyspie z kubkami kawy. Malin powoli opowiada o śledztwie, o ich pracy i o tym, do czego doszli, ale stara się za wiele nie zdradzać.

Kobieta słucha. Gdy Malin kończy, mówi:

– Przepraszam, że tak panią nachodzę. Ale musiałam, ze względu na Lukasa. Rozumie to pani?

Malin kiwa głową.

– Rozumiem – mówi i spogląda na ciemną noc za oknem.

Wokół jest zupełnie ciemno, gdy Suthep Khanal opuszcza swoją ostatnią kryjówkę, głęboką, przypominającą grotę rozpadlinę w szarej skale.

Może być środek nocy, wczesny wieczór albo zaraz zacznie świtać. A może jest środek dnia. Już nie wie. Ale pewnie późna noc.

Nie krwawi już z boku. Pali go jednak śrut w ranach.

Czy jestem daleko od innych ludzi?

Napił się wody z małego strumyczka, ale zaraz zwymiotował. Bał się jeść jagody, które znalazł. Pomyślał, że mogą być trujące, a zresztą i tak nie mógłby ich zbierać, bo trzęsą mu się ręce, a wzrok zawodzi.

Przewraca się. Kaleczy sobie kolana i rozcina łuk brwiowy i czuje krew spływającą po twarzy.

A więc wciąż mam krew.

Ale ona wrze.

Muszę iść naprzód.

Muszę, dla was i dla siebie.

Podnosi się z wysiłkiem, idzie. Unosi nogę, stawia stopę.

Jak długo? Pięć minut, godzinę.

W końcu dociera na otwartą przestrzeń. To niebo się otwiera czy może las? Wpada w coś mokrego, oddycha i czuje, że woda napęcza płuca. Jezioro. Topię się. Odrzuca głowę do tyłu i znów chwyta powietrze.

Wspina się po długim zboczu. Potem czuje pod sobą skałę, jest niemal letnia i tutaj jest już jaśniej, czy to słońce?

To pode mną to asfalt.

Droga.

Suthep Khanal leży na drodze, zbliża się jakiś samochód. Suthep czuje wibracje rozchodzące się po ziemi.

Trzęsie się.

Krwawi.

To, co uważa za słońce, jest mrokiem, światłem, które wyniszcza go od środka.

Ale samochód, który się zatrzymuje, jest rzeczywisty, podobnie jak mężczyzna, który z niego wysiada. Zbliża się do leżącego na drodze Suthepa.

Rosita Sánchez wysiada z autobusu. Miał spóźnienie. Pod jakimś Jönköpingiem zepsuł się silnik.

Ping.

W tym kraju wszystkie miasta mają w nazwie ping.

Spogląda na zegar na słupie. Jest tuż po drugiej, a noc jest chłodna i wilgotna.

W jedną stronę cztery tory kolejowe, po obu stronach budynki przemysłowe z brązowej cegły.

W drugą stronę hotel i park.

Autobusy.

Potężne jarzeniówki rzucają wibrujące światło na ławki pod szklanymi wiatami. Nadjeżdża pociąg i zatrzymuje się na najbliższym torze.

Trochę dalej Rosita widzi budynek dworca z czerwonej cegły. Otwarty kiosk.

Żołądek skręca jej się z głodu, ale nie ma pieniędzy na jedzenie. Nie stać jej na taksówkę ani na autobus.

Mam własne nogi, myśli i rusza w kierunku, gdzie, jak sądzi, znajduje się wskazany adres. Na mapie, którą oglądała w Internecie, zanim wyjechała z Hamburga, wydawało się, że to daleko od miasta. Na jakiejś równinie, za jeziorem i małym skupiskiem domów, potem prosto w las i znów nad jezioro.

Niesie walizkę. Próbuje nie myśleć o niczym innym prócz tego, że da radę. Pod tym względem przypomina to pracę w willi, u państwa. Chodziło o to, żeby dać radę. Dotrwać do końca dnia.

Ale ten dzień nie przypomina żadnego innego.

Dzisiaj pomszczę moją siostrę.

Rudolf Svenberg widzi, że coś porusza się na jezdni. Myślał że to jakaś przejechana sarna albo duży borsuk, a jeśli człowiek widzi, że zwierzę się porusza, trzeba się zatrzymać.

Zakończyć jego cierpienia.

Robił to wiele razy, a lewar, który ma w bagażniku, doskonale się do tego nadaje.

Ale tym razem to nie zwierzę leży na drodze, tylko człowiek. I ten człowiek leży teraz na tylnym siedzeniu, na kocu, żeby niczego nie zakrwawił.

Żyje, ale ledwie. Ma dziwnie azjatycki wygląd, niemal jak Mongoł i jest ubrany jak robotnik budowlany. To teraz Mongołowie wyparli Polaków? Nic o tym nie słyszałem.

Rudolf Svenberg przez całą karierę był poborcą podatkowym, ale tak naprawdę chciał pracować w lesie. Zawsze czuł się lepiej wśród drzew i zwierząt i gdy natrafił na tego człowieka, wracał z domku letniskowego, który mają w Stjärnorp. Pracował tam do późna, tapetował sypialnię.

Mężczyzna się trząsł, Bóg raczy wiedzieć, jak długo błąkał się po lesie i jak się tam znalazł.

Był cały zakrwawiony. Rany w boku wyglądały jak po śrucie.

Ktoś go postrzelił.

Wszedł w drogę jakiemuś myśliwemu?

Twarz i dłonie są pokaleczone, ubranie podarte.

Rudolf Svenberg dał mu wody. I mężczyzna się napił. Ale teraz wymiotuje tam z tyłu. Musi dostać wodę, widać to po jego poszarzałej twarzy. Odwodnienie wysysa z niego życie.

Musi dostać kroplówkę. W tym stanie nie może w inny sposób przyswajać płynów.

Kiedy Rudolf Svenberg skręca za klasztorem Vreta, dociska gaz do dechy.

Trzeba się śpieszyć.

Dowieźć go do szpitala. Inaczej ten człowiek może umrzeć.

Przy Abisko mija kobietę, która niesie ciężką walizkę. Wygląda, jakby wiedziała, dokąd się wybiera, ale mimo to wydaje się całkowicie zagubiona.

Mam nadzieję, że ktoś cię podwiezie, myśli Rudolf Svenberg i słyszy, jak mężczyzna na tylnym siedzeniu z trudem łapie oddech.

Nie poddawaj się. Niedługo będziemy na miejscu.

Fredrik Sörblom sprząta szopę, w której mieszkały górskie czarnuchy. Rzuca ich rzeczy na stertę na działce.

Komórki.

Ale nie paszporty.

Mogą być coś warte.

Tyle śmieci. Nie ma siły przeszukiwać ich portfeli, patrzeć na rodzinne zdjęcia, które na pewno tam są, więc wszystko polewa benzyną.

Podpala.

Pozwala, by płomienie unicestwiły ostatnie pozostałości ich życia.

Gdyby tylko mieli więcej cierpliwości i go posłuchali.

Gdyby nie byli tacy cholernie pazerni, wciąż by żyli.

Ogień oświecła działkę.

Drzewa zdają się niemal pochyłać w stronę płomieni i Fredrik przez chwilę się boi, że budowany dom zapali się od jakiejś iskry.

Nie chce myśleć o Suthepie.

Ale jeśli nawet wyjdzie z lasu i ktoś mu pomoże, zawsze będzie mógł wszystkiemu zaprzeczyć.

Dostali pieniądze na bilety lotnicze, łączy ich ze mną jedynie firma, ale to niczego nie dowodzi. Nikt ich tutaj nie widział. Ja nic nie wiem.

Siada na schodkach przyczepy. Patrzy, jak ogień się dopala, rzeczy obracają się w popiół.

Spod wejścia do nieukończonego domu ciągnie wąż. Potem zalewa popiół wodą i dym wije się w ciemności. Na polanie nad jeziorem jest zupełnie ciemno, a za jego plecami przyczepa lśni jak statek z jakiegoś nieznanego świata.

Łopatą przerzuca popiół do wiader, wynosi je do lasu i rozsypuje w różnych miejscach wokół pogrzebanych szczątków.

Może ich też powinienem był spalić, myśli.

Może i tak.

To by było najbardziej logiczne.

Nawet nie przyszło mi to do głowy. Poza tym smród niósłby się daleko, a teraz są

dobrze ukryci.

Rozsypuje ostatnie wiadro popiołu.

Teraz ich nie ma.

Nigdy ich nie było.

Rosita Sánchez nie uniosła kciuka, ale mimo to samochód się zatrzymuje. Za kierownicą siedzi jakaś młoda kobieta. Pyta o coś w tym dziwnym języku.

– *I do not understand.*

– *Do you want a lift? You should not be walking out here in the middle of the night.*

Let me take you were you are going.

Kobieta wygląda na miłą.

Rosita Sánchez wsiada do samochodu, pokazuje jej karteczkę, na której zapisała adres.

– Wiem, gdzie to jest – mówi kobieta. – Tylko trochę nadłożę drogi. Często jeżdżę konno w tej okolicy. Budują tam przepiękny dom. Widziałam go, kiedy płynęłam łodzią po jeziorze. Znasz właścicieli?

Rosita kręci głową.

– Moja siostra dla nich pracuje – odpowiada. I ta miła kobieta chyba wierzy w jej kłamstwo.

Dwadzieścia minut później samochód się zatrzymuje na drodze powyżej budowy.

– Idź prosto tą drogą – mówi kobieta. – Jakies pięćset metrów. To droga prywatna, nie mogę tam wjechać.

Rosita Sánchez otwiera drzwi i wysiada.

Mężczyzna, który leży na jednej z sal Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej Szpitala Uniwersyteckiego, jest obrzęknięty. Jego ciało wygląda, jakby wpompowano w niego pięćdziesiąt litrów wody, i to mniej więcej zrobili lekarze.

To z izby przyjęć powiadomiono policję, poinformowano o przyjęciu do szpitala odwodnionego mężczyzny z raną postrzałową, który został znaleziony ledwie żywy na leśnej drodze w Stjärnorp.

Tak jak Maria Murvall, pomyślała w pierwszej chwili Malin, kiedy Göran zadzwonił i ją obudził. Poprosił ją, żeby zabrała Zekego i żeby pojechali do szpitala.

Te lasy.

Wszystko może się z nich wynurzyć.

Okaleczona, zbrukana, przywrócona do życia z jakiegoś świata poza naszym.

Maria Murvall wciąż przebywa w szpitalu w Vadstene. Malin była tam pół roku temu. Kiedy weszła do pokoju, wyraz twarzy Marii nawet się nie zmienił, wpatrywała się tylko przed siebie pustym wzrokiem, jakby na zawsze skończyła z tym światem i czekała tylko na tę chwilę, kiedy będzie mogła go opuścić.

Mężczyzna leżący w łóżku jest z Nepalu.

Powiedział, jak się nazywa: Suthep Khanal.

A potem powiedział ponoć: Oni nie żyją. Wszyscy nie żyją.

Według lekarki, z którą przed chwilą rozmawiali, wkrótce będzie operowany, stracił dużo krwi. Jest w kiepskim stanie, ale dojdzie do siebie. Musieli czekać kilka godzin, aż była w stanie z nimi porozmawiać, i teraz już prawie świta.

Zeke stoi w drzwiach sali. Lekarka powiedziała, żeby za bardzo nie naciskali, pacjent będzie potrzebował sił przed operacją. Ale zrozumiała, jakie ważne jest to przesłuchanie. Zgodziła się.

Malin powoli podchodzi do łóżka. Patrzy na twarz mężczyzny, na jego szeroki nos, ogorzałą skórę i popękane wargi.

Jest przytomny. Jego ciemne oczy przyciągają ją do siebie, usta się poruszają.

– *I speak English.*

– No to porozmawiamy po angielsku. Jestem Malin Fors. Z policji.

Malin siada na krześle obok niego, kładzie dłoń na jego przedramieniu, uważa, żeby nie dotknąć żadnej z pięciu plastikowych rurek podłączonych do jego ciała. W szyi ma duży wenflon, pewnie po to, żeby wpompować mu do serca adrenalinę, gdyby sytuacja stała się krytyczna.

– Kto cię postrzelił? – pyta cicho Malin.

– Mister Fredrik.

– Kto to jest Mister Fredrik?

– Ten, który nas tu sprowadził, żebyśmy zbudowali mu dom pod lasem, nad jeziorem. Zapomniałem adresu.

Malin ma wrażenie, że wokół jej klatki piersiowej owija się wąż.

Fredrik. Dom nad jeziorem.

To musi być Sörblom.

– Fredrik Sörblom cię postrzelił?

– Tak. I strzelał też do innych, oni nie żyją.

– Kto nie żyje?

Suthep Khanal recytuje trzy nazwiska, które dla Malin brzmią jak przypadkowe dźwięki. Kiedy je wypowiada, spogląda gdzieś ponad nią, jakby ci ludzie unosili się niewidzialni w tym pokoju.

– To twoi przyjaciele?

– Przyjechaliśmy tu zbudować mu dom. I kiedy poprosiliśmy o nasze wypłaty i paszporty, zaczął do nas strzelać. Pozostali nie żyją. Ścigał mnie po lesie. Ale uciekłem. Zabici leżą przy jego domu.

Przecucia, to wrażenie nad jeziorem. Że coś jest nie tak. Już nigdy nie zignoruję tego uczucia, myśli Malin. Powinnam była wejść do tej przyczepy, sprawdzić, co leżało pod niebieskim brezentem. Może to były zwłoki, zabici, o których mówi ten mężczyzna?

Zeke zamknął drzwi i zbliża się do łóżka. Malin dostrzega niepokój w oczach Suthepa.

– Nie bój się, on też jest z policji.

Jak to wszystko się ze sobą łączy? – myśli Malin.

– Sprowadził was tutaj z Nepalu?

– Z Dohy. Pracowaliśmy tam, jego firma nas tam wysłała.

– Co tam robiliście?

– Budowaliśmy Stadium Four.

Ten sam stadion, przy którym pracował brat Michelle. Ten, z którym nie da się skontaktować w Katarze.

– Poznałeś tam jakiegoś Alberta Sáncheza? To Filipińczyk. Ponoć też pracował na tej budowie.

– Wiem, kto to. Był narwany. Protestował. Ja się trzymałem z dala od takich rzeczy.

Musimy jechać do Stjärnorp, myśli Malin. Musimy zgarnąć Fredrika Sörbloma, przeczesać okolicę. Jestem pewna, że Suthep mówi prawdę.

Na salę wchodzi lekarka.

– Będzie teraz operowany. Musicie już kończyć.

Malin się odwraca, próbuje bezskutecznie zapanować nad irytacją.

– Jeszcze tylko kilka pytań. Może chodzić o morderstwo.

Lekarka się zatrzymuje, wydaje się nieprzywykła do tego, by ktoś jej się sprzeciwiał, do tego, by ktoś mówił o morderstwie jak o czymś, co stało się naprawdę.

Pacjent rzezi i kaszle z wysiłkiem, a jednak lekarka niechętnie się zgadza.

– Strzelał do nas. Oni nie żyją, musicie go złapać.

– Znasz Michelle Persson? Albo Lukasa Klaséna?

– Nie.

Suthep ma rozbiegane spojrzenie, nagle unosi ręce i jedna z rurek wysuwa się z wenflonu.

– Dość tego – mówi lekarka. – Przesłuchanie skończone.

– Dziękuję. – Malin wstaje z krzesła przy łóżku Khanala. – Nie bój się. Złapiemy go.

Suthep zamyka oczy. Znow je otwiera, wydaje się pragnąć zatrzymać Malin spojrzeniem.

– Wróć do synka – mówi. – Będę dobrym ojcem.

Malin kiwa głową.

Potem ona i Zeke wychodzą z pokoju.

Rosita Sánchez czeka na skraju lasu, tuż poza granicą działki. W oknie przyczepy pali się światło. W blasku świtu nieukończony dom nad jeziorem wygląda monstrualnie. Kto potrzebuje takiego wielkiego domu?

Nikt.

Ale tu w Europie nigdy nie pracowała w mniejszym.

Gdy dotarła nad jezioro, opuściła ją odwaga. To wszystko nie jest jednak takie proste.

On mnie zabije, spali mnie.

Stała tak godzinami, zbierała się w sobie. Próbowwała tchnąć odwagę w każdy miesiąc. Myślała o filmie, na którym jej siostra płonie, próbowała sobie przypomnieć Michelle jako dziewczynkę. I teraz Rosita już wie, po co tu przybyła; nie żeby się zemścić, tylko żeby poznać odpowiedź.

Inaczej Michelle nigdy nie zazna spokoju. Ja też nie.

Walizka stoi obok niej. Najchętniej osunęłaby się na miękką, świeżo rozkopaną ziemię i zasnęła.

Ale nie może teraz spać.

Musi to zrobić.

Fredrik Sörblom.

Nazwisko na karteczce.

Zostawia walizkę i rusza w stronę przyczepy. Czuje, jak trzęsą jej się ręce. On na pewno jest w środku, myśli.

Malin i Zeke jadą szybko, w milczeniu, w stronę lasu przy Stjärnorp. Równina Östgöta rozciąga się w słabym porannym świetle, słońce powoli wspina się nad horyzont i gdy mijają Sättunę Malin widzi zarysy budowy na drugim brzegu Roxen.

Pozwala myślom swobodnie płynąć. Z początku chce zapytać Zekego, czy przyjmie tę ofertę pracy. Nie chce jednak, żeby wyszło na to, że to dla niej ważne. Zostawia ten temat.

Zamiast tego próbuje dostrzec jakiś wzorzec, który wciąż jej się wymyka. Czy Fredrik Sörblom zabił też Michelle, bo jej brat próbował wszcząć bunt na budowie w Dosze? Czy nagrał to i zamieścił film na YouTube jako ostrzeżenie dla innych robotników? Jeśli będziecie się stawiać, zrobimy coś takiego waszym bliskim.

The slaves you need.

Mógł napisać to zdanie, żeby ich zmylić.

Albo nie.

A teraz ponoć zamordował trzech nepalskich robotników budujących dom, który wczoraj widzieliśmy.

Budowa nie stała w miejscu, zupełnie niedawno ktoś tam był i pracował.

Polacy?

Fredrik Sörblom na pewno skłamał. Ściągnął tutaj Nepalczyków.

Musimy go zgarnąć, przeczesać plac budowy, pobrać jego odciski palców, żeby się dowiedzieć, czy to on trzymał tę metalową rurkę, którą zabito Lukasa i Michelle. Sprawdzić, co Suthep Khanal miał na myśli, mówiąc, że zastrzelił też pozostałych.

Malin ma piasek pod powiekami, ale adrenalina sprawia, że nie chce jej się spać. Kiedy dojeżdżają do klasztoru Vreta, prosi Zekego, żeby jechał jeszcze szybciej.

- Będzie dobrze, jeśli dotrzemy tam żywi – mówi Zeke.
- Musimy się śpieszyć. Mam przeczucie, że musimy się cholernie śpieszyć.

Rosita Sánchez spogląda na jezioro, woda jest czarna w porannym świetle. Muszę mieć broń. Natychmiast.

Idzie w stronę budowy. W ciemnych pokojach szuka czegoś ciężkiego. Podnosi kawał drewna, waży w dłoni, odkłada. W jednym z pokoi sąsiadujących przez ścianę z przyszłą kuchnią znajduje młotek. Gumowa rękojeść jest miękka w dotyku, ciężar jej odpowiada. Wykonuje zamach w powietrzu. Mogę tego użyć. Mogę zrobić to, co muszę. Kiedy już poznam odpowiedź.

Ale myśl o czynie w niej zamiera.

Odpowiedź jest ważniejsza.

Pociągnę go do odpowiedzialności. Opowie mi o tym, co zrobił i dlaczego.

Przywołuje w myślach obraz Michelle i Alberta. Jak pluskają się w falach na Luzon. Mają jakieś sześć, siedem, może dziewięć lat. To był czas zabawy, świat wciąż był dla nich piękną zamkniętą muszlą.

Mocno zaciska palce na młotku i rusza w stronę przyczepy.

Fredrik Sörblom słyszy kroki, wie, że na działce ktoś jest. Bierze śrutówkę i wygląda przez okno. Przed chwilą otworzył sejf, spalił paszporty, ma gdzieś, czy są coś warte. Musi się też pozbyć piły, wcześniej o niej zapomniał.

Czy to Suthep wrócił? Odważył się tutaj przyjść?

Fredrik się nie boi. Ktokolwiek przyszedł, poradzi sobie z nim. Trzeba to wszystko doprowadzić do końca.

Każdy brud można wyprać.

Jeszcze można wszystko uratować.

Nagle uginają się pod nim nogi.

Widzi w wyobraźni zabitych i wstyd i poczucie winy jak ogromna dłoń zaciskają się na jego wnętrznościach, jakby chciały wyrwać je z ciała, zmienić w słowa.

Oddycha z trudem. Zmusza się, by wrócić do teraźniejszości.

Okno.

To kobieta.

Ma czarne włosy. Jest ubrana w dżinsy i czerwoną wiatrówkę, w ręce trzyma młotek.

Kim ona jest?

Czego chce?

Od razu ją zastrzelę.

Ręka szarpiąca wnętrzności.

Już nie dam rady.

Dam radę, muszę.

Unosi broń, może zastrzelić ją przez szybę. Z tej odległości chmura śrutu ją przepołowi.

Rosita Sánchez widzi lufę broni w oknie, ale się nie cofa, tylko krzyczy po angielsku: – Chcę jedynie poznać odpowiedź. Nie strzelaj, chcę tylko poznać odpowiedź. Jestem

siostrą Michelle i chcę tylko poznać odpowiedź.

Na dźwięk imienia Michelle lufa powoli opada. Postać, która ją trzyma, znika z okna i kilka sekund później drzwi przyczepy się otwierają.

– Wejdź – mówi znużony męski głos.

Rosita się nie waha, Gdyby chciał ją zastrzelić, już by to zrobił.

Wchodzi do środka.

I widzi go, mężczyznę, z którym przybyła się spotkać. Siedzi na sofie ze śrutówką na kolanach. Jest wysoki i ma nieogoloną, obrzmiałą twarz. W pierwszej chwili Rosita myśli, że jest pijany, ale potem widzi, że ten mężczyzna, który pewnie jest Fredrikiem Sörblomem, jest tylko zmęczony, bardziej zmęczony niż jakikolwiek człowiek, jakiego w życiu widziała. Głowę trzyma opuszczoną, jak ktoś, kogo przytłacza poczucie winy.

Widzi bałagan na blacie przy zlewie, niedojedzony makaron, butelki po coca-coli, puste puszki po konserwach.

– Nie zastrzelę cię – mówi mężczyzna. – Nic ci nie zrobię.

– To ty jesteś Fredrik Sörblom?

Dziwi się, że głos nie odmawia jej posłuszeństwa, ale zaraz uświadamia sobie, że się nie boi, nawet się nie denerwuje. W tej chwili powinna być tutaj i nigdzie indziej.

Teraz już się nie waha.

– Czyli jesteś siostrą Michelle Persson?

– Tak.

– Jak tu trafiłaś?

Fredrik Sörblom prawie ziewa, kiedy zadaje to pytanie, ale w jego głosie nie słychać zmęczenia, raczej przejęcie.

– Dostałam e-mail, w którym było napisane, że zabiłeś moją siostrę. A w innym e-mailu był film, na którym widać było, jak ktoś ją podpalił.

Fredrik Sörblom patrzy na nią.

Ona również jest bardzo zmęczona, chciałaby usiąść i Fredrik to widzi. Wskazuje na krzesło stojące przy drzwiach do sypialnej części przyczepy.

– Usiądź tam.

Michelle powoli podchodzi do krzesła, siada, młotek zwisa jej z ręki, próbuje udawać rozluźnioną. W rzeczywistości jest gotowa rzucić się na człowieka, który zabił jej siostrę. Jest gotowa roztrzaskać mu czaszkę.

– Zrobiłeś to? Zabiłeś moją siostrę?

– Pozwól mi wyjaśnić – prosi Fredrik. – Pozwól mi wyjaśnić.

– Po prostu odpowiedz na pytanie.

– Właśnie to zamierzam zrobić.

Rosita mocniej ściska młotek. Na co mi jego wyjaśnienia?

– Powinnaś wiedzieć o jednym – mówi z namysłem mężczyzna. – Zginęła, bo ludzie chcą zarabiać pieniądze.

– Zabiłeś Michelle, żeby zarobić?

Fredrik ledwie dostrzegalnie kiwa głową.

– Zginęła, bo ludzie chcą zarabiać pieniądze – powtarza.

Potem przeczesuje palcami przetłuszczone jasne włosy, odsuwa dłonie daleko od broni leżącej na kolanach i Rosita myśli: Teraz. Teraz mam szansę.

– Masz brata, prawda?

– Tak.

– Pracuje na budowie w Dosze? Buduje stadion piłkarski?

Rosita kiwa głową.

– I lubi sprawiać kłopoty, co?

Mimowolnie szepcze:

– Tak.

– Twój brat nie żyje. Już go nie ma.

I Rosita Sánchez chce rzucić się na niego, rozerwać go na kawałki, zmiażdżyć mu twarz.

Alberto, Alberto.

Chce krzyczeć, ale rozsądek bierze górę, wie, że musi posłuchać, co Fredrik Sörblom ma jej do powiedzenia.

Spowiada mi się, myśli. Jestem jego księdzem i wydaje mu się, że jeśli się przede mną wypowiada, odzyska spokój, ale usmaży się w piekle.

– Prowadzę agencję rekrutacyjną, która dała twojemu bratu zatrudnienie w Hangzhou, chińskiej firmie budującej stadion. Twój brat i kilku innych podburzali robotników na budowie. Domagali się wyższych płac i normalnych kontraktów. Zagrozili, że cała budowa stanie w miejscu. Byli bardzo agresywni, więc Chińczycy się zaniepokoiili. Mają dostać wielomiliardowy bonus, jeśli stadion będzie gotowy przed wyznaczonym terminem.

Cały Alberto, myśli Rosita.

– Co zrobili z nim i z resztą? – pyta.

– Wcześniej rano wywieźli ich na pustynię i rozstrzelali. Było ich pięciu. Zrobili to dla przykładu. Teraz znów jest spokój.

Fredrik Sörblom wypowiada te słowa, jakby to było proste stwierdzenie faktu, a potem dodaje: – Mój ojciec zawsze powtarzał, że trzeba znać swoje miejsce. Twój brat go nie znał.

Zabiję cię, myśli Rosita, tylko to mi pozostało. A potem pyta: – A Michelle? Dlaczego zginęła?

– Chińczycy chcieli mieć coś, czym mogliby grozić robotnikom. Pokazać, że jeśli ktoś się awanturuje, dopadną jego rodzinę. Tak to jest. I wtedy uznali, że nasza firma powinna im pomóc, bo według nich dostarczyliśmy im kiepską siłę roboczą. Uważali, że jesteśmy im to winni.

– Michelle zginęła, żeby mogli trzymać w szachu robotników na budowie.

– Daliśmy Chińczykom to, czego od nas zażądali. Film, na którym zostaje spalona.

Jak oni mogą utrzymywać to w tajemnicy? – dziwi się Rosita. Jak?

Ale wtedy zdaje sobie sprawę, że nikt nic nie powie, że wszyscy jak jeden będą chronić swoje rodziny, swoje dzieci.

Będą pracować dalej.

Jak niewolnicy.

Bo inaczej przyjdzie śmierć.

Jak dowiedzieli się o Michelle? Dlaczego nie wybrali mnie? Rosita Sánchez uświadamia sobie, że te spekulacje nie mają sensu. Michelle i Alberto nie żyją i nic nie może tego zmienić.

– Pokazali film robotnikom. Wysłali go do kilku z nich. Dali im do zrozumienia, co na nim jest. Pewnie przysłał ci go jeden z robotników. Jakiś mniej buntowniczy przyjaciel

twojego brata.

– Poświęciliście moje rodzeństwo.

– Musisz wiedzieć, że gdyby gasterbeiterzy w krajach arabskich, w Chinach i Azji Południowo-Wschodniej zaczęli się burzyć, przyniosłoby to wielomiliardowe straty. To by była katastrofa. A ja nie mogłem do tego dopuścić. Potrzebuję tych pieniędzy. Obaj ich potrzebujemy. Inaczej to byłby koniec. Ci z Hangzhou powiedzieli, że nas obsmarują, rozpuszczą o nas plotki. Musimy jakoś żyć.

– A Michelle i Alberto nie musieli.

I w zmęczonych oczach Fredrika Sörbloma pojawia się jakaś rezygnacja, jakby zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył prawdziwe oblicze świata, jakby dostrzegł, jaki jest zdeformowany. Jak grymas, który na zawsze zastygł na twarzy.

Dotyka brzucha, naciska go, jakby chciał przytrzymać swoje wnętrzności.

Rosita wstaje.

Mocniej ściska młotek. Fredrik w nią celuje.

– Ale chłopiec był pomyłką – szepcze.

– Chłopiec?

– Pojawił się w lesie.

– Zginął jeszcze jakiś chłopiec?

Fredrik Sörblom kiwa głową.

– Przypadkiem wszystko zobaczył. Trzeba go było wyeliminować.

– Wyeliminować? Wyeliminować?!

– Właśnie.

– Jesteś szalony. Ile miał lat?

– Skończył dziewięć.

Jeśli teraz go zaatakuję, to czy zdąży wystrzelić? – myśli Rosita. Trzyma palce na spuście, ale może zdążyć wbić mu młotek w czoło? Muszę zdążyć.

– Nie jestem złym człowiekiem – mówi Fredrik Sörblom. – Po prostu wszystko się cholernie skomplikowało.

Rosita na niego patrzy. W jego ciele i oczach nie pozostało nic ludzkiego. Jest zwierzęciem gotowym do uboju; on i pozostali tak samo myśleli o Michelle i Albercie. Zwierzęta na ubój.

– Wiesz już wszystko, co musisz wiedzieć – stwierdza Fredrik. – Teraz możesz umrzeć spokojnie, połączyć się z rodzeństwem. Nie mam siły ci więcej opowiadać. Skończyłem już. Skończyłem! – krzyczy.

Potem naciska spust i Rosita rzuca się naprzód z młotkiem uniesionym nad głową.

Jeśli zginę, zabiorę cię ze sobą.

Co się stało? Już nikt nie może zginąć.

Kiedy przejeżdżają przez Berga, mózg Malin wskakuje na najwyższe obroty. Małe szeregowce przy drodze wyglądają jak kulisy jakiegoś dramatu.

Co tam zastaniemy? Znajdziemy zwłoki trzech Nepalczyków?

Garden Society.

Czy teraz dowiemy się też, kto zamordował Lukasa i Michelle?

Malin tak sądzi. Czuje, że tam na działce nad jeziorem coś się dzieje. Że muszą szybko tam dotrzeć. Zeke i tak jedzie szybciej, niż powinien.

Wypadek samochodowy. Malin się boi, że coś takiego może spotkać Daniela.

A jeśli to będę ja? Wtedy już nie będę mogła go chronić.

Co teraz robi?

Daniel ma rację, powinnam pójść do psychologa.

Ja i mój pieprzony mózg, moje serce, moja chemia, które nigdy nie mogą działać tak jak trzeba.

Gdy jadą w dół w stronę Kungsbro, Malin widzi konie na wybiegu przy klubie jeździeckim. Spokojnie skubią trawę. Piękne, nieświadome.

Broń klika.

Rosita Sánchez słyszy to, zanim czuje, jak młotek trafia w czoło Fredrika Sörbloma. Lekki opór, gdy kość pęka, a potem wrażenie jest takie, jakby wsadziła palec w coś miękkiego.

Rosita przewraca się na bok na podłogę przyczepy i upadając, pociąga za sobą śrutówkę.

Nie postrzelił mnie.

Żyję.

Spogląda w górę, Fredrik Sörblom leży jak długi na sofie.

Przeżył?

Rosita wstaje, przygląda się głębokiej ranie na jego głowie, widocznym w niej fragmentom mózgu. Oczy mężczyzny są zamknięte, ale na ustach ma szyderczy uśmiech i chyba oddycha.

Oddycha.

Rosita unosi młotek, wali nim raz za razem w twarz Fredrika Sörbloma, dopóki jego uśmiech nie znika na zawsze.

Potem upuszcza młotek. Wychodzi i siada na schodkach przyczepy.

Patrzy na nowy dzień, który właśnie stworzyło słońce.

Tsingtsen wciąż się trzyma. Jakby na coś czekał, myśli Tove. Ale nie zostało mu już dużo czasu. Oddycha coraz rzadziej, a oddech bardziej przypomina ciche sapnięcia.

Tove trzyma rękę na jego czole. Chce mu powiedzieć, żeby się poddał, że już wystarczy, takie było twoje życie, a w innym świecie będziesz miał lepiej niż w tym, który tak źle cię potraktował.

Ale nic nie mówi.

Nie powinno się mówić takich rzeczy.

Nagle pierś chłopca gwałtownie się unosi.

Płuca wypełniają się powietrzem w długim wdechu, w desperackiej próbie ciała, by utrzymać się przy życiu.

Powietrze powoli uchodzi przez nos i otwarte usta Tsingtsena.

Tove słyszy westchnienie.

Potem zapada cisza.

Chłopiec nie żyje.

A ona zrobiła swoje. Wkrótce na zawsze opuści ten pokój.

Suthep Khanal zasnął na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej w Szpitalu Uniwersyteckim w Linköpingu i we śnie słyszy szept.

Jestem teraz wolny, tato. Wolny. Nigdy o mnie nie zapomnij.

Spóźniliśmy się, myśli Malin, gdy docierają do budowy na brzegu Roxen. Widzi kobietę siedzącą na schodkach przyczepy. Ma na sobie cienką kurtkę.

Wiatr porusza koronami drzew. Jest zimny i Malin wie, że lato wreszcie się skończyło.

Kobieta podnosi wzrok. Patrzy na nich, gdy wysiadają z samochodu, ale nie wstaje.

Kiedy podchodzą bliżej widzą, że jej twarz jest zbryzgana krwią, džinsy również. Na kurtce widać różne odcienie czerwieni.

– Jesteśmy z policji – mówi Malin, ale kobieta najwyraźniej nie rozumie, więc Malin powtarza to samo po angielsku. Kobieta wskazuje na drzwi przyczepy.

Zeke wyjmuję broń.

– Zostanę tu i popilnuję – mówi.

Malin ostrożnie otwiera drzwi. W pierwszej chwili się cofa, ale potem wchodzi do środka.

Fredrik Sörblom leży na sofie i wszędzie jest krew – na ścianach, na podłodze. Malin nie widzi jego twarzy, ale poznaje ubranie, jego dłonie, ciało.

Ta kobieta musiała go zabić.

Na podłodze zakrwawiony młotek, śrutówka.

– On nie żyje – woła. – Ma rozwaloną głowę.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Karin będzie musiała się tym zająć.

Malin idzie do samochodu, wzywa posiłki przez radio i mówi, żeby przysłali Karin Johannison. Potem podchodzi do kobiety, która patrzy na nią i na Zekego.

– *He killed my sister and the boy. Let her burn, and they killed my brother too. I killed him when he tried to shoot me.*

Malin kiwa głową.

– Jak się nazywasz?

– Rosita Sánchez, jestem z Manili.

Malin od razu kojarzy nazwisko. Pomaga jej wstać, zakłada jej kajdanki i sadza ją na tylnym siedzeniu samochodu. Zatrzaskuje drzwi.

Kobieta siedzi zupełnie bez ruchu, jej oczy kompletnie niczego nie wyrażają, gdy wpatruje się przed siebie w wody jeziora.

Niedługo będziemy musieli ją dokładnie przesłuchać, ale najpierw spróbujemy znaleźć ślady robotników, którzy ponoć zostali tu zamordowani.

Słońce wychyliło się już całe ponad horyzont i Malin z Zekem przeszukują budowę i teren dookoła. Malin podchodzi do szopy obok budowy.

Cztery łóżka.

Ale żadnych rzeczy. Tylko śmieci. Okruchy herbatników, torebki po herbacie.

Ktoś tutaj mieszkał.

Robotnicy. I ktoś się zajął ich rzeczami. Na pewno Fredrik Sörblom.

Malin idzie przez działkę, znajduje miejsce, gdzie ktoś niedawno palił ognisko.

Rozgrzebuje palcami resztki popiołów. Niczego nie znajduje.

Brezent zdjęto. Czerwono-białe bele wełny izolacyjnej wyglądają, jakby topiły się na słońcu. Co tam leży? Tuż obok nich?

Jakieś narzędzie.

Podchodzi bliżej.

Piła szablata.

Cała obudowa i ostrze są pokryte krwią.

Malin wpatruje się w ziemię, widzi liczne ślady prowadzące na skraj lasu, ktoś próbował je zatrzeć, ale najwyraźniej musiał być zbyt zestresowany albo wzburzony.

Wspina się po zboczu, wchodzi kawałek w las i widzi miejsca, gdzie niedawno rozkopano ziemię. Chyba z pięć różnych miejsc. Na ziemi rozsypano popiół.

Groby, myśli Malin. Z poćwiartowanymi zwłokami.

Zeke wszedł do przyczepy. Malin wie, że będzie ostrożny.

– Znalazłem ich paszporty – krzyczy do niej. – Suthepa Khanala również!

Gdy przybywają posiłki, Malin siada obok kobiety w samochodzie.

Rosita Sánchez.

Rosita opowiada o swojej siostrze Michelle, o bracie, który zginął w Dosze, o powiązaniach z Garden Society, Hangzhou i Fredrikiem Sörblomem. Mówi, że Michelle została zabita dla przykładu, że filmu użyto, żeby zastraszyć innych. By pokazać, że w imię zysku wszystko jest możliwe, każde okrucieństwo. Że wszyscy muszą się podporządkować.

Kiedy o tym opowiada, jej głos jest neutralny, niemal mechaniczny, i Malin ma wrażenie, że Rosita jest człowiekiem bez żadnych oczekiwań. Że jej życie dotarło do punktu, w którym nie zostało jej nic prócz długiego szeregu oddechów, dopóki jej ciało się nie podda.

Opowiada o e-mailu, który ją tu sprowadził, jak postanowiła się zemścić, jak Fredrik Sörblom próbował ją zastrzelić.

Malin wie, że to wszystko prawda. Rozumie, jak to się ze sobą łączy, i czuje narastającą wściekłość. Wie, że najprawdopodobniej nie uda się udowodnić tego, co mówi Rosita, że Hangzhou podlegało do tych morderstw i kazało zabić kilku robotników w Dosze.

Wszystkie ślady na pewno zostały zatarte. Ludzie uciszeni.

Lepiej pilnować własnego nosa.

Pogodzić się z losem.

– Czyli chciał cię zastrzelić? – próbuje Malin.

Rosita Sánchez kiwa głową.

– Mogę ci pomóc, jeśli tak powiesz.

I w pustym spojrzeniu Rosity pojawia się jakaś nadzieja.

– Nacisnął spust.

– Przyznał ci się do tych morderstw? Że zabił Michelle i chłopca?

– Tak mi się wydaje.

– Wspominał o jakichś innych morderstwach? O czymś jeszcze, co się tutaj wydarzyło?

– Nie.

– Powiedział, dlaczego przeniósł chłopca?

– Powiedział tylko, że chłopiec był pomyłką.

To wszystko jest pomyłką, myśli Malin. Jedną wielką pomyłką, której nigdy nie uda się naprawić.

Stadion piłkarski?

Jakie to błahe.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Warte o wiele więcej niż sto tysięcy robotników.

– Nie martw się – mówi i kładzie dłoń na ramieniu Rosity Sánchez. – Zabiłaś go w samoobronie. Waliłaś młotkiem, dopóki się nie upewniłaś, że jesteś bezpieczna. Nie pójdziesz do więzienia.

Potem zostawia kobietę w samochodzie. Staje pośrodku działki i widzi, że asystenci Karin kopią kawałek wyżej w lesie.

Dzwoni jej komórka.

To Tove.

Malin odbiera.

– On nie żyje, mamó. – Wydaje się wzburzona, bliska płaczu. – Tsingtsen przed chwilą odszedł.

– Zrobiłaś, co mogłaś, Tove.

– To takie niesprawiedliwe.

I Malin chce jej powiedzieć, że nie istnieje coś takiego jak sprawiedliwość, że to jedno z największych złudzeń, jakie stworzyliśmy my, ludzie. Wszyscy biorą to, co chcą; im więcej dla siebie, tym lepiej.

Myśli o Stefanie. Że koniecznie musi do niego pojechać, kiedy tylko zakończą tę sprawę. Nie musi być równie opuszczony jak Tsingtsen.

– Za jakiś tydzień stąd wyjeżdżam – mówi Tove. – Skończyłam już tutaj.

– Przyjedziesz do domu?

– Linköping już nie jest moim domem.

– Przyjedź na jakiś czas do domu, żebyśmy mogła się tobą zająć. Nie musimy być tak daleko od siebie.

Długa chwila milczenia, a potem Tove mówi:

– Przyjadę do domu, mamó. Przyjadę do domu.

PONIEDZIAŁEK, DWUDZIESTY WRZEŚNIA Nie ma twarzy, ale to on, Fredrik Sörblom.

Na stole sekcyjnym leżą nagie zwłoki, a przez okna pod sufitem ostrożnie wpada światło. Jest wcześnie rano, ale Karin chciała skończyć pracę przy zwłokach. Cały wczorajszy dzień spędziła na budowie.

Przyczynę zgonu nietrudno było ustalić. Zmarł wskutek wielokrotnych uderzeń młotkiem w głowę.

Badanie przyczepy sugeruje, że Rosita Sánchez działała w samoobronie, a potem straciła kontrolę i zadała wiele ciosów. Ale Sörblom próbował ją zastrzelić.

W broni były dwa zużyte naboje śrutowe, musiała kliknąć, a wtedy Rosita wpadła w panikę i uderzyła go w głowę wiele razy.

Musiała się bać.

W przyczepie są ślady nieuzasadnionej przemocy, ale Fredrik Sörblom zabił wielu ludzi i był niebezpieczny.

W lesie powyżej zbocza, niedaleko domu, znaleźli szczątki co najmniej dwóch, może trzech osób zakopane w głębokich na metr dołach. To na pewno ci obywatele Nepalu, których paszporty Zeke znalazł w przyczepie.

Dziś w nocy ona i Zeke spali razem z Tess w dużym łóżku. Chcieli mieć ją przy sobie, oboje byli wyczerpani, jakby te wydarzenia i to, co widzieli w ostatnich dniach, wysało z nich resztki energii.

Ale Karin wcześnie się obudziła.

Przyjechała tutaj.

Zdejmie odciski palców Fredrika Sörbloma. Porówna je z odciskami z metalowej rurki, na pewno będą zgodne, a wtedy będą mogli zakończyć tę sprawę, zostawić za sobą tę smutną historię.

Przykrywa zwłoki białą płachtą. Bierze jedną dłoń mężczyzny, przyciska palce do cyfrowego skanera, potem robi to samo z drugą ręką. Przez chwilę stoi i patrzy na ciało, zastanawia się, jak można się stać takim jak Fredrik Sörblom, jak można się zmienić z młodego człowieka marzącego o wspinaczce w sprzedawcę ludzkich ciał, a potem w mordercę.

Jak można tak się stoczyć.

Nie formułuje tych słów jak pytanie; to stwierdzenie.

Sama robiłam bezwzględne rzeczy. Nie przejmowałam się życiem innych.

Nie wolno mi tutaj stać i go osądzać ani nawet się dziwić, mogę tylko stwierdzić, że tacy jesteśmy, tacy są ludzie. Z czasem się zmieniamy, stajemy się niewyraźni i wyraziści równocześnie.

Wychodzi z prosektorium, wsiada do windy i jedzie do swojego gabinetu. Tam wprowadza odciski palców Fredrika Sörbloma do komputera i porównuje je z tymi z rurki.

Czeka.

Myśli o broni. O nabojach śrutowych, które w niej były. Specjaliści z NFC przeanalizują, czy to śrut z tych naboji znaleziono w poćwiartowanych ciałach.

Niedługo pozna wynik.

Na ekranie pojawi się trafienie.

Ale nic takiego się nie dzieje.

To nie odciski palców Fredrika Sörbloma są na narzędziu zbrodni.

Musi być jakiś inny morderca.

Karin zerka na zegar w rogu monitora.

Wpół do siódmej. Nie chce dzwonić do Malin i jej budzić, żeby przekazać jej złe wiadomości. Ale muszę.

Kiedy dzwoni telefon, Malin siedzi przy wyspie w kuchni. Zrobiła sobie espresso i czyta na stronie „Corren” o wydarzeniach, do jakich doszło nad brzegiem Roxen.

„Cztery osoby zamordowane” – brzmi nagłówek.

W artykułach jest niewiele faktów, za to dużo spekulacji. Żadnego z nich nie napisał Daniel. Wciąż śpi w sypialni. Wczoraj na nią czekał. Napisanie raportów trwało całą wieczność, a potem zasnęła wtulona w niego. Spała krótko, nic jej się nie śniło, żadne obrazy ani głosy.

Powinna była pospać dłużej, ale czuje się już wypoczęta. Gotowa na to, co może przynieść ten dzień.

Widzi numer Karin na wyświetlaczu i odbiera telefon.

– To nie odciski Fredrika Sörbloma są na rurce. Nie mógł być mordercą.

– Jesteś całkowicie pewna?

Karin wzdycha znużona.

– Na sto procent, Malin.

– Przecież przyznał się Rosicie Sánchez.

Malin czuje, jak ogarniają ją wątpliwości, coś pełznie w jej ciele, od stóp i dalej, aż do głowy.

– Chcesz powiedzieć, że jednak to zrobił?

– W sumie to nie wiem – zastanawia się głośno Malin. – Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, Rosita tego jednoznacznie nie powiedziała. Twierdziła tylko, że powiedział, że chłopiec był pomyłką.

– No to wracamy do punktu wyjścia.

– Niezupełnie. Do diabła, ma przecież współnika. Od wielu lat robi z nim interesy.

Malin dopija espresso, zamyka laptop.

– Jak się nazywa ten współnik? – pyta Karin.

– Nils Wallinder. Musimy go dokładnie sprawdzić. Jak najszybciej. Musi się za tym kryć coś więcej.

Rosita Sánchez leży pod pomarańczowym kocem w swojej celi w areszcie. Na ścianie ktoś wydrapał słowa: *Fuck everything, YOLO*.

Kiedy weszła Malin, spróbowała się podnieść, ale wydawała się tak wyczerpana, że Malin poprosiła, by nie wstawała. Rosita Sánchez opadła z powrotem na prycę ze spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Gdy Malin siada na przytwierdzonej do ściany prycy, Rosita instynktownie podkurcza nogi.

Spogląda na Malin swoimi brązowymi oczami.

Co jest w tym spojrzeniu?

Zmęczenie.

Smutek.

Ale też jakiś upór. Przeżyłam wszystko, wszystko robiłam i teraz życie już nie może zadać mi więcej bólu, więc od tej pory będę po prostu żyć.

Niemal jej zazdroszczę tego uczucia, myśli Malin.

– Muszę cię zapytać o Fredrika Sörbloma, o to, co ci mówił.

Rosita Sánchez mruga w odpowiedzi.

Pytaj, wydaje się mówić.

– Zbyt niedokładnie zapamiętałam naszą wczorajszą rozmowę – wyjaśnia Malin. – Czy Fredrik Sörblom się przyznał do zamordowania Michelle i chłopca?

– Przyznał się.

– Jesteś całkowicie pewna?

Malin widzi, jak Rosita Sánchez szuka w pamięci. A potem jak ogarniają ją wątpliwości.

– Właściwie to chyba nie.

– Dlaczego zaczęłaś w to wątpić?

– Mówił o jakichś „nas”.

– Powiedział kim są ci „my”?

– Nie. Myślałam, że mówił tak sam o sobie, ale może miał na myśli kogoś innego. Nie powiedział wprost, że zabił moją siostrę. Ani chłopca.

Spojrzenie Rosity pochmurnieje.

Ale ty go zabiłaś, myśli Malin.

Sama wymierzyłaś sprawiedliwość.

– Nie zrobił tego?

Co mam jej powiedzieć, zastanawia się Malin. Co mogę powiedzieć?

– Nie wiemy – mruczy. – Może nie zabił twojej siostry. Ale i tak był mordercą.

Rosita Sánchez kiwa głową. Milczy.

Malin cicho wbiega po schodach i idzie korytarzem do otwartego pomieszczenia biurowego.

To nie Fredrik Sörblom jest mordercą. Mógł być w lasku Ryd, ale to nie on zabił. Nie on trzymał rurkę.

Z tego, co im wiadomo, istnieje osoba, która mogła mieć wyraźny motyw, żeby zabić Michelle.

Nils Wallinder.

Malin widzi, że Johan siedzi na swoim miejscu.

Ma napięte ramiona.

Rozmawia przez telefon i jego głos brzmi jak szept. Mówi po angielsku. Ma za zadanie spróbować zdobyć informacje, które pozwolą im zidentyfikować Nepalczyków. Zadać najlepiej jak potrafią, żeby ich rodziny, jeżeli je mieli, dowiedziały się, że ich bliscy zostali zamordowani nad jeziorem w Szwecji.

Jak koszmarna musi być taka wiadomość?

Szwecja?

Gdzie to jest? Jakiś kraj, miejsce, piekło, z którego przychodzi potworna wiadomość,

że ci, których kochamy, już nigdy nie wróca.

Że chciwe ludzkie paszcze na zawsze pożarły ich dusze.

Johan wygląda, jakby mu ulżyło, kiedy Malin go prosi, by przerwał to, co właśnie robił, i zamiast tego spróbował znaleźć wszystko, co mu się uda, o Nilsie Wallinderze.

Widać po nim, że się rozluźnia.

Natychmiast zaczyna stukać w klawiaturę, mówi:

– Dam ci znać.

My.

Nils Wallinder musiał być tym drugim, myśli Malin, wracając na swoje miejsce.

Wyszukuje go w rejestrze paszportów.

Wallinder wygląda na swoje czterdzieści pięć lat.

Ma rzadkie ciemne włosy, długi wąski nos, wydatny podbródek. Wygląda trochę jak Humphrey Bogart, myśli Malin.

To ty zabiłeś Lukasa i Michelle? Byłeś w Szwecji, kiedy popełniono te morderstwa? Musimy to sprawdzić w liniach lotniczych.

Nils Wallinder jest z Linköpingu, więc musiał chodzić tutaj do gimnazjum. Malin wchodzi na stronę, gdzie można znaleźć stare księgi pamiątkowe szkół, najpierw sprawdza odpowiednie roczniki Ljungstedtska skolan, potem Katedralskolan.

I tam go znajduje.

Są tam obaj, Fredrik Sörblom i Nils Wallinder. Klasa trzecia C o profilu przyrodniczym. Młodzi, z długimi włosami, buntownicy wśród grzecznie uczesanych uczniów.

Stoją obok siebie, trzymając się za ramiona, a w ich oczach widać, że są już daleko od Linköpingu.

Ktoś kładzie rękę na jej ramieniu i Malin się odwraca.

Johan.

– Właściwie w rejestrach nie ma nic o Nilsie Wallinderze. Od wielu lat nie jest zameldowany w Szwecji i nie ma szwedzkiej komórki.

– No dobra – mówi Malin.

– Ale znalazłem jego matkę. Nadal tu mieszka. W mieszkaniu przy Sankt Larsgatan.

– Pojadę tam.

– Dobrze. Ja będę dalej grzebać. I jeszcze jedno. W „Veckans Affärer” było napisane, że Nils Wallinder mieszkał w Dosze. Może wciąż tam mieszka? Może dobrze byłoby pogadać z tym całym Dickiem Bengtssonem, bo tego jeszcze nie zrobiliśmy. Nie udało mi się zdobyć danych kontaktowych.

– Okazało się, że Janne go zna – mówi Malin. – Może mieć jego adres albo numer telefonu. Zapomniałam go spytać.

– Ja też będę szukać dalej.

– I sprawdź w liniach lotniczych. Dowiedz się, czy Wallinder był w Szwecji.

– Poproszę kogoś, żeby się tym zajął. Przeceniasz moje możliwości – uśmiecha się Johan. – Jeśli pojedziesz sama do starszej pani, Zeke może to zrobić.

W drodze do matki Nilsa Wallindera, siedząc w samochodzie, Malin wysyła esemesa do Jannego: „Wiesz, jak można się skontaktować z Dickiem Begtssonem?”.

Janne odpisuje po minucie. Adres gmail.

To już jakiś początek, myśli Malin.

Parkuje przy katedrze, spogląda w górę na strzelistą, pokrytą patyną kościelną wieżę zwieńczoną krzyżem, na wrony krążące wokół niej jak plamki brudu na niebie.

Anna Wallinder mieszka naprzeciwko pubu Hamlet. Wiele razy musiała mnie widzieć, jak się stamtąd wyczołguję, myśli Malin. Mieszkanie mieści się na drugim piętrze.

Elegancka starsza pani z rozjaśnionymi włosami ostrzyżonymi na pazia bez słowa wpuszcza ją za próg. Ma taki sam wąski nos jak syn.

– Czego pani chce? – pyta, gdy Malin jest w przedpokoju. Nie brzmi to agresywnie, już raczej ciekawsko. Jakby myślała: Wreszcie coś się dzieje.

Malin pokazuje jej legitymację.

– Mam kilka pytań na temat pani syna. Mogę wejść?

– Chyba nie zrobił nic głupiego?

Nieczęsto kłamie, myśli Malin, ale teraz to zrobię.

– O nie. Absolutnie.

Anna Wallinder poprawia kołnierzyk pomarańczowej jedwabnej bluzki. Nosi sandaalki na wysokim obcasie.

Prowadzi Malin do dużego pokoju. Sofa w kwieciste wzory jest ustawiona tak, że widać z niej szyld Hamleta. Średniowiecznego rycerza, kufel z piwem.

Stół w stylu Howarda, perski dywan w tonacji bladej ochry z różowymi i niebieskimi detalami. Na ścianie obraz Johana Krouthéna. Zamożnie, ale powściągliwie.

– Proszę usiąść – mówi Anna Wallinder i Malin siada na sofie.

Gdy zapada się w poduszki, szyld niknie jej z oczu.

– Co pani chce wiedzieć o Nilsie?

– Potrzebowałabym jego adres i numer telefonu, jeśli pani je ma.

Anna Wallinder wstaje z lekkością gimnastyczki. Jest w dobrej formie jak na swoje co najmniej siedemdziesiąt lat. Znika w głębi mieszkania, a kiedy wraca, podaje Malin karteczkę.

– Proszę. Mieszka z rodziną w Dosze. Prowadzi tam firmę.

Gdy Anna Wallinder siada, Malin czyta, co napisała na karteczce. Adres, numer telefonu.

– Był ostatnio w Szwecji?

Kobieta kręci głową, patrząc prosto na Malin. Jej oczy są teraz uderzająco błękitne i Malin się zastanawia, ile wie. W jej spojrzeniu widać przenikliwość.

– Nie, gdyby tak było, wiedziałabym o tym. Prawie nie bywa w Szwecji. Ostatnio był tu cztery lata temu, kiedy odszedł mój mąż, jego tata.

– Wie pani, czy jego firma popadła w kłopoty?

Anna Wallinder pochyla się do przodu.

– Nie opowiada mi nic o firmie.

– Macie dobry kontakt?

– Ma pani dzieci?

– Nie – znów kłamie Malin.

– Gdyby je pani miała, wiedziałaby pani, że rzadko miewa się dobry kontakt z

dorosłymi dziećmi.

– Była pani w Dosze?

– Nie. Ale zastanawiam się, czy tam nie pojechać. Chciałabym poznać wnuczkę, zanim będzie za późno.

Malin prostuje plecy.

– Pani wnuczka jest chora?

Twarz Anny Wallinder się zmienia, w pierwszej chwili wygląda, jakby powiedziała za dużo, potem jakby uważała, że pytanie Malin jest głupie.

– Nie, skąd, dlaczego pani tak pomyślała? To ja jestem stara. W moim wieku człowiek może w każdej chwili umrzeć.

Malin milczy, zwleka z kolejnym pytaniem, zastanawia się, czy powinna przedstawić swoją teorię na temat tych morderstw, wyłożyć karty na stół i zobaczyć, jaka będzie reakcja.

Anna Wallinder cierpliwie czeka.

O czym teraz myśli?

Jeśli się dowie, może ostrzec syna, a wtedy Wallinder na pewno zapadnie się pod ziemię.

Nie, lepiej siedzieć cicho.

– Jego żona też mieszka w Dosze?

– Mój syn samotnie wychowuje córeczką. Jego żona zmarła, zapadła na złośliwą formę dengi, kiedy mieszkali na Filipinach.

– Przykro mi – mówi Malin. Szuka w myślach, co jeszcze mogłaby powiedzieć, ale nic nie przychodzi jej do głowy. Wstaje i mówi: – Zadzwoń do pani syna.

Kiedy Malin wróciła na posterunek, dzwoni Karin. Jak się można było spodziewać, nie mają w rejestrach odcisków palców Nilsa Wallindera, ale udało jej się potwierdzić, że na śrutówce były odciski Fredrika Sörbloma.

Malin idzie na swoje miejsce. Píše e-maila do Dicka Bengtssona, że chętnie zadałaby mu kilka pytań, najlepiej przez telefon, i czy Bengtsson ma jakiś numer, który mógłby jej podać.

Wysłała pocztę i idzie do Johana.

– Znalazłeś coś jeszcze na temat Wallindera?

– Adres w Dosze. Niemieckie ubezpieczenie mieszkania.

Malin sprawdza adres. Ten sam dostała od Anny Wallinder. Podaje Johanowi numer komórki.

– Możesz sprawdzić, czy ten telefon był używany w Szwecji w ostatnim tygodniu?

Podchodzi do nich Zeke. Ma na ustach ten swój wilczy uśmiech.

– Strzał w dziesiątkę – mówi. – Nils Wallinder zarezerwował lot liniami Emirates do Sztokholmu trzy dni przed morderstwem, a potem powrót do Dohy dzień później. Według linii lotniczych wykorzystał bilety.

– Czyli był w Szwecji?

– Akurat w tych dniach – kiwa głową Zeke.

– Pora wydać na niego międzynarodowy list gończy – stwierdza Johan. – Może lepiej, żebym nie dzwonił do niego na komórkę?

– Tak, wstrzymaj się z tym – mówi Malin. Potem się zastanawia, a pozostali czekają, co powie. – Pojadę do Dohy. Mamy wystarczająco dużo, żeby to uzasadnić.

Göran Möller wstaje z krzesła, gdy słyszy, do czego doszli: że chcą, muszą pojechać do Dohy.

– Myślałem o waszych teoriach dotyczących tych morderstw i na pewno macie rację. Ale to, że Nils Wallinder przebywał w kraju, niczego nie dowodzi. To za mało, żeby prosić katarską policję o interwencję.

– A gasterbeiterzy? – pyta Malin. – Ci, którzy zostali wywiezieni na pustynię i rozstrzelani?

– To tylko przypuszczenia. Myślisz, że katarska policja chce znaleźć robotników zakopanych na pustyni? Wręcz przeciwnie, ciebie by zakopali w tym piachu, gdybyś tam pojechała.

– Nie przesadzaj. – Malin patrzy na kartony w pokoju Görana. Na mapę myśli na ścianie. Zagęszczenie linii przy Dosze. Przy Nilsie Wallinderze.

Göran już prawie spakował swoje rzeczy i w przyszłym tygodniu przeprowadzi się na ich piętro.

– Nigdzie nie pojedziesz. Ani ty, Zeke. Jasne, musimy złapać Wallindera, ale nie w taki sposób.

Zeke pociera ręką ogoloną głowę.

– A jeśli wybiorę się tam na urlop?

Göran Möller marszczy brwi, jakby ta propozycja była absurdalna. Potem mówi: – Zamordowano dziecko i kobietę. Może wielu innych. Nie możemy po prostu przymknąć na to oczu.

– Czyli pozwolisz nam jechać? – pyta Malin.

Göran kiwa głową.

– Możecie jechać razem. Nie wyślę samotnej kobiety do jednego z najbardziej fundamentalistycznych muzułmańskich krajów na świecie. Ale pojedziecie nieoficjalnie. Więc bądźcie cholernie ostrożni.

Malin i Zeke się odwracają, chcą już wyjść, ale Möller przywołuje ich z powrotem.

– Zakończyło się śledztwo w sprawie Waldemara. Został całkowicie oczyszczony z zarzutów.

Świetnie, myśli Malin. Waldemar jest wariatem, ale potrzebnym wariatem. I naprawdę mi brakowało jego wygłupów. Potem patrzy na Zekego. A ty? – myśli. Zostaniesz?

Zeke nawet drgnięciem powieki nie zdradza, że rozumie, o czym myśli Malin.

Po powrocie do komputera na Malin czeka e-mail w skrzynce. Odpowiedź od Dicka Bengtssona. Numer telefonu. Numer kierunkowy do Kataru. On na pewno również jest w Dosze.

Chętnie odpowiem na pani pytania.

Malin dzwoni pod podany numer, ale nikt nie odbiera.

Zeke chciał to zrobić, zanim wyjadą. Upewnić się, że potem wszystko zostanie szybko załatwione.

Ma dosyć śmierci, przemocy i zła.

Headhunter mógł się z nim szybko spotkać. I teraz Claes Callin siedzi rozparty na swoim fotelu z czarnej skóry. Ubrany jest w jasnoniebieską koszulę. Ma rozjaśniane loki i Zeke przypuszcza, że jest gejem, odnosi takie wrażenie od ich pierwszego spotkania. Nie obchodzi go, z kim sypia Claes Callin, każdy może się zadawać z kim chce.

Gabinet jest położony przy Sankt Larsgatan, naprzeciw Hotelu Wolnomularzy, a wzdłuż długiego korytarza mieszczą się małe pokoje biurowe, w których ludzie – wszyscy młodszy od niego – siedzą ze słuchawkami na uszach i wyglądają na cholernie zajętych.

Claes Callin poprawia kołnierzyk koszuli, uśmiecha się i pyta:

– Zdecydowałaś się?

Zeke pochyla się do przodu na niewygodnym krześle dla gości, patrzy na plakat na ścianie za headhunterem, zdjęcie przedstawiające akwarium z tropikalnymi rybami, a potem kiwa głową.

– Przyjmuję tę robotę. Ale chcę mieć sto dwadzieścia tysięcy na miesiąc. Do tego służbowy samochód i milion w ramach świadczeń emerytalnych rocznie.

Claes Callin się odsuwa. Potem się uśmiecha. Rozkłada ręce.

– To się na pewno da załatwić. Naprawdę ciebie chcą.

Zeke był w Saabie na trzech rozmowach. Z dyrektorem personalnym, obecnym szefem bezpieczeństwa i z dyrektorem naczelnym we własnej osobie. To były dobre, swobodne rozmowy i czuł, że korzystnie wypadł, a jego równowaga i spokój zrobiły dobre wrażenie.

– Bezpieczeństwo jest dla Saaba ważniejsze niż dla wielu innych firm – mówi Zeke. – Prawda?

Claes Callin kiwa głową.

– Porozmawiam ze zleceniodawcą. Na pewno przychyliła się do tego. W przyszłym tygodniu podpiszemy wszystkie papiery. W porządku?

Nie szybciej? – myśli Zeke.

Ale mówi tylko:

– W porządku. – Wstaje.

Decyzja została podjęta, Reszta to biurokracja.

Teraz musi tylko powiedzieć o tym Karin, zanim wyjadą z Malin do Dohy. Tam zakończy służbę jako policjant. W najlepszy możliwy sposób – dopilnowując, żeby wszystko poszło jak trzeba.

Wraca do domu z zamiarem spakowania się przed wyjazdem. Karin przygotowuje kolację. Porusza się szybko i sprawnie po kuchni. Zeke staje obok niej, chce powiedzieć jej o pracy, o decyzji, jaką podjął.

Ale nie może się na to zdobyć.

Sam nie wie dlaczego.

Malin ściska Daniela w kuchni. Przytula go mocno.

– Wrócę za kilka dni – szepcze. – Najpóźniej. Nie chcę tam jechać. Nie chcę cię zostawiać nawet na sekundę, wiesz o tym.

– Dobrze ci to robi.

Malin się uśmiecha.

– Bądź ostrożna – prosi po chwili Daniel. – Kto wie, na co się tam możecie natknąć.

– Muszę to doprowadzić do końca.

– Nic mi nie będzie. Nie martw się.

Daniel przytula ją jeszcze mocniej. Malin czuje na karku ciepło jego oddechu i pragnie zostać, nie chce nigdzie jechać, tylko przez całą wieczność tak zwlekać w jego ramionach.

Ale gwiazdy na niebie są nieruchome, a tu na ziemi ludzie są w ruchu i muszą robić to, co robię, inaczej będę nikim.

– Będę ostrożna – obiecuje Malin i uwalnia się z jego objęć.

W sypialni kończy pakować podręczny bagaż, potem słyszy, jak Zeke trąbi na ulicy.

Pora się zbierać.

Musi jechać.

Jeszcze raz zanurzyć się w płomienie.

W drodze na Arlandę na wieczorny lot do Dohy przez Frankfurt samolotem Lufthansy, Malin wielokrotnie próbuje się dodzwonić do Dicka Bengtssona, ale bezskutecznie.

Johan przysłała jej jego zdjęcie paszportowe.

Bengtsson wygląda jak żołnierz piechoty morskiej.

Malin dzwoni ponownie podczas tej godziny, gdy razem z Zekem czekają we Frankfurcie, lecz nadal nikt nie odbiera.

Podczas nocnego lotu Malin siedzi z obolałymi plecami na ciasnym fotelu, zamyka oczy i próbuje zasnąć, ale przychodzą do niej jedynie obrazy płonących ludzi.

Michelle.

Lukas.

Linda Klasén.

Suthep i pozostali.

Mężczyźni na kolanach i wyschnięty horyzont.

Tsingtsen.

Rosita.

Fredrik Sörblom.

Nils Wallinder.

Wszyscy płoną. Spadają w ciemność, wciąż i wciąż od nowa.

Malin chce zadzwonić po stewardesę, poprosić o szklanekę whisky, bo tequila pewnie nie mają.

Co teraz robi Daniel?

Malin wbija paznokcie w kciuki.

Mocno gryzie się w język.

Czuje metaliczny posmak w ustach i myśli, że w innym życiu mogła być drapieżnikiem. Kimś, kto bez namysłu rozszarpuje gardła swoim ofiarom. Kimś, kto zjada, zamiast zostać zjedzonym. Kimś, kto nigdy nie ucieka.

WTOREK, DWUDZIESTY PIERWSZY WRZEŚNIA

Już o świcie na lotnisku w Dosze roi się od gastarbeiterów, jakby nie mogli się doczekać, kiedy opuszczą to miejsce. Loty do Karaczi, Manili, Katmandu będą dopiero za kilka godzin, a mimo to chudzi, opaleni na brąz robotnicy siedzą i czekają. Przy bramce do Manili siedzi wiele kobiet. Malin zakłada, że to pomoce domowe i gdy razem z Zekem przechodzą obok, zastanawia się, ile z nich zostało pobitych przez swoich pracodawców, ile zgwałcono. Ile nie dostało wypłat, które im się należały.

Kolejki do kontroli paszportowej są długie, ale mężczyzna dokonujący odprawy nie zadaje skomplikowanych pytań. Mali i Zeke mówią, że przyjechali na urlop. Chciałyby mieć przy sobie broń, ale to było niemożliwe.

Po drugiej stronie gigantycznej szklanej szyby widzi kolejki gastarbeiterów, którzy mają opuścić Katar. Kontrolerzy dokładnie studiują ich paszporty, pozwolenia na pracę. Chyba nikt nie próbuje uciec przed zakończeniem kontraktu? Bo wtedy traficie do więzienia.

Gdy wychodzą z hali przylotów, uderza w nich żar jak z piekarnika.

Musi być ze czterdzieści stopni, myśli Malin. Nawet mróz jest lepszy. Upał wysysa im powietrze z płuc i ciało natychmiast reaguje, wydziela pot ze wszystkich porów i domaga się wody.

Pośpiesznie szukają taksówki, która zawiezie ich do centrum miasta, pod adres, gdzie mieszka ponoć Nils Wallinder. Kiedy jadą przez spalony słońcem kamienisty krajobraz, Malin dzwoni do Bengtssona.

Nikt nie odbiera.

Tu i ówdzie na pustynnych terenach trwają jakieś prace, rurociągi z wodą ciągną się jak węże wzdłuż drogi, jakby Katarczycy byli zdeterminowani, by stworzyć żyzne, nadające się do zamieszkania ziemie.

Malin dostaje esemesa od Johana.

YouTube w Stanach Zjednoczonych odpowiedziało na ich zapytanie. Film zamieszczono w Dosze. Nie udało im się dowiedzieć, kto za tym stoi.

Przejeżdżają obok gigantycznej budowy, to jakiś stadion. Może Stadium Four, myśli Malin. Mrowie robotników na różnych poziomach konstrukcji.

W oddali widzą morze; tak daleko na południu upał sprawia, że jego powierzchnia wydaje się szara jak popiół. Lśniące drapacze chmur wznoszą się ku niebu. To błyszczący świat zbudowany z gazu, który bije z ziemi i jest zamieniany w fontannę dolarów, rubli, jenów, funtów, euro, wszystkich możliwych walut, myśli Malin.

Kiedy wjeżdżają do miasta, promienie słońca odbijają się w oceanach szkła drapaczy chmur, ciskają noże w oczy i Malin jest na siebie zła. Jak mogła zapomnieć okularów przeciwsłonecznych? Ale przynajmniej jest odpowiednio ubrana.

Na lotnisku przebrała się w białą bluzkę z długim rękawem, biały szal i

jasnoczerwone bawełniane spodnie.

Jak najmniej odkrytego ciała.

Nic, co mogłoby kogoś rozzłościć bardziej niż fakt, że jest kobietą i niewierną, co w oczach wielu ludzi tutaj sprawia, że jest mniej warta niż pies, nietykalna.

Zeke siedzi obok niej na tylnym siedzeniu. Milczy, wydaje się zastanawiać, co robią w tym dziwnym miejscu. Na ulicach jest pusto. Ludzie się jeszcze nie obudzili albo siedzą w chłodzie.

Taksówka zatrzymuje się przed budynkiem mieszkalnym. Wysoki na co najmniej siedemdziesiąt pięter, myśli Malin. Zbudowany w kształcie wrzeciona, które wydaje się wkręcać w niebieskie niebo.

Proszą taksówkarza, żeby zaczekał.

Recepcja budynku jest w całości wyłożona zielonym marmurem. Młody recepcjonista – Malin domyśla się, że to Hindus – pyta, do kogo przyszli, informuje, że Nilsa Wallindera w tej chwili nie ma, że mieszkanie jest wystawione na sprzedaż, że Wallinder nie mieszka tu od ponad miesiąca.

– Ani on, ani jego rodzina.

– Może pan zadzwonić na górę? – pyta Zeke. – Może jednak tam jest.

– Mojemu oku nic nie umyka.

Malin wbija wzrok w mężczyznę.

W mieszkaniu nikt nie odpowiada, więc dziękują recepcjoniście, proszą taksówkarza, żeby zawiózł ich do siedziby Garden Society.

Lokal jest zamknięty i pusty, więc jadą do hotelu, w którym mają rezerwację. Zmęczeni jedzą śniadanie w spartańsko urządzonej jadalni i czekają, aż ich pokoje będą gotowe.

Malin wyjmuje komórkę.

Znów dzwoni do Dicka Bengtssona, a ten po piątym sygnale odbiera.

– *Dick Bengtsson. Who am I speaking to?*

– Malin Fors. Jestem tą policjantką, która wysłała do pana e-maila. Jestem teraz w Dosze. Możemy się spotkać?

– Gdzie pani mieszka?

– Ja i mój kolega Zeke Martinsson zatrzymaliśmy się w Novotelu.

– Wyślę po was samochód. Bądźcie państwo gotowi za pół godziny.

Odbiera ich range rover z szoferem ubranym w mundur w barwach ochronnych. Wywozi ich prosto na pustynię przez księżycowy krajobraz, gdzie nic nie rośnie, jałowe, niezamieszkanne ziemie.

Malin ma ochotę zadzwonić do Daniela, jednak się powstrzymuje. Obraca w palcach komórkę, a Zeke to zauważa, ale nie komentuje.

Po godzinie Malin widzi pióropusze dymu unoszące się w niebo, wielokrotnie wyższe od tych podczas pożaru w Tornby. Jakby ziemia się otworzyła i wyrzucała z siebie gniew tłumiony przez miliony lat. Jakby planeta chciała powiedzieć ludziom: dotąd, ale ani kroku dalej.

Coraz bardziej zbliżają się do dymu.

Malin widzi płomienie wystrzeliwujące u podstawy pióropusza. Mają co najmniej sto metrów wysokości i rzucają długie cienie. Na ich tle mężczyźni wyglądają jak czarne mrówki.

Szofer zatrzymuje się pół kilometra od tego miejsca, parkuje obok białego autobusu w znacznym stopniu pokrytego popiołem.

– Kurwa! – krzyczy Zeke, wysiadając z range rovera. – Gdzie myśmy trafili?

Upał jest tu o wiele gorszy niż na lotnisku. Słońce rozgrzewa pustynię, ale ogień zmienia ją w piekło.

Z boku autobusu otwierają się drzwi i Malin poznaje mężczyznę, który z nich wychodzi.

Jego wyraziste rysy, ogoloną głowę, niemal półprzezroczyste, niebieskie oczy. Ma na sobie taki sam mundur jak szofer, ale z firmowym logo na piersi, orłem trzymającym w dziobie płomień. A może to sokół?

Dick Bengtsson wychodzi im na spotkanie, mocno ściska im ręce i się przedstawia.

– Czytałem w Internecie, co się stało z Fredrikiem – mówi. – Zakładam więc, że dlatego tu jesteście. Chcecie się skontaktować z Nilsem?

– Tak – mówi Zeke, a Malin chce, żeby weszli do autobusu. Czuje się tak, jakby skóra kipiała jej z gorąca.

Ale Dick Bengtsson wciąż stoi.

– Sądzicie, że Nils zamordował tę kobietę i chłopca. Cóż, wszystko jest możliwe. W ostatnim czasie ma przerabane.

– Jak to przerabane? – pyta Malin.

Mężczyzna ignoruje jej pytanie, nabiera powietrza w płuca jak dowódca, który za chwilę ma zrugać podkomendnych. Potem wypuszcza powietrze i mówi spokojnie:

– Dziewięć lat temu sprzedałem moje udziały w firmie. Z początku nie chcieli mnie wykupić, ale w końcu tak się stało. To wszystko zrobiło się zbyt brudne. W pożarach jest coś czystego. Oczyszczają. A tutaj zawsze znajdzie się jakiś do gaszenia. Szyby gazowe prędzej czy później zaczynają się palić.

– Wie pan coś o morderstwach robotników w Katarze? – pyta Zeke. – Albo o Nepalczykach zamordowanych w Linköpingu?

Dick Bengtsson się uśmiecha.

– Czytałem o tych w Linköpingu, jak już wspominałem. Ale morderstwa w Katarze? Tutaj nigdy nie słyszymy o żadnych morderstwach. Coś takiego nie istnieje. Na waszym miejscu bym w tym dalej nie grzebał. To by było zupełnie bez sensu.

– Wie pan, gdzie może przebywać Nils Wallinder? – pyta Malin.

– Możecie sprawdzić na jego jachcie w marinie w Pearl City. Pirs dziewiętnaście, stanowisko dwadzieścia A.

Po tych słowach Dick Bengtsson się odwraca i znika w autobusie.

Świat płonie. Takie właśnie ma się uczucie, gdy się tutaj stoi.

Po chwili Bengtsson wychodzi z kaburą w ręce. W środku jest lśniaca beretta.

– Proszę to wziąć. Bo pewnie nie pozwolili wam zabrać broni?

Malin przyjmuje broń, a Dick Bengtsson kiwa głową i znów wchodzi do autobusu.

Czekają, aż wyjdzie. Mija pięć minut. Dziesięć. Bluzka Malin jest mokra od potu, a płomień strzelające z szybu gazowego zdają się być o wiele za blisko. Potem słyszą za plecami jakiś dźwięk odwracają się i widzą, że szofer otworzył tylne drzwi w range roverze.

– Mógł to powiedzieć przez telefon – stwierdza Zeke, gdy wracają przez pustynię w stronę Dohy.

Obok nich z hukiem przejeżdża ciężarówka. Na jej platformie siedzi ze dwudziestu robotników i Malin podchwytuje spojrzenie jednego z nich, widzi upór w jego oczach. Może to on zamieścić na YouTube film z płonącą Michelle?

– Chciał nas sprawdzić – stwierdza Malin.

– Myślisz, że kłamał o jachcie?

– Przekonamy się.

– A broń?

– Pewnie chce, żebyśmy rozwiązali za niego problem. Nie wiemy przecież, jak to wszystko tutaj działa. Jak się ze sobą wiąże. Rozejrzyj się tylko. Jesteśmy na innej planecie. Coraz bardziej wierzę w to, co powiedział Göran, że nas samych mogą zakopać na tej pustyni, jeśli nie będziemy ostrożni. Dowiedzmy się tego, co mamy się dowiedzieć, a potem spadajmy stąd.

Malin słyszy własne słowa. W wyobraźni widzi Rositę Sánchez. Może gdzieś tutaj leży zakopany jej brat. Zastrzelony jak nieposłuszny pies.

Marlon Rodriguez. Komisarz z Manili. Malin uświadamia sobie, że Rodriguez robi wyłącznie to, co oni teraz.

Pilnuj własnego nosa. Nie wywyższaj się. Wywieraj wpływ na to, co możesz; jeśli musisz, odwracaj głowę i patrz w inną stronę.

I nienawidzi świata za to, że zmusza ją do takiego zachowania. Bo najchętniej przekopałaby całą pustynię. Znalazłaby brata Rosity, Alberta.

Mogę jedynie poprosić Katarczyków, żeby przeprowadzili śledztwo. Wysłać formalną prośbę ze Szwecji. Która do niczego nie doprowadzi, myśli Malin.

– Co za porąbane miejsce – mówi Zeke.

– Przyjmiesz tę robotę w Saabie?

Zeke kręci głową.

– Nie. To pseudozajęcie. I nie potrzebuję wielkiego domu.

– Tak się cieszę.

Malin się uśmiecha, ale nie potrafi otrząsnąć się z wrażenia, że Zeke ją okłamuje.

Może jednak przyjmie tę robotę.

– Tylko nie mów nic Karin. Nawet nie wie, że dostałem taką propozycję.

Malin przysuwa palec do ust.

Spoglądają po sobie.

– Nie musisz się martwić o Daniela – mówi Zeke.

– Wiem – odpowiada Malin. A potem dodaje: – Tove przyjedzie do domu. Obiecała.

Szofer powoli wjeżdża do Pearl City. Wokół sztucznej wyspy stworzono lagunę, a wokół niej pobudowano domy mieszkalne dla naprawdę bogatych. Gdy samochód skręca na drogę otaczającą wyspę, Malin rozumie, skąd wzięła się nazwa tego miejsca. Jest jak muszla zamykająca w sobie ogromną perłę, którą jest laguna.

Kołyszące się na wietrze palmy. Zieleń możliwa dzięki gigantycznemu systemowi nawadniającemu.

Parzący asfalt.

Niewielu ludzi się tu kręci.

Setki łodzi, ich biały plastik w promieniach słońca staje się bielą lodowca. Restauracje na parterach budynków. We wszystkich jest pusto, jakby nigdy nikogo tu nie było, jedynymi ludźmi, jakich widać, są pracownicy na pirsach i w restauracjach; żaden z nich nie wygląda na Araba.

Szofer zatrzymuje się przy pirsie dziewiętnaście. Wsiadają, a on bezceremonialnie odjeżdża.

Jesteś tutaj, Nilsie Wallinderze? – zastanawia się Malin i chce ukryć pistolet, który trzyma w ręce, podciąga bluzkę i wsuwa go za pasek spodni.

Zamknięta na klucz żeliwna furtka zwieńczona drutem kolczastym zagradza im drogę na pirs. Po obu stronach szerokiego drewnianego pomostu stoi po dwadzieścia pięć jachtów motorowych.

Malin się poci. Upał wciąż jest potworny. Widzi, jak Zeke wyjmuje pęk kluczy. W jednej chwili znajduje wytrych i po kilku sekundach otwiera furtkę.

Wtedy Malin ją widzi. Małą kamerę monitoringu otoczoną drutem kolczastym.

Wskazuje na kamerę i rzucają się biegiem w stronę stanowiska dwadzieścia A. Mijają jachty, które muszą być więcej warte niż cały majątek Linköpingu.

Siedemnaście. Osiemnaście. Dziewiętnaście. Dwadzieścia.

Łódź na stanowisku dwadzieścia A to około trzydziestometrowy jacht rekreacyjny. Ma czarne burty i kołysze się lekko na wodzie.

Wchodzą na pokład.

Muszą przeskoczyć metr dzielący pomost od pokładu dziobowego. Malin skacze pierwsza, a na łodzi wyciąga pistolet.

Słyszą, że za ich plecami zatrzymuje się jakiś samochód. Ktoś woła coś po arabsku.

Malin szybko zakrada się do kokpitu, z pistoletem w ręce.

Zeke jest tuż za nią.

Widzą Nilsa Wallindera. Ma nagi tors, zaróżowiony, jakby zasnął na słońcu. Jego oczy są nabiegłe krwią, a na podłodze leżą puste butelki po wódce i puszki po napojach.

Patrzy na nich, jakby rozumiał, kim są. Wzdryga się, wygląda, jakby chciał wskoczyć do wody, ale zaraz się rozluźnia.

– Coście za jedni?

– Szwedzka policja – mówi Malin i schodzi niżej, z bronią wycelowaną w Nilsa

Wallindera. – Jesteś tu sam?

Mężczyzna kiwa głową.

Zbliżają się wzburzone głosy wykrzykujące coś po arabsku.

– Powiedz im, żeby sobie poszli – rzuca Malin. – Powiedz, że jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Wallinder ciężko wstaje, idzie na rufę i rozmawia z umundurowanymi strażnikami, którzy stoją na pomoście. Po chwili strażnicy odchodzą.

– Wypływamy na morze – mówi Malin i Nils Wallinder jej słucha. Odwiązuje cumy, wspina się do sterówki, wciska przycisk rozrusznika i rozlega się ryk silników.

Przez pół godziny płyną szybko po błyszczącym szarym morzu, oddalając się od brzegu. Potem Malin każe Wallinderowi wyłączyć silnik.

Wcześniej zerkał na butelki, a ręce trzęsły mu się na drążku przepustnicy i kole sterowym.

– Możemy dryfować. Tu jest zbyt głęboko, żeby rzucać kotwicę – mówi Wallinder.

Wstaje z krzeselka przy sterze. Schodzi na dół, wydaje się zrezygnowany. Jakby coś w nim szeptało: już dosyć. Wszystko wyszło nie tak, to już koniec.

Wszyscy troje stoją bez ruchu pod daszkiem, kilka stopni powyżej kokpitu.

– I co teraz? – pyta Wallinder.

– Opowiesz nam, co zrobiłeś w Linköpingu – mówi Malin.

– Wydaje wam się, że mam coś do stracenia? Jest już za późno, rozumiecie? Rozumiecie to? – Nils Wallinder niemal wypluwa te słowa i Malin dostrzega panikę w jego oczach, rozpacz, której jeszcze przed chwilą tam nie było. – Jest za późno na wszystko.

Osuwa się na podłogę i kuli w pozycji embrionalnej.

Malin chwyta go za podbródek, unosi mu głowę.

– Mamy najprawdopodobniej twoje odciski palców na narzędziu zbrodni. Możemy cię powiązać z zamordowaniem Michelle Persson i Lukasa Klaséna. Opowiedz, co się stało, poczujesz się od tego lepiej.

– Dla mnie wszystko skończone. Wszystko.

Malin spogląda w stronę lądu. Drapacze chmur jak gigantyczne fallusy. Pomoce domowe w mieszkaniach, daleko od tych, których kochają. Budowy na obrzeżach miasta.

Robotnicy.

Futbol. Zlatan.

Pozwalamy ludziom ginąć, żeby zapewnić sobie rozrywkę.

Malin łapie Wallindera pod pachy, zmusza go, żeby wstał, skurwiel ma stać, kiedy będzie im o tym opowiadał.

– Zabiłeś w lesie Michelle i Lukasa. Bo tak wam kazała chińska firma budowlana i żeby ratować swoją firmę.

Kiwa głową.

– Ale chłopiec był pomyłką.

Pomyłką.

Malin ma ochotę wrzucić go do morza, ma nadzieję, że są tu rekiny.

– Dzień wcześniej Fredrik i ja ciągnęliśmy losy. On sprawdził, jak ją możemy dorwać, ale ja musiałem to zrobić. Tamtego wieczoru pracowała do późna. Zaczekałem na nią. A potem zobaczyłem chłopca. Fredrik zrobiłby to samo. Na pewno wiecie, ile mamy

długów. Nie było innego wyjścia. – Przerzywa, potem ciągnie: – Kiedyś przepracowałem lato w Sättunie. Przejechałem się tam, żeby zobaczyć, jak tam teraz wygląda. Kiedy musiałem się pozbyć zwłok chłopca, przypomniał mi się kontener, który tam widziałem.

– I filmowałeś, jak paliła się Michelle? – pyta Zeke.

– Właściwie to nie zrobiłem tego po to, żeby ratować firmę.

– To dlaczego?

– Nie chciałem uwierzyć, że na wszystko jest już za późno, ale tak było. Jedźcie do His Majesty's Hospital na oddział siódmy, to się przekonacie. Pokój osiemnaście. Porozmawiajcie z doktor Sondergaard.

Co tam jest? – myśli Malin. Jego córka? Chora kobieta, którą kocha.

– Kto tam jest?

Ale Nils Wallinder nie odpowiada na jej pytanie. Krzyczy:

– Nie mówcie mamie, co zrobiłem! I przeproście ode mnie Jasmine. Przeproście ją.

– Kto to jest Jasmine? – pyta Zeke.

Wallinder kręci głową.

– Człowiek zrobi wszystko dla swojego dziecka. Jeśli jest zmuszony zabić inne dziecko, żeby być może uratować własne, robi to. Czy to nie sedno człowieczeństwa? Choć mamy takie dobre mniemanie o sobie, nie da się zaprzeczyć, że gdy zostajemy postawieni przed niemożliwym wyborem, ratujemy to, co jest nam najbliższe.

– Czyli dobro jest złudzeniem?

Malin nie wie, skąd się bierze to pytanie. Nagle pojawia się w niej, jakby cisnęła je na usta jakaś obca siła.

– Dobro to koncepcja, którą stworzyliśmy, żeby być w stanie wytrzymać z samymi sobą.

Nie. NIE. MYLISZ SIĘ, chce krzyknąć Malin, ale żadna niewidzialna siła nie wyrzuca tych słów z jej ust.

Nils Wallinder rzuca się do przycisku rozrusznika. Naciska go, ciągnie w dół drążek przepustnicy i zanim Malin czy Zeke mają czas zareagować, rzuca się do wody.

Jacht obraca się teraz po ciasnym okręgu, a śruba napędowa wściekle wyrzuca pianę przy rufie.

– Gdzie on jest? – krzyczy Zeke. Wyglądają przez reling. – Musimy zatrzymać to gówno!

Malin widzi, jak woda wokół jachtu zabarwia się na czerwono, jak piana nad śrubą staje się różowa.

– Cholera.

Zeke ciągnie w górę drążek przepustnicy. Przekręca kluczyk i wszystko nieruchomieje. Stoją w milczeniu przez kilka minut. Widzą zmasakrowane ciało dryfujące po morzu.

– Jeszcze tu nie skończyliśmy – mówi Malin i słyszy, jak drży jej głos.

Zabezpieczają odciski palców Nilsa Wallindera na butelkach po wódce. Używają taśmy, którą znajdują w skrzynce w kajucie.

Zeke przejmuje kontrolę nad jachtem i kieruje go w stronę lądu. Spodziewają się na pirsie ochroniarzy, ale żadnego nie widać.

Zeke nie chce, żeby Malin jechała do His Majesty's Hospital, ale wie, że ona musi to zrobić. Że musi zobaczyć to, co jest tam do zobaczenia.

– Poczekam tutaj – mówi i patrzy, jak jego partnerka znika w windzie.

Siada w jednym z czerwonych foteli przy wejściu. Mijają go mężczyźni w kaftanach i białych nakryciach głowy, kobiety w czarnych nikabach. Ludzie z Zachodu w spodniach i koszulach, z plamami potu na plecach.

Pomieszczenie wygląda jak typowy hol luksusowego hotelu. Posadzka z lśniącego marmuru, mauretańskie wzory na ścianach, wszystko kunsztownie wykończone w różnych rodzajach kamienia.

Zeke wyjmuje komórkę. Wybiera numer Karin.

– Cześć, to ja.

– Co u ciebie?

– Dobrze. Załatwiliśmy już większość spraw. Co słychać u Tess?

– Jest w przedszkolu.

– Tęsknię za domem – mówi Zeke.

– Czekamy na ciebie – odpowiada Karin.

Malin wysiada z windy na siódmym piętrze, odczytuje słowo *oncology* na drzwiach prowadzących do siódmego oddziału.

Gdy już tam jest, czuje smród śmierci, obecny na wszystkich oddziałach onkologicznych, ale też zapach nadziei.

Idzie przed siebie korytarzem. Również tutaj jest marmurowa posadzka, a oświetlenie jest przyjemne, nie ma rażących w oczy świetlówek tak jak w szwedzkich szpitalach.

Pokój numer osiemnaście znajduje się niemal na końcu korytarza przy oknie z potężnym filtrem przeciwsłonecznym na szybie. W pokoju przy łóżku jakiejś dziewczynki stoi kobieta z Zachodu ubrana w biały fartuch. Ma brązowe, sięgające do ramion włosy. Dziewczynka z trudem oddycha.

Ile może mieć?

Dziesięć, jedenaście, dwanaście lat?

Przez chwilę Malin sądzi, że ta kobieta w białym fartuchu to Tove, choć rozumie, że to niemożliwe.

Kobieta głaszcze dziewczynkę po policzku, po czole, włosach. Mówi do niej spokojnie w języku, który brzmi jak niderlandzki.

Zauważa obecność Malin.

– Proszę wejść albo wyjść – mówi po angielsku. I Malin wchodzi do pokoju i zbliża się do dziewczynki. Kobieta pyta: – Kim pani jest?

Malin wyjaśnia, kim jest, mówi, że sprowadziło ją tutaj śledztwo i że Mister Wallinder poprosił ją, żeby tu przyszła.

Niczego więcej nie zdradza.

– Jestem doktor Sondergaard. – Lekarka wydaje się zastanawiać. Malin widzi, jak

podejmuje decyzję. – Nils Wallinder jest jej tatą.

– Ile ona ma lat?

– Dwanaście. Ma na imię Jasmine. Cierpi na ostrą białaczkę i być może udałoby się nam ją wyleczyć, ale pan Wallinder miał najwyraźniej jakieś problemy finansowe. Nie zapłacił dodatkowej składki ubezpieczenia zdrowotnego, więc ubezpieczenie nie pokrywa drogich leków, które mogły uratować jej życie.

Malin rozumie, jak to wszystko się ze sobą wiąże.

Musiał desperacko potrzebować pieniędzy, żeby ratować córkę. Zrobiłby wszystko, czego tylko zażądałaby od niego ta chińska firma.

Zabiłabym dla ciebie, Tove. Zrobiłabym to.

– Jak ją leczycie?

– Paliatywnie. Jej ubezpieczenie to pokrywa.

– To obrzydliwe.

Lekarka kiwa głową.

– Ale tak to już jest. Codziennie na świecie umierają tysiące ludzi, którzy nie mają dostępu do opieki medycznej albo właściwego ubezpieczenia. Taki stworzyliśmy sobie system.

Jasmine.

Cienka skóra na policzkach, delikatne, niebieskie żyłki. Zamknięte powieki, a pod przewiewną białą pościelą ciało jak z zapalek.

– Ale tu są przecież pieniądze.

– Dla Katarczyków tak.

– Nie mógł jej wysłać do Szwecji?

Lekarka patrzy na Malin ze zdumieniem w oczach. Jak można być tak naiwnym?

– Byli zameldowani tutaj – mówi i dodaje tytułem wyjaśnienia: – Oczywiście w Europie można zapewnić dziecku opiekę medyczną, ale akurat te leki, których potrzebowała, były za drogie nawet dla naszego systemu. A transport chorej mnóstwo by kosztował. Gdybyśmy na czas dostali te leki, pewnie by się udało. Zresztą, nie wiadomo.

– Czyli nie było nawet pieniędzy na nadzieję.

– Nie.

Malin ma ochotę wrzasnąć na całe gardło, ale coś ją powstrzymuje. Jasmine nie zostało dużo czasu. Malin poznaje ten krótki, płytki oddech. Więcej życia opuszcza ciało w wydechu, niż napełnia go przy wdychaniu.

– Jej taty nie było tu od miesiąca. Myślę, że jest mu wstyd.

– Tak – mówi Malin. – Wiem o tym.

– Jeśli pani wie, gdzie jest, albo przypadkiem go pani spotka, niech go pani poprosi, żeby tutaj przyszedł. Jego córce nie zostało wiele czasu.

– Wkrótce się spotkają – mówi Malin i opuszcza pokój umierającej dziewczynki.

Wszyscy tu teraz jesteśmy.

Lukas, Michelle.

Alberto i Tsingtsen.

Bezimienni i znani.

Jesteśmy razem.

Nie boimy się. To do nas nadzieja przychodzi odpocząć, kiedy opuszcza żywych.

Całe cierpienie, jakie zadał nam świat, kiedy żyliśmy, teraz znikło. Nie ma już bólu, nie ma zła, tylko uczucie swobodnego unoszenia się w przestrzeni utkanej z najdelikatniejszych, miękkich jak puch nici.

Oddychamy tutaj.

Jesteśmy tutaj.

Nikt nie może nam tego odebrać.

Nikt nas tutaj nie posiada. Należymy do samych siebie i śpiewamy, nucimy piosenkę dla Jasmine.

Nie przychodź do nas, przyjdź kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Lukas jest teraz ze swoim tatą, jest tutaj. Twój tata też jest tutaj, Jasmine, ale może na ciebie poczekać.

Wszyscy na ciebie czekamy.

Więc przyjdź do nas kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Epilog

Co można udowodnić?

Głosy cichną. Wystraszone, opiekuńcze.

Giniemy. Po prostu tak jest.

Śledztwa, które ponoć trwają, nie istnieją.

Ciała zakopane na obcej pustyni. Trwa budowa stadionu, mają się odbyć mistrzostwa.

Trzeba zarabiać pieniądze.

Malin myśli o tym, gdy w nocy głaszcze blizny Daniela. Zniszczony krajobraz, który jest odbiciem jej samej.

W „Corren” napisano:

Odciski palców na narzędziu zbrodni znalezionym w rowie w pobliżu Sättuny udało się powiązać z niejakim Nilsem Wallinderem, który według doniesień zaginął w Dosze w Katarze. W związku z tym policja uważa sprawę za rozwiązaną, choć motyw wciąż nie jest znany.

Film zniknął z YouTube.

Kolejny robotnik znika na pustyni.

Kwitną teorie spiskowe, jakaś gazeta w Nepalu czy na Filipinach publikuje artykuł o tajemniczych zaginięciach w Katarze.

A Księżyc okrążył Ziemię.

Hangzhou nie odpowiada na oskarżenia pojawiające się na różnych forach w Internecie. Bo to jest historia, która nie istnieje.

Spalone ciało zostaje przetransportowane do Manili.

Johan Jakobsson widzi, jak jego córka zaznaje spokoju odurzona morfiną, a Malin Fors patrzy na pastora stojącego nad zbyt krótką trumną. Widzi zrozpaczoną matkę i zapłakaną babcię siedzącą wiele ławek od niej, siedzi z obcym człowiekiem i opowiada o swoim lęku, że człowiekowi, którego kocha, stanie się coś złego, widzi Tove wychodzącą z hali przylotów na lotnisku Arlanda.

Malin stoi w klaustrofobicznym pomieszczeniu otoczona innymi czekającymi. Pojawia się Tove, obejmują się i Malin pragnie, żeby ten uścisk trwał wiecznie. Żeby nie istniało nic oprócz tego ciepła.

Żeby czas się skończył, właśnie tu, właśnie teraz.

Tytuł oryginału: *Eldjägarna*

ELDJÄGARNA © Mons Kallentoft 2015

First published by Forum Bokoförlag, Sweden.

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

All rights reserved Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Kwiatkowski Projekt: Niklas Lindblad / Mystical Garden Design Zdjęcie na okładce: Eva Lindblad, 1001bild.se

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Łowcy ognia, wyd. I, Poznań 2017) ISBN 978-83-8062-791-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink 
woblink.com

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Część 1 Rozległa miłość](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[Część 2 Tam gdzie najmniej się spodziewasz](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[Część 3 Gniewna miłość](#)

[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)

[Epilog](#)

[Karta redakcyjna](#)